



- **Algierczyk** z Nagrodą Goncourtów
- Kiedy **AI** zyska świadomość
- Thriller dla fanów „Wielkich kłamstewek”



WYSOKIE OBCASY
Córka Gisèle Pelicot. Już nigdy nie nazwę go tatą

MAGAZYN

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Co po nim zostało

B jak zwalniani biskupi, L jak LGBT, R jak Rosja, U jak uchodźcy

ALFABET FRANCISZKA

► 4

FOT. EZRA ACAYAN/GETTY IMAGES

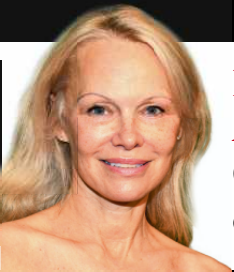
ISSN 0860-908X

nr indeksu 048908

9 770860 908167

17>

Odzmęcz się!
Wiosna, a my nie mamy siły.
Dlaczego? ► 8



Pamela Anderson
Co ty wiesz o przemijaniu ► 25

Emil Zola
wynajmuje w tajemnicy mieszkanie ► 40

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Agnieszka
Kublik

Andrzej Duda nie jest za życiem

Co to znaczy być za życiem? Nie dla wszystkich to jest oczywiste. Paulina Nodzyńska, reporterka „Wyborczej”, ma szansę zmienić system. Nie ludzi – bo jak pokazuje opisana przez nią historia pani Anity, źli ludzie postępują źle, a dobrzy dobrze. Mimo systemu. Ale to znaczy, że tylko zmiana systemu może wyeliminować złe uczynki tych złych.

To nie jest historia kobiety, która myśli o aborcji jak o środku antykoncepcyjnym. Pani Anita zaszła w ciążę i skakała z radości. Skrzywdzili ją ci, którzy ślubują „po pierwsze nie szkodzić”.

To lekarze ją okłamywali, więc nie wiedziała, że nosi płód chorego tak bardzo, że może nie przeżyć porodu, a jeśli przeżyje, dziecko czekać tortury – za matkę i jej najbliższych życie z niewyobrażalnym bólem towarzyszenia tak cierpiącemu dziecku.

Aborcję w takim przypadku pozwala polskie prawo, choć tak restrykcyjne. To lekarze wtrącili ją do psychiatryka. Dwa metry na dwa. Choć chęć, by nie rodzić dziecka narażonego na krótkie życie pełne cierpienia, dowodzi zdrowych zmysłów. To lekarze potracili rozum. Gdy Anita poznała prawdę, była w 37 tygodniu.

I to lekarka jako jedyna pomogła Anicie w najtrudniejszym momencie jej życia. Dr Gizela Jagielska usunęła ciążę. To bohaterka naszych czasów. Dziś stała się wrogiem dla ruchów niby za życiem.

Dla nich bycie za życiem oznacza niszczenie życia innym. A przecież ta lekarka uratowała właśnie życie. Kto tego nie rozumie, jeszcze nie wie, że

cierpienie nie uszlachetnia człowieka. Odbiera mu godność.

Dr Jagielska jest atakowana tak bardzo, że jej szpital musiano czasowo zamknąć. Odwracają się od niej lekarze z jej placówki. Jak to o nich świadczy? A pacjenci... No właśnie, ci obrońcy życia narażają zdrowie i życie pacjentów – kobiet w ciąży i dzieci. Te życia ich nie obchodzą?

Nienawiść obrońców życia zatruwa życie żyjącym. Epitety, porównania, bluźni, przekleństwa, wulgaryzmy stały się codzienną normą. Że ta mowa dominuje i że jest już naszą codziennością – to patologia. Ale nie dla prezydenta Dudy.

Właśnie nie podpisał ustawy o mowie nienawiści. Wysłał ją Trybunału Konstytucyjnego, który jako sąd niekonstytucyjny nie jest przecież w stanie badać niekonstytucyjności czegokolwiek. Mowa nienawiści to odbieranie godności. Co niekonstytucyjnego ujrzał w tym Duda?

Chyba że prezydent nie rozumie konstytucji. A może po prostu ceni sobie korzyści, jakie daje mowa odbierająca innym godność? W końcu wiele razy wyraz temu dał on i jego partia.

Dziś to premier powinien stanąć w obronie lekarki. I marszałkowie Sejmu, Senatu. I ministra zdrowia. I wszyscy przyzwolici kandydaci na prezydenta. Bo co robią nieprzyzwolici, to wiemy – przewodzą bojówkom.

Czas na wybór – jesteś za życiem czy z nim walczysz? ●

Andrzej rysuje



Zurich, Wielkanoc Nowe życie, choć nie z jajka



W Wielką Niedzielę Farha urodziła synka. Młoda matka ma 19 lat. Słonie indyjskie dożywają 70. W europejskich zoo żyje ich 380. Obrońcy zwierząt alarmują, że w niewoli cierpią psychicznie, umierają wcześniej, a wiele wręcz w dzieciństwie. Obrońcy zoo podnoszą, że na wolności co roku z rąk ludzi ginie kilkaset tych zwierząt.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cytat dnia

*Najbogatsi
Amerykanie żyją
krócej niż najbogatsi
Europejczycy,
a tyle samo, ile
najbiedniejsi
Niemcy, Francuzi
i Holendrzy*

BADACZE Z BROWN
UNIVERSITY

o nierównościach w USA
i między kontynentami

Tiangong Ultra Maratończyk wymienia baterie

Ostatni półmaraton w Pekinie zapisze się w historii. Na starcie obok 12 tys. ludzi stanęło ponad 20 dwunożnych robotów z chińskich firm i uniwersytetów.

Ludzie i humanoidalne maszyny musieli przebiec ponad 21 km. Zgodnie z regulaminem białkowi zawodnicy mogli pić na trasie wodę, krzemowi – wymieniać baterie.

Wygrał człowiek z czasem 1 h 2 min. Na pierwszego robota widzowie musieli czekać jeszcze ponad półtorej godziny. Złoty medal w kategorii humanoidów otrzymał Tiangong Ultra.

Tang Jiang, dyrektor ds. technologii w Beijing Innovation Centre of Human Robotics, które zbudowało zwycięzcę, uważa, że kluczem do sukcesu były długie nogi i algorytm pozwalający skutecznie naśladować sposób poruszania żywych biegaczy.

Robot zmienił baterie trzy razy. Cały czas biegł z nim członek ekipy, by asekurować maszynę w razie upadku. Tiangong był wyjątkowo samodzielny – wiele humanoidów sterowano zdalnie z pomocą kontrolera albo prowadził je człowiek na smyczy.

– Nie chcę się przechwalać, ale myślę, że żadna inna firma zajmująca się



robotyką na Zachodzie nie dorównała sportowym osiągnięciom Tiangong – mówi Tang Jiang.

Pekiński półmaraton nie był zwykłym pokazem chińskich nowinek technologicznych, ale komunikatem politycznym. „W dokumencie z 2023 r. Chiny uznały branżę robotyki humanoidalnej jako >>nową granicę w konkurencji technologicznej<< i wyznaczyły rok 2025 jako datę osiągnięcia etapu masowej produkcji tego typu maszyn” – komentuje CNN.

Najszybszy robot z rekordem Guinnessa nie jest chiński – sprinterka Cassie zbudowana przez Agility Robotics przebiegła 100 metrów w 24,73 sekundy (ludzki rekordzista, Usain Bolt, w 9,58 s.). Ale to praktycznie same cybernetyczne nogi. Maratończyk Tiangong Ultra jest pełnowymiarowym humanoidem. ●

Jakub Jessa

Liczba dnia

0500

LAT



musiałby pracować statystyczny Polak z pensją 6700 zł brutto, aby wypracować roczne zarobki najlepiej wynagradzanego polskiego bankowca. Czyli prezesa Santander (7,15 mln). Kolejni na liście „Dziennika Gazety Prawnej” są szefowie Millennium, ING, BNP Paribas i Citi Handlowego. Na ich wynagrodzenia składa się część stała w okolicach 3 mln, premie za wyniki i bonusy w rodzaju samochodów służbowych.

Czy bankowcy zarabiają za dużo
► Wyborcza.biz

Wiernych będzie ubywało

Biskupi nie rozumieją po argentyńsku

Franciszek starał się uporządkować to wszystko, co napsuł papież z Polski

Gruszczyński



Papież Franciszek zrobił więcej dla polskiego Kościoła niż Jan Paweł II.

Pontyfikat Karola Wojtyły przypadł na czasy masowej Solidarności, przemiany ustrojowej i potęgi Kościoła katolickiego w wolnej Polsce. Franciszek starał się uporządkować to wszystko, co napsuł papież z Polski.

Kiedy papieżem zostawał Jorge Bergoglio, szerzej nieznanym w Europie metropolitą Buenos Aires, Polska nadal była katolicką potęgą. Rocznie chrzczono ponad 350 tys. dzieci, udzielano 130 tys. sakramentów małżeństwa, 39 proc. katolików chodziło regularnie na niedzielne msze.

Dzisiaj chrzci się 270 tys. dzieci, 70 tys. par bierze śluby w kościołach, na msze chodzi 29 proc. wiernych. A liczba alumnów, czyli przyszłych księży uczących się w seminariach, spadła z 3,9 tys. do 1594.

Nawet jeśli weźmiemy poprawkę na to, że rodzi się mniej dzieci, mniej par chce legalizować związek, a młodzi mężczyźni wybierają inny rodzaj awansu klasowego niż praca w parafiach – szybką sekularyzację widać gołym okiem.

Czy Franciszek przyczynił się do laicyzacji?

Odpowiedź jest skomplikowana i warto pamiętać, w jakim stanie był polski Kościół po długim pontyfikacie Jana Pawła II i krótkich rządach Benedykta XVI. Biskupi dyktowali przepisy prawa, tak jak w przypadku ustawy antyaborcyjnej, którą Sejm przyjął w 1993 r. mimo gwałtownego sprzeciwu społeczeństwa.

Episkopat lobbował równie skutecznie w sprawach doczesnych: Kościół cieszył się licznymi ulgami podatkowymi – na przykład biskupi nie muszą odprowadzać podatków od budynków, w których znajdują się diecezjalne urzędy – a po 1989 roku odzyskał z nawązką setki tysięcy hektarów ziemi, również tych, które nigdy doń nie należały.

To raz. Dwa – kościoły do 2004 roku były pełne, dzieci chrzczono, młodzież szła do bierzmowania, a potem brała kościelny ślub. Siła Kościoła wynikała z połączenia władzy, jaką sprawował nad Polakami Karol Wojtyła oraz pozycji biskupów i księży, którzy w czasach komunizmu stali po stronie opozycji demokratycznej. A więc po Okrągłym stole i wolnych wyborach 1989 roku stali się automatycznie częścią wygranego obozu.

I po trzecie: Wojtyła ukształtował episkopat według zasady „mierny, bierny, ale wierny”. Biskupami zostawali nie intelektualści pokroju ks. Józefa Tischnera czy ks. Alfreda Wierzbickiego, tylko przedstawiciele katolicyzmu ludowego oraz kościelni karierowicze.

Z takim багаżem polski Kościół wyszedł na spotkanie z papieżem Franciszkiem.



• Franciszek na Światowych Dniach Młodzieży w Krakowie, 28.07.2016 r.

Jednocześnie ten Kościół był gigantem na glinianych nogach. Wiara katolików znad Wisły była niepogłębiona, niedzielne msze traktowano jako część tradycji, z usług księży przy najważniejszych wydarzeniach w życiu, począwszy od urodzenia, przez inicjację wieku dorosłego aż po śmierć, korzystano siłą przyzwyczajenia i presji społecznej.

A biskupom, zadowolonym ze stanu posiadania, nie zależało na prawdziwej ewangelizacji. Polscy parafianie mogli tylko pomarzyć o czymś, co dla niemieckich było normą, czyli o szkółkach niedzielnych, w których analizowano Pismo Święte oraz spierano się o dogmaty.

Na to wszystko przychodzi papież z Ameryki Łacińskiej, który nazywa Europę „bezpłodną babcią”. Mówi, że wszelkie ideały, które inspirowały cały świat przez wieki, straciły na znaczeniu, a Europejczycy stali się samozadowolonymi tłustymi kotami.

Dostrzega, że serce katolicyzmu i nowych idei już nie bije w państwach starego Zachodu. Dlatego odwiedza kraje takie jak Indonezja, Mongolia, Kazachstan, Rumunia, Egipt czy Bangladesz. Do Polski, ostatniej ostoji tradycyjnego katolicyzmu w „starej” Europie, wybierze się raz, na Światowe Dni Młodzieży.

Dla biskupów to była wymarzona sytuacja: nowy szef patrzy gdzie indziej, nie będzie się wtrącał. A mimo to mieli z nim twardy orzech do zgryzienia. Wszystko przez jego program religijny.

Jego pierwszym filarem była pomoc słabszym. Szczególnie uchodźcom przybywającym przez Morze Śródziemne. Franciszek odwiedzał włoską Lampedusę, która stała się symbolem tzw. kryzysu migracyjnego.

Wiele mówił o ubogich, a jego jałmużnik kardynał Konrad Krajewski codziennie osobiście rozdawał jedzenia i produkty pierwszej potrzeby rzymskiej biedocie.

Oddawał honor ekologom, zapraszał kobiety do watykańskich struktur, nakazywał szacunek dla osób LGBT+.

Te gesty często gesty były symboliczne, nie szły za nimi realne reformy kościelnych instytucji czy nauczania, ale zmieniały klimat.

Konferencja Episkopatu Polski miała problem z taką wykładnią wiary. Co prawda biskupi stali – choć głównie deklaratywnie – po stronie uchodźców,

krytykowali nawet rząd PiS za antyuchodźczą propagandę, ale z pozostałymi punktami papieskiego programu bywało nie najlepiej.

Słowa papieża o mniejszościach, zmiana akcentu z Kościoła, który rozkazuje, na Kościół, który słucha, sprzyjało tworzeniu nowych grup religijnych. Przykładem Kongres Katolickich i Katolików, który nie oglądając się na biskupów, tworzy wśród zaangażowanych świeckich i duchownych niższego szczebla masę krytyczną, podejmując takie tematy jak kapłaństwo kobiet, błogosławieństwo par jedнопłciowych, kościelne finanse czy toksyczne relacje państwa i episkopatu.

Ta dyskusja, która nie podoba się biskupom, stała się możliwa właśnie dzięki Franciszkowi – który zresztą sam zorganizował Synod o synodalności z udziałem świeckich. Co spotkało się z krytyką przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Abp Stanisław Gądecki nie mógł znieść, że jego głos jest traktowany na równi z opiniami studentów, matek czy singli.

Za Franciszka zdymisjonowano 14 biskupów, co daje ponad jednego hierarchę rocznie. Z urzędami i zaszczytami – bo po dymisji nie mogli pojawiać się na kościelnych uroczystościach – pożegnali się tak zasłużeni i wpływowi ludzie, jak kard. Henryk Gulbinowicz, legendarny opiekun Solidarności i uwielbiany biskup Wrocławia, abp Sławoj Leszek Głódź, pierwszy biskup polowy Wojska Polskiego po 1989, późniejszy metropolita gdański czy bp Edward Janiak z Kalisza.

Łączy ich jedno: albo ukrywali księży pedofilów, albo sami zostali oskarżeni o molestowanie nieletnich lub kleryków. A to właśnie był drugi filar polityki Franciszka: przyjęta przez Stolicę Apostolską zasada „zero tolerancji” dla przestępców seksualnych w sutannach.

130 tys.

• ślubów kościelnych rocznie udzielano w Polsce, kiedy Bergoglio zostawał papieżem. Dziś to 70 tys.

39 proc. Polaków

• chodziło regularnie na niedzielne msze na początku pontyfikatu Franciszka. Dziś to 29 proc.

Poczucie kryzysu w instytucjonalnym polskim Kościele było tym silniejsze, że większość odwołanych hierarchów awansował Karol Wojtyła.

I jeszcze sprawa tzw. wielkiej polityki (jakby nie były nią prawa człowieka czy kryzys klimatyczny). Franciszek w ostatnich tygodniach mocno skrytykował J.D. Vance’a, świeżego konwertytę na katolicyzm, który swą biegłość w teologii wykorzystuje w celach politycznych. Stolica Apostolska nie raz dystansowała się wobec nowej administracji Trumpa i choć ostatecznie wiceprezydent USA spotkał się z papieżem, Watykan podtrzymuje, że konserwatyzm nie ma wiele wspólnego z trumpistowskim – burzycielskim, rewolucyjnym i oligarchicznym jednocześnie – alt-rightem.

Tego samego nie można powiedzieć o episkopacie, który wciąż czuje miętę do coraz bardziej trumpizującej się polskiej prawicy.

Zatem: czy pontyfikat Franciszka zmienił polski Kościół? I tak, i nie.

Konserwatywny do bólu episkopat z niechęcią spoglądał na kolejne gesty, słowa i decyzje papieża. Wciąż nie mamy w Polsce ani jednego hierarchy, który opowiadałby się po stronie kobiet, mniejszości seksualnych czy ekologii, choć takich biskupów na całym świecie są tysiące. I wciąż wszystkie spory i dyskusje ideowe – a jest ich niemało – w episkopacie odbywają się po cichu, wytłumione przez dywany i wykładziny korytarzy kurii, tak, by nic nie przedostało się do wiernych.

Przez te 12 lat wierni odchodzili od Kościoła nie z powodu zbyt liberalnego czy rewolucyjnego papieża, tylko wskutek skandali pedofilskich i zbliżenia episkopatu do polityki. Żaden papież nie byłby w stanie zatrzymać tej tendencji.

A jednocześnie Franciszek popełnił kilka błędów.

Mianował arcybiskupem krakowskim Marka Jędraszewskiego, który kolejnymi skandalicznymi wypowiedziami obraża przeciwników prawicy, gejów, kobiety i szeroko rozumiane środowisko lewicowo-liberalne.

Papieżowi zabrakło również siły i determinacji w wyjaśnieniu niejasnej roli abp Stanisława Dziwisza w tuszowaniu skandali pedofilskich za Jana Pawła II.

Ale obraz komplikuje się – jak wszystko w przypadku Franciszka – kiedy spojrzymy na inne nominacje. Metropolita warszawski został abp Adrian Galbas, który krytykuje klerykalizm, jasno mówi o błędach Kościoła i nie eksponuje swoich przywilejów. No i jedynym kardynałem w Polsce, który będzie wybierał nowego papieża, jest Grzegorz Ryś, również daleki od twardego łokcia w episkopacie – a bilet kardynalski metropolicie łódzkiemu wręczył właśnie Bergoglio.

Kościół w Polsce po Franciszku będzie nadal się laicyzował, ruchy odśrodkowe będą rozsądzać konserwatywną skorupę, a kolejne skandale pedofilskie i wyniki prac zapowiadanej komisji badającej wszystkie przypadki przestępstw seksualnych po 1945 roku jeszcze bardziej osłabiać kościelne statystyki. ●

Arkadiusz Gruszczyński



DOBRY PAPIEŻ BEZ SKRUPUŁÓW

Ofiary księży pedofilów, ubodzy, rozwodnicy, geje i lesbijki, dobrzy Rosjanie, przyroda oraz celibat. Najważniejsze słowa tego pontyfikatu.

Sebastian Duda

I 1 lutego 2013 r. – w dniu, w którym Benedykt XVI ogłosił rezygnację, w kopule bazyliki św. Piotra uderzył piorun. Wierni ujrzeni w tym znak – zaniepokoił się o dalsze losy Kościoła.

Kiedy 13 marca kardynałowie wybrali metropolitę Buenos Aires Jorge Mario Bergoglio, zaskoczenie było olbrzymie. Był pierwszym papieżem z Ameryki – jezuitą, którego osobie dotknęły polityczne konflikty w jego ojczyźnie, Argentynie. Przybrał imię Franciszek na cześć uwielbianego przez wielu katolików średniowiecznego biedaczyny z Asyżu.

Postanowił też mieszkać nie w apartamentach Pałacu Apostolskiego, lecz w hotelowych pokojach Domu Świętej Marty. Był to sygnał ogłoszenia wraz z początkiem jego pontyfi-

katu prymatu „Kościoła ubogiego”. Odtąd nie watykańskie splendory, ale biedni i wykluczeni decydować o obliczu katolicyzmu. Wydawało się, że w Kościele nadchodzi nowa epoka.

Już sama abdykacja Benedykta XVI zapowiadała wielkie zmiany. Odzierała papieństwo z sakralnego nimbu. Stało się jasne, że papież, jak inni śmiertelnicy, mogą odchodzić na emeryturę i dożywać na niej spokojnych lat z dala od urzędowych zobowiązań (Benedykt XVI zmarł prawie 10 lat po swojej abdykacji).

Misja pontifexa, wbrew temu, do czego przyzwyczaili świat biskupi Rzymu od połowy XIX stulecia (szczególnie pontyfikat Jana Pawła II), nie ma już charakteru absolutnego egzystencjalnego wyzwania, w którym, jak to wyraził kard. Stanisław Dziwisz, „z krzyża się nie schodzi”. Papież może poczuć się niezdolny do dalszego sprawowania urzędu, względy pragmatyczne mogą ważyć więcej niż metafizyczne sankcje.

Jednak abdykacja Benedykta XVI skutkowałą czymś więcej niż zmianą postrzegania wizerunku papieństwa. Chodziło w niej o sprawy daleko poważniejsze niż klęska słabego człowieka w obliczu kurialnych intryg. Oznaczała symboliczne przyznanie się do klęski modelu katolicyzmu, który głosił papież Ratzinger.

Od początku lat 70. dla tego teologa, uznawanego za postępowego, stało się jasne, że tożsamość katolicka opiera się na dwóch teologicznych filarach.

Pierwszym jest specyficzne rozumienie sakramentów – przede wszystkim Eucharystii z powiązaną z nią liturgią oraz pokuty ze spowiedzią uszną, w której ksiądz ma władzę odpuszczania grzechów. Drugi to kapłaństwo hierarchiczne, z papieżem jako głową Kościoła. Kapłaństwo takie wiąże się z pretensjami do występowania *in persona Christi* – w osobie (zastępstwie) samego Chrystusa.

W ciągu wieków księża wyświęceni w Kościelezy skiwali otoczkę bezgrzesznej sakralności wynikającej rzekomo z mocy samych święceń. Skandale seksualne i finansowe z udziałem duchownych, które wstrząsnęły katolicyzmem na przełomie tysiącleci, takie przekonanie wystawiły na próbę.

Podobnie rzecz wyglądała w odniesieniu do sakramentów. Zastąpienie starej liturgii nową w oczach wielu zdesakralizowało podstawowy kościelny rytuał. Nie przypadkiem też zaczęła zanikać spowiedź uszna w wielu wspólnotach katolickich na świecie.

Tożsamość, której postanowił bronić Ratzinger, stawała się coraz bardziej problematyczna. Abdykacja Benedykta XVI to był znak, że w takiej formule nie jest ona najpewniej do utrzymania.

Po ujawnieniu wielkiej liczby skandali seksualnych dla wielu katolików na świecie stało się jasne, że ich Kościół nie powinien być zarządzany w dotychczasowy sposób.

Papież Bergoglio musiał zareagować. Od początku pontyfikatu zapewniał, że będzie walczył w Kościele z „plagą klerykalizmu”. Pałaca liczba doniesień o przestępcach w sutannach albo świeckich animatorach różnych ruchów katolickich dopuszczających się okropnych czynów na dzieciach i tzw. bezbronnych dorosłych sprawiła, że Franciszek przede wszystkim na tym polu musiał podjąć ostre działania.

W dniach 21 do 24 lutego 2019 r. odbył się w Watykanie szczyt na temat ochrony małoletnich w Kościele. Na jego zakończenie papież nie tylko zaapelował do konferencji episkopatów i rządów krajów na świecie o kompleksową walkę z tego typu przestępczością.

W maju 2019 r. papież wydał list apostolski *Vos estis lux mundi* (Jesteście światłem świata), dzięki któremu wreszcie wprowadzono przepisy prawne mające obowiązywać w całym Kościele. Na wszystkie konferencje episkopatów został nałożony obowiązek ustanowienia łatwo dostępnych dla ofiar procedur powiadamiania o przestępstwach seksualnych w obrębie diecezji. Ponadto w grudniu 2019 r. Franciszek wydał dekret znoszący tajemnicę papieską w sprawach dotyczących nadużyć wobec małoletnich, przemocy na tle seksualnym oraz pornografii dziecięcej. Tym samym skuteczna walka ze skandalami seksualnymi w Kościele stała się znakiem rozpoznawczym tego pontyfikatu.

Inna rzecz, jak z przestępczością seksualną wśród duchownych i świeckich animatorów ruchów katolickich radzą sobie kościoły lokalne. W wielu miejscach na świecie, także w Polsce, często jeszcze mamy do czynienia ze złą złą milczenia. Duchowni próbują wciąż chronić przestępców, choć zasługą Franciszka jest, że taka postawa spotyka się w Kościele z absolutnym potępieniem.

Trudno sobie wyobrazić, że złą milczenia mogłaby przyjąć w katolicyzmie takie rozmiary jak w ostatnich dekadach XX w. Przestępcy i drapieżcy seksualni nie mogą już dalej czuć się w Kościele bezpieczni. Wymownym tego przykładem jest los amerykańskiego kardynała Theodore’a McCarrica. Ów jeden z najwyższych w USA dostojników został na wniosek Franciszka pozbawiony nie tylko kardynalskiej godności, ale i wydalony ze stanu duchownego.

Papież Bergoglio chciał odpowiadać na zauważalny proces odczarowywania kapłaństwa hierarchicznego w katolicyzmie. Przede wszystkim chciał dokonać reformy Kurii Rzymskiej. Jej wewnętrzne intrygi skłoniły przecież bezpośrednio jego poprzednika do rezygnacji. Funkcjonujący od wieków rzymski dwór papieży z pewnością na przełomie tysiącleci zaczął degenerować się coraz szybciej. Franciszek z ładu jezuitką precyzją i skutecznością postanowił zatem zaprowadzić nad nim z pomocą ręcznie podejmowanych decyzji personalnych.

Już we wrześniu 2013 r. powołał do życia swój organ przyboczny – tzw. Radę Kardynałów składającą się z kilku purpuratów, którym najbliższe było do Franciszkowego myślenia o reformie watykańskich i ogólnokościelnych struktur. Papież chciał najwyraźniej ominąć gęstą sieć kurialnych zależności. W tym względzie okazał się zresztą jednym z bardziej absolutnych władców Watykanu w jego nowoczesnej historii.

Przeciwnicy tego pontyfikatu – jak kardynał Raymond Leo Burke, szef Trybunału Sygnatury Apostolskiej, najwyższego organu sądowego Stolicy Apostolskiej, czy kardynał Gerhard Ludwig Müller, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, czyli najważniejszego organu odpowiadającego w Watykanie za dyscyplinę doktryny – bez skrupułów byli odsuwani przez papieża na boczny tor. Do kolegium kardynalskiego trafiali zaś nie metropolie ważnych w świecie stolic biskupich, lecz np. liderzy małych wspólnot w Teheranie czy Mongolii.

Wedle Franciszka miał to być znak na otwieranie się Kościoła na to, co w nim najbardziej szlachetne i żywotne przy jednoczesnym wyjściu z zeskorporowanej kurialnej struktury. Struktura ta nie mogła jednak przestać istnieć. Papież dokonał zatem jej reformy. W 2022 r. dotychczasowe główne urzędy watykańskie przemieniły się w 16 jednorodnych dykasterii. Na ich czele mogą stać kobiety. Przewodniczenie im można także powierzać osobom świeckim. Kuria pozostaje narzędziem w rękach biskupa Rzymu, ale ma służyć także kościołom lokalnym i tym samym „wspierać ewangelizację w świecie.”

Być może reforma ta przyczyni się do deklerykalizacji Kościoła. Trudno jednak zapomnieć, że za Franciszka nie doszło do doktrynalnego przełomu. Kościół to wciąż patriarchalna hierarchia. Niby konkretne urzędy można już powierzać w ramach tzw. misji kanonicznej nie tylko wyświęconym mężczyznom,

• **Po mszy w katedrze w Bangkoku Franciszek wita się z wiernymi (22.11.2019). Tajlandia to kraj buddyjski, ma ponad 69 mln mieszkańców, wśród nich ok. 380 tys. to katolicy.**

FOT. PAULA BRONSTEIN/
GETTY IMAGES

ale sens instytucjonalnego kapłaństwa pozostaje niezmieniony. Hierarchia pozostaje strukturą dla bezwzględnych „wybranych”.

Nie ma mowy o zniesieniu celibatu czy o kapłaństwie kobiet. Na tych polach w czasie pontyfikatu Franciszka pojawiły się co najwyżej jaskółki zmian. Za zgodą papieża w różnych kościelnych gremiach toczyły się dyskusje o dopuszczeniu kobiet do święceń diakonatu czy do kardynalskich urzędów, ale nigdy nie wyszły poza ramy niezobowiązujących supozycji.

Na szeroko dyskutowanym Synodzie Biskupów ds. Amazonii, który odbył się w Rzymie w październiku 2019 r., dyskutowano o możliwości kapłaństwa tzw. viri probati, czyli „wypróbowanych”, żonatych mężczyzn, ale w posynodalnej adhortacji *Querida Amazonia*, papież nie dopuścił takiej możliwości.

Trawione klerykalizmem kapłaństwo urzędowe, mimo Franciszka wysiłków, pograża się w coraz większym kryzysie. W obrębie szeroko rozumianego Zachodu – od Australii przez Europę po Kanadę i Stany Zjednoczone – coraz mniej jest powołań kapłańskich. W obrębie jednego pokolenia w krajach zachodnich, również w Polsce, spadnie znacząco liczba rodzimych księży. Tej luki nie da się wypełnić kapłańskim impor-

Wzywając do ochrony przyrody, papież podkreślił, że taka ochrona jest nie do pogodzenia z usprawiedliwianiem aborcji.

Wedle niego proaborcyjne ruchy ekologiczne głoszą zatem z gruntu błędne teorie

tem z Afryki, Azji czy Ameryki Łacińskiej. Potrzebne jest przemyślenie na nowo funkcji kapłaństwa urzędowego w Kościele.

Pontyfikat Franciszka nie był dostateczną odpowiedzią na „epokę zmian”, choć papież podejmował próby wypracowania takiej odpowiedzi. Świadectwem tego był obradujący w latach 2021-24 Synod o synodalności. Charakterystyczna jednak jest już sama tautologia zawarta w tytule tego zgromadzenia, które miało przede wszystkim przywrócić się potrzebom świeckich wiernych w Kościele. Zebrano masę ciekawych informacji, ale radykalnych zmian nie wprowadzono.

Nie ma zatem wypracowanej, ani doktrynalnej, ani instytucjonalnej strategii obronnej przed czekającym katolicyzm strukturalnym tąpnięciem.

Nie inaczej rzecz się ma z rewizją katolickiej etyki seksualnej i stosunku Kościoła do osób LGBT+, na co oczekiwało wielu. Franciszek nie zdecydował się wyjść z otwartą przyłbicą przeciwko konserwatystom. Lecz podjął działania, które wprawiały ich w konsternację.

Tak było z dopuszczeniaemdo komunii eucharystycznej osób rozwiedzionych, a pozostających w nowych związkach. Temat pojawił się Synodzie Biskupów o rodzinie w październiku 2015 r. Po pół roku papież ogłosił adhortację *Amoris laetitia*, która wywołała osłupienie w konserwatywnej części Kościoła. Największe kontrowersje wzbudził VIII rozdział: „Towarzyszyć, rozpoznać i włączyć to, co kruche”.

Papież zwrócił tam uwagę na „niezliczoną różnorodność sytuacji” osób, które rozwiodły się i zawarły ponowny związek cywilny. Zdaniem Franciszka w trosce o dobro duchowe takich osób, konieczne jest rzetelne rozeznanie ich sytuacji, bo stopień odpowiedzialności za rozpad pierwszego, zawartego w Kościele małżeństwa może w różnych przypadkach okazywać się bardzo odmienny. Tym samym zachodzi konieczność odniesienia ogólnej normy o nierozdzielności małżeństwa do sytuacji konkretnych osób, co powinno odbywać się w ramach „duszpasterskiego towarzyszenia” i na „drodze rozeznania”.

To wszystko ma się co prawda dokonywać „zgodnie z nauczaniem Kościoła i wytycznymi biskupa”. Ważny jest „proces rozeznawania”, w którym nie może zabraknąć rachunku sumienia, obiektywnej analizy sytuacji dzieci i opuszczonego współmałżonka, prób i możliwości pojednania, uwzględnienia konsekwencji nowej relacji wobec pozostałej rodziny, a także lokalnej wspólnoty wiernych. W rozeznaniu, któ-

re ma doprowadzić do możliwości ponownego przystąpienia do komunii osoby rozwiedzionej, chodzi zatem o rozważny wybór oparty na „właściwej ocenie sytuacji”. Ta musi być otwarta na kolejne etapy rozwoju człowieka i jego podejmowane w sumieniu decyzje, ale prymat sumienia jest w procesie rozeznawania niezaprzeczalny.

Odpowiedzią był upubliczniony przez kardynałów Burke’a, Brandmüllera. Meisnera i Caffarę list z tzw. dubiami, czyli wątpliwościami. Hierarchowie pytali, czy odtąd można w pewnych wypadkach udzielać rozgrzeszenia i dopuszczać do komunii świętej osoby, które mając zawarty ważnie związek małżeński, żyją z inną osobą i współżyją z nią seksualnie.

Papież nie odpowiedział wprost. W wywiadach podkreślał za to, że misją Kościoła musi być przekazywanie ludziom miłosiernego planu Boga. W związku z tym hierarchowie nie mogą się kierować legalizmem, lecz powinni powoływać się na Boga, który w Chrystusie objawił się ludzkości jako miłosierdzie.

Taka teologiczna perspektywa stoi też za opublikowaną pod koniec 2023 r. przez Dykasterię Nauki Wiary deklaracją *Fiducia supplicans* („Błagająca ufność”). W dokumencie dopuszczono możliwość blo-

gosławieństwa (choć poza obrzędami stricte liturgicznymi) dla par jedнопłciowych oraz dla par pozostających w tzw. sytuacjach nieregularnych (czyli żyjących w związkach, które nie mają charakteru katolickiego małżeństwa sakramentalnego).

Mimo olbrzymiej dozy kościelnej sofistyki zawartej we wspomnianej deklaracji zmiana przez nią wprowadzona jest ogromna. Dokument pokazuje bowiem, że pary jedнопłciowe i te, które nie są małżeństwami w rozumieniu katolickim, mają swoje miejsce w Kościele. Uznano to, co do tej pory w Kościele nie zyskiwało uznania. Ludzie w nich żyjący mają podobne prawo do przyjmowania głoszonego przez Kościół miłosierdzia, jak i ci, w których dotąd widziano katolików jedynie „prawowiernych”.

Miłosierdzie to jeden z lejtmotywów pontyfikatu Franciszka – ogłosił on nawet rok 2016 nadzwyczajnym, jubileuszowym Rokiem Miłosierdzia.

Refleksja doktrynalna nad nim skłoniła papieża do rewizji katolickiego stanowiska w sprawie kary śmierci, którą dotąd Kościół przez wieki dopuszczał jako jeden z wymogów sprawiedliwości. W zmienionym fragmencie Katechizmu czytamy: „Dzisiaj coraz bardziej umacnia się świadomość, że osoba nie traci swej godności nawet po popełnieniu najcięższych przestępstw.

Co więcej, rozpowszechniło się nowe rozumienie sensu sankcji karnych stosowanych przez państwo. Ponadto zostały wprowadzone skuteczniejsze systemy ograniczania wolności, które gwarantują należyłą obronę obywateli, a jednocześnie w sposób definitywny nie odbierają skazańcowi możliwości odkupienia win. Dlatego też Kościół w świetle Ewangelii naucza, że kara śmierci jest niedopuszczalna, ponieważ jest zamachem na nienaruszalność i godność osoby, i z determinacją angażuje się na rzecz jej zniesienia na całym świecie”.

Franciszek podkreślił, że państwu powinno zależeć, by dać więźniom szansę na prawdziwą zmianę życia, zamiast inwestować pieniądze w ich tłumienie, tak jakby byli istotami ludzkimi, które nie są już warte życia i których należy się pozbyć. Taka postawa papieska opierała się na niezbitym przekonaniu o powszechnym braterstwie ludzi.

Miało to wielkie znaczenie dla dialogu międzyreligijnego. W lutym 2019 r. podczas wizyty w Zjednoczonych Emiratach Arabskich podpisał z imamem Al-Azharu z Kairu dokument „Braterstwo między ludźmi dla pokoju na świecie i wspólnej koegzystencji”, za-

wierający apel do przywódców świata, aby poważnie zaangażowali się w szerzenie kultury tolerancji. Gdy świat pogrąża się w kryzysie zaniku wartości duchowych, tym bardziej trzeba podkreślać, iż nie wolno instrumentalizować religii i używać imienia Boga do usprawiedliwiania zabójstw, wygnania, terroryzmu i różnych form ucisku.

Autorzy stwierdzili dobitnie, że pluralizm religijny jest w zgodzie z wolą Boga i nikt nie może być zmuszany do przyjęcia którejkolwiek religii. Wyznający różne religie powinni mieć za to takie same prawa obywatelskie.

Takie nastawienie Franciszek podkreślał w encyklikach. W 2015 r. ogłosił *Laudato si* („Bądź pochwalony”), w której wzywał do tzw. nawrócenia ekologicznego. Wezwaniu towarzyszyła refleksja nad wspólnotą człowieka i przyrody, degradacją środowiska naturalnego i kryzysem klimatycznym.

Za głównego sprawcę zła w tej sferze Franciszek uznał skrajny konsumpcjonizm, któremu należy dać odpór przez postawę globalnej solidarności z wszystkimi tymi, którzy cierpią z powodu zamieszkiwania w środowisku tak zepsutym ludzką działalnością, że nie nadaje się już ono do życia. Papież wysunął postulat „ekologii ludzkiej”, to jest „niezbędnej relacji życia człowieka z prawem moralnym wpisanym w jego naturę”.

Ekologia taka nie może zaistnieć bez solidarności międzypokoleniowej i troski o to, jaką Ziemię przekażemy w spadku naszym następcom. Słusznie upatrywano w tym papieskimi postulatcie odejście od antropocentrycznego modelu teologii katolickiej.

Inna rzecz, że papież, wzywając do ochrony przyrody, podkreślił, że taka ochrona jest nie do pogodzenia z usprawiedliwianiem aborcji. Wedle niego proaborcyjne ruchy ekologiczne głoszą zatem z gruntu błędne teorie. Franciszek ani o krok nie zliberalizował więc antyaborcyjnej postawy Kościoła.

Jeszcze mocniejsze niż w *Laudato si* wezwania do globalnej solidarności znalazły się w encyklice *Fratelli tutti* („Wszyscy bracia”) z 2020 r. Franciszek podkreślił, że przy braku powszechnego braterstwa „przekazywany jest egoizm, przemoc, korupcja w jej różnych formach, obojętność, a ostatecznie życie zamknięte na wszelką transcendencję i ograniczone korzyściami indywidualnymi”.

Taka postawa z konieczności musi prowadzić do konfliktów i wojen, a wbrew te-

mu, co głosiła katolicka teologia moralna przez wieki, trudno dziś byłoby uznać jakiegokolwiek wojny za wojny sprawiedliwe. Rosyjska agresja na Ukrainę w lutym 2022 r. wystawiła takie Franciszkowe myślenie na próbę.

Po rozpoczęciu inwazji papież wielokrotnie mówił o cierpieniach powodowanych przez wojnę po obu stronach konfliktu. Z jego wypowiedzi wynikało niezbicie, że dla ofiar agresji miał wiele współczucia. A jednak sprawcy zła nie byli jednoznacznie wskazani. Franciszkowi długo nie przechodziły przez usta słowa „Rosja” i „Putin”.

Za to wkrótce po rozpoczęciu wojny odbyło się telespotkanie z patriarchą Moskwy Cyrylem, który od początku błogosławił rosyjskie wojska. Po telemoście Watykan opublikował komunikat wrapwiający w osłupienie: „papież podziękował patriarche za to spotkanie, motywowane pragnieniem wskazania drogi do pokoju i modlitwy o dar pokoju, aby ustał pożar”.

Papież zgodził się z patriarchą, że „Kościół, nie może używać języka polityki, ale języka Jezusa”. „Jesteśmy pasterzami tego samego Świętego Ludu, który wierzy w Boga, w Tróję Świętą, w Świętą Matkę Boga: dlatego musimy się zjednoczyć w wysiłkach, by pomóc pokojowi, pomóc cierpiącym, poszukiwać dróg pokoju, aby powstrzymać pożar”.

Obydwa przywódcy religijni podkreśliли wyjątkowe znaczenie trwającego procesu negocjacji, ponieważ, jak powiedział papież: „Rachunek za wojnę płacą ludzie, są to żołnierze rosyjscy i ludzie, którzy są bombardowani i giną. „Jako pasterze – kontynuował papież – mamy obowiązek być blisko i pomagać wszystkim ludziom, którzy cierpią z powodu wojny. Kiedyś, nawet w naszych Kościołach, mówiło się o świętej wojnie lub wojnie sprawiedliwej. Dziś nie możemy tak mówić. Rozwinęła się chrześcijańska świadomość znaczenia pokoju”.

Zgadzając się z patriarchą, że „Kościoły wezwane są do wniesienia wkładu w umacnianie pokoju i sprawiedliwości”, papież Franciszek stwierdził: „Wojny są zawsze niesprawiedliwe. Bo tym, kto za nie płaci, jest lud Boży. Nasze serca nie mogą nie płakać na widok zabitych dzieci i kobiet, wszystkich ofiar wojny. Wojna nigdy nie jest drogą.

Duch, który nas jednoczy, prosi nas jako pasterzy, abyśmy pomagali narodom cierpiącym z powodu wojny”.

Jest to jeden z najbardziej kuriozalnych komunikatów wydanych przez Watykan w ostatnich dekadach. O jakiej bowiem wojnie rozmawiali ze sobą biskup Rzymu i patriarcha Moskwy? O wojnie *in abstracto*, której kilka poruszających rozważań poświęcił papież w swojej ostatniej encyklice *Fratelli tutti*? Czy może o wojnie obronnej (a taką właśnie podjęli Ukraińcy), która w tejże encyklice nie zyskała papieskiej aprobaty jako (a takie tłumaczenie w doktrynie katolickiej przyjmowano od wieków i jest ono dotąd zgodne z powszechną, niezgadającą się na – absolutyzowany nawet w warunkach przerażającej przemocy – pacyfizm intuicją moralną „wojna sprawiedliwa”?

Papież pisał we wspomnianej encyklice z emfazą: „Tak łatwo wybrać wojnę, posługując się wszelkiego rodzaju wymówkami, pozornie humanitarnymi, obronnymi lub przewencyjnymi, uciekając się także do manipulacji informacją. Faktycznie, w ostatnich dekadach wszystkie wojny były rzekomo »usprawiedliwione«. »Katechizm Kościoła Katolickiego« mówi o możliwości uprawionej obrony przy użyciu siły zbrojnej, co oznacza wykazanie, że istnieją pewne »ściśle warunki uprawnienia moralnego«. Łatwo jest jednak popaść w zbyt szeroką interpretację tego możliwego prawa. Próbuje się w ten sposób usprawiedliwić także ataki »prewencyjne« lub działania wojenne, które łatwo pociągają za sobą »poważniejsze zło i zamęt, niż zło, które należy usunąć«.

Chodzi o to, że od czasu rozwoju broni jądrowej, chemicznej i biologicznej, a także ogromnych możliwości, jakie dają nowe technologie, wojnie dano niemożliwą do skontrolowania moc niszczycielską, która uderza w niewinnych cywilów. Doprawdy ludzkość nigdy nie miała tyle władzy nad sobą samą i nie ma gwarancji, że dobrze ją wykorzysta. Nie możemy już zatem myśleć o wojnie jako o rozwiązaniu, ponieważ ryzyko pżawsze przeważa nad przypisywaną jej hipotetyczną użytecznością”.

„Nigdy więcej wojny!” – zakończył wywód Franciszek.

Wedle autora *Fratelli tutti* wojna nie jest już rozwiązaniem. Ze słów i przemilczeń Franciszka nie dało się jednoznacznie wy-

wnioskować, że takim rozwiązaniem również nie może być błogosławiona przez patriarchę Moskwy putinowska „specoperacja”.

Papież w imię dyplomatyczno-ekumenicznych racji nie chciał publicznie dostrzec w owej „specoperacji” działań, które w ujęciu Cyryla są właśnie „prewencją” przeciw wystawiającemu w Ukrainie macki swej zgnilej aksjologii Zachodowi (jego synonimem stała się w propagandzie rosyjskiego rządu tzw. gejEuropa).

W opinii papieża w obecnej sytuacji historycznej nic takiego jak „wojna sprawiedliwa” (wszystko jedno, czy przewencyjna, interwencyjna bądź obronna – nie wspominając o „świętej wojnie” z niewiernymi) zaistnieć bowiem już nie może.

Niezależnie zatem od priorytetu dyplomacji watykańskiej, jakim od dekad są dobre relacje z Cerkwią moskiewską, największą wspólnotą prawosławną świata, w postawie Franciszka względem wojny rosyjsko-ukraińskiej doszło do doktrynalnego zapętlenia. Stawszy się niewolnikiem głoszonych przez siebie koncepcji na temat niemożliwości wojny sprawiedliwej, nie potrafił odpowiednio wesprzeć ofiar rosyjskiej inwazji.

Zapomniał też, że wezwania do pojednania w sytuacji, gdy atakowani wciąż doświadczają agresji napastników, są zwyczajnie puste.

Pontyfikat Franciszka odmienił papieństwo. Nie był przełomem doktrynalnym, choć modyfikacje wprowadzone przez papieża do nauczania Kościoła i tak są solą w oku konserwatystów. Franciszek otworzył jednak pole dla następców, bez skrupułów eliminując z gry tych, którzy przeciwstawiali się jego wizji Kościoła. Tak postąpił z tradycjonalistami, którym – wbrew decyzjom Benedykta XVI – ograniczył do minimum możliwość liturgii trydenckiej.

Jego różne wypowiedzi, niespójne z nauczaniem katolickim, a nawet z tym, co oficjalnie sam głosił, określano kąśliwie jako „magisterium samolotowe”. Bergoglio pokazał jednak, że urząd Piotrowy można sprawować inaczej niż jego znamienici poprzednicy. Nie dokonał w Kościele rewolucji, ale przygotował podwaliny pod tę, która i tak będzie musiała nastąpić. ●

Kto to właściwie ten papież?

Wkoło słyszę o traumie i żalobie. A ja mam tylko obrzydzenie, znudzenie, niechęć, poczucie śmieszności i daremności

Jarosław Mikołajewski

Kiedy prezenter TVN24, zaskoczony i zmieszany, poinformował nagle o śmierci papieża, na tę jego chwilę zmieszania zdjął mnie strach, że oto zdarzyło się coś naprawdę wielkiego.

I kiedy w końcu wypowiedział nieuchronne słowa, poczułem ulgę. Tak więc Putin nie zbombardował Lwowa? Trzęsienie ziemi nie zmiotło Lizbony? Armia rosyjska nie przekroczyła granicy? Umarł papież? Tylko tyle?

Dopiero w drugiej chwili zrobiło mi się przykro, wziąłem do ręki telefon, wszedłem na Facebooka i napisałem:

Franciszek nie żyje. Był dobrym papieżem, niespodzianką. Kiedy ludzie masowo płynęli z Afryki na Lampedusę, przesłał im karty telefoniczne – żeby mogli zadzwonić do rodzin.

Domyślał się ludzkich potrzeb. Upominał się o naturę. Próbował zaważać o ludzi niewygodnych dla Kościoła. „Someone who tried but didn’t know” (Pavese) Bardzo mi go żal.

To wszystko. Ani mi do głowy nie przyszło, żeby rozliczać go z moich rozczarowań, z niespełnionych nadziei, niefortunnnych i nietrafnych, nawet głupich wypowiedzi i ruchów. Bo takie rzeczy – myślałem – to materia rozliczeń, namysłu. I stało się, dostałem słuszną ripostę: bardzo szybko dowiedziałem się, że zapominam o pomijaniu przez niego Ukrainy, o zrównywaniu jej w odpowiedzialności za wojnę.

I przyznam, że – pewnie dlatego, że autorkami zarzutów są publicystki, reporterki, poetki, które cenię i lubię, z których zdaniem się liczę, i gdyby powiedziały, że mój czas publikowania się skończył, wziąłbym sobie to do serca – komentarze zrobiły na mnie wielkie i przykre wrażenie. Także z egotycznych powodów: przecież sam, jakiś czas temu, po długim czasie, ogłosiłem (jakże pochop-

nie) uniezależnienie od Kościoła, utratę zainteresowania, głęboki zawód Franciszkiem. A ponadto jednoznacznie potępiał Rosję i wspieram Ukrainę wszystkimi dostępnymi środkami, wierszem, piosenką, niedoskonałym czynem, rabanem, przyjaźnią.

Czego więc dowiedziałem się z reakcji koleżanek? Po pierwsze uprzytomniłem sobie raz jeszcze, że muszę zadbać o precyzję i kompletność wypowiedzi (do „jest mi żal” nie dodałem „chociaż” lub „ale”).

Po drugie – że, pozornie podobni, mamy całkiem inne historie i wrażliwości. Dla mnie rzeczą ważną było uproszczenie i wyczenie Kościoła na prostotę. Dla przyjaciół i przyjaciółek po prostu czas istnienia czegoś takiego jak Kościół się skończył, i nie wiadomo już, po co taki twór w ogóle istnieje.

Nie odrobiłem lekcji, którą dostałem jako prowadzący własną audycję w Radio Nowy Świat, kiedy zaprosiłem do studia wyjątkowych kapłanów, księży Lemańskiego i Wierzbickiego i spodziewałem się wyrazów zaintereso-

wania, a spotkały mnie wyrzuty, że – dosłownie – sprowadzam „czarnych, którym dziękujemy za obecność w naszym życiu prywatnym i społecznym”. Tak w ogóle. Bezwyjątkowo.

Nie doceniłem też najwyraźniej przestrogi, jaka kryła się w rozmowie, którą już po śmierci Jana Pawła II, jako korespondent Wyborczej, miałem z wielkim Antonio Tabucchim.

„Umarł papież...” – zacząłem. I nie zdążyłem wyprowadzić pytania, kiedy usłyszałem pytanie pisarza „A kto to taki ten papież?...”.

I w innej, którą poczęstowała mnie przewodnicząca kobiecej organizacji katolickiej: „Mówi się, że Jan Paweł II godnie umierał... Przecież starość to starość, a on akurat miał najlepszą na świecie. Inni takiej nie mają...”.

Od tej pory zastrzeżenia rozmówców stały się moimi i dzisiaj już sam uważam, że śmierć papieża jest śmiercią człowieka. A że zawsze w pierwszej reakcji na wiadomość, że człowieka już nie ma, narzuca mi się głupio jego krok, głos i myśl, że już ich nie

zobaczę i nie usłyszę, tak samo było tym razem.

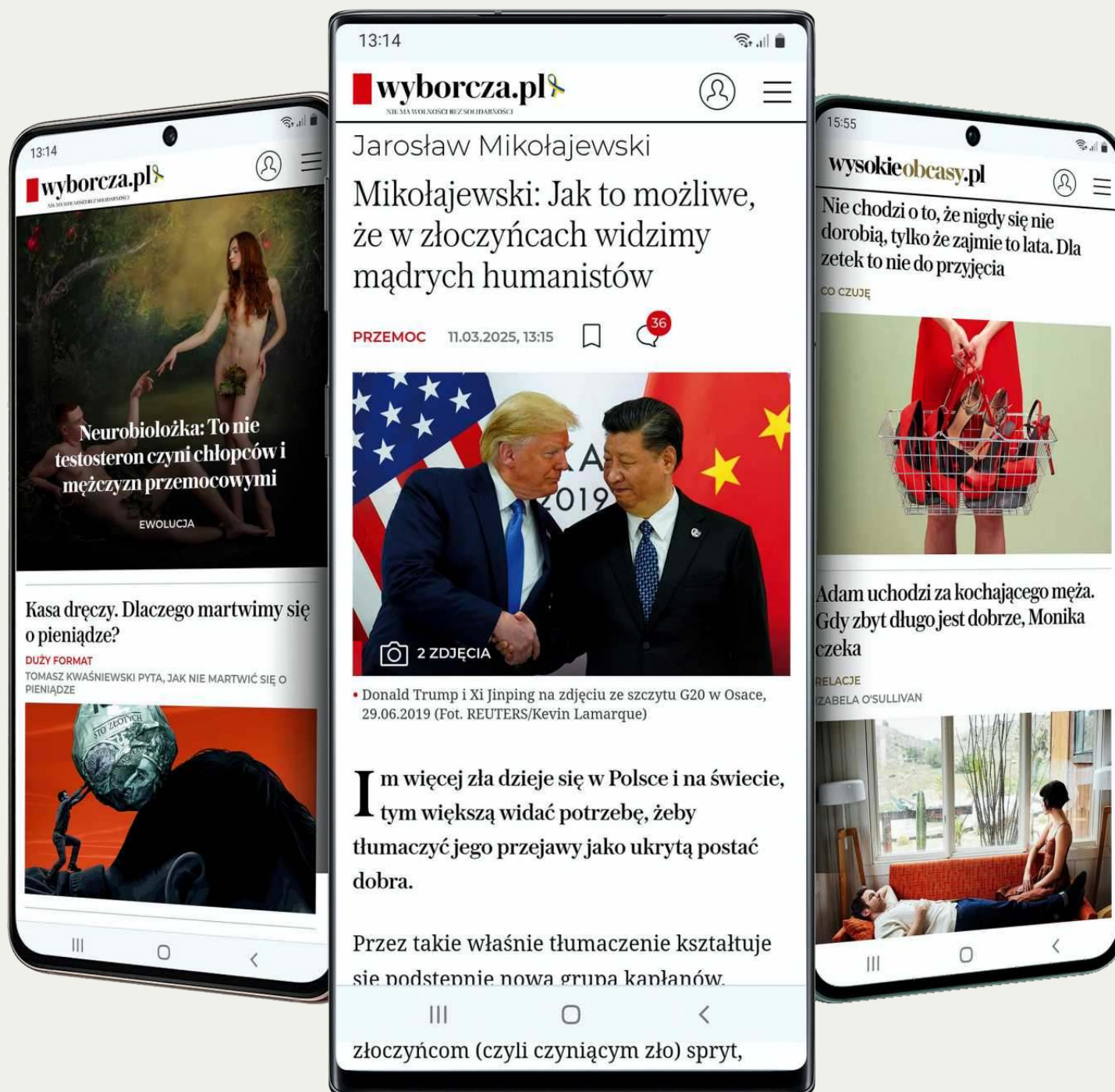
Oto okazuje się po raz kolejny, że w orbicie Kościoła trwa nie walka czy różnica zdań, tylko trauma. A ja nie mam tej traumy. Mam tylko obrzydzenie, znudzenie, niechęć, poczucie śmieszności i daremności, ale nie traumę, która nie dopuszcza nawet cienia smutku, żalu, nie mówiąc już o żalobie. Mam też inspirującą postać Jezusa, którego Kościół zdradził swoimi papieżami, a dla mnie i dla mojej pracy pisarskiej znów właśnie stał się ożywczy od chwili, gdy zdałem sobie sprawę, że kazał Tomaszowi włożyć sobie palec do rany. Dosłownie. Do rozprutego ciała.

Trudno: Kościół już nie chce rozumieć. Chcę natomiast rozumieć otoczonego Jezusa, a także przyjaciółki i przyjaciół, których same słowa „Kościół” i „papież” parzą i brzydzą. Sam mam podobnie, lecz nie aż tak. W każdym razie jest mi obojętne, kto zostanie nowym papieżem. Znam osoby kilku kandydatów, i w żadnym nie widzę materiału na Jezusa Chrystusa. Amen. ●



Trzymaj się faktów

Zeskanuj mnie



SPOŁECZEŃSTWO



Jesteśmy zmęcz

Może na początek wystarczy
spróbować robić jedną rzecz naraz?

Agnieszka Jucewicz

Wracam z pracy i nie jestem w stanie już nic zrobić”, „Mogłabym spać cały tydzień”, „Nie mam na nic siły”, „Jakby ktoś mnie odłączył od prądu” – takie zdania słyszę ostatnio w odpowiedzi na pytanie: „Jak się masz?”.

Jesteśmy zmęczeni. Zbyt zmęczeni na sport, na seks, spotkania z przyjaciółmi, nawet na rozmowy z bliskim. I nie jest to kwestia przedwiośnia.

Gnicie w łóżku i senna turystyka

Według zeszłorocznego raportu „Zmęczony jak Polak w pracy” często albo codziennie zmęczona jest niemal połowa pracodawców i pracowników – tak umysłowych, jak i fizycznych. Wyczerpani są nauczyciele, lekarze, pracownicy kultury, aktywiści. Pracujący w przemyśle i w usługach. Rodzice małych dzieci i nastolatków. Bezdzielni w związkach i single. Seniorzy i studenci. Coraz częściej również najmłodsi.

I to nie tylko w Polsce. Cały świat wydaje się wyczerpany.

Według sondy „National Health Interview Survey” z 2022 roku 13,5 proc. dorosłych Amerykanów przez większość dni poprzedzających badanie czuła się bardzo zmęczona albo wręcz wykończona. W grupie kobiet w wieku 18-44 lata odsetek ten wyniósł aż 20 proc.

W tym samym roku firma badawcza YouGov ogłosiła, że co ósmy Brytyjczyk czuje się zmęczony przez cały czas – stan, który wśród pracowników publicznej ochrony zdrowia dorobił się skrótu TATT („tired all the time”), a co czwarty jest zmęczony przez większość dni.

Według niemieckiej Statystyki 18 proc. naszych zachodnich sąsiadów w 2021 roku czuło się bardzo zmęczonych codziennie, a co trzeci – dwa-trzy razy w tygodniu.

O potrzebie odpoczynku świadczyć może masowe zainteresowanie higieną snu, rytuałami przygotowującymi do snu, gadżetami poprawiającymi jego jakość oraz suplementami i lekami ułatwiającymi zaśnięcie.

W zeszłym roku słowem, które awansowało z platform społecznościowych do słownika Dictionary.com, było „bedrotting”, czyli bezproduktywne, całonocne poleganie w łóżku, po to by naładować baterie. I chociaż specjaliści mają wątpliwości co do wartości regeneracyjnych takiego „gnicia w łóżku” (tłumaczenie dosłowne), to trend ma swoje pięć minut.

Na horyzoncie widać kolejne: „sleep divorce” – spanie osób będących w związku w oddzielnych łóżkach albo pokojach; „sleep tourism” – podróżowanie nie w celu poznawania innej kultury, ale po to, by się po prostu porządnie wyspać.

Wielkie wyczerpanie

W 2021, rok od wybuchu pandemii COVID-19, najchętniej czytany tekstem „The New York Timesa” był artykuł popularnego psychologa organizacji pracy Adama Granta pt. „To beznadziejne uczucie, które odczuwasz, ma nazwę: »marnienie«”. Po angielsku to „languishing” – poczucie stagnacji i pustki. Autor nazwał je zaniedbanym, „środkowym dzieckiem” zdrowia psychicznego, „pustą przestrzenią” pomiędzy depresją a rozkwitem. Tłumaczył: „To nie wypalenie – wciąż mieliśmy energię. To nie depresja – nie czuliśmy się całkowicie beznadziejnie. Czuliśmy się po prostu pozbawieni radości i celu. (...) Jakby się brnęło przez dni, patrząc na życie przez zamgloną szybę”.

I choć marnieniu bliżej raczej do apatii niż do zmęczenia, to coś jest na rzeczy. Stosując rodzinną analogię Granta, można powiedzieć, że to kuzyn wyczerpania. Przedsmak stanu, w którym dziś znajduje się wiele osób.

Pod koniec 2023 roku „The New Yorker” opublikował głośny tekst Cala Newporta, popularnego profesora informatyki z Georgetown University, autora takich książek, jak „Praca głęboka” czy „Cyfrowy minimalizm”. Newport dowodził w nim, że po zjawisku wielkiej rezygnacji (w pandemii 47 mln Amerykanów dobrowolnie odeszło z pracy) nadszedł czas wielkiego wyczerpania.

„Wszyscy są zmęczeni” – skwitował. I mimo iż pisał to w odniesieniu do amerykańskiej rzeczywistości oraz głównie z myślą o pracownikach umysłowych, to sądząc po popularności tekstu, niejedna osoba się w tej diagnozie odnalazła.



43 proc. osób „wypalonych” to menedżerowie średniego szczebla. To są ci ludzie ze strefy „zgniotu” – pomiędzy presją z góry a oczekiwaniami z dołu

Podobną diagnozę kilka miesięcy później postawiła na łamach „The Time” Emily Ballesteros, psycholożka. W tekście „Dlaczego jesteśmy bardziej wyczerpani niż kiedykolwiek wcześniej” pisała: „Większość osób nie jest zaskoczona, słysząc ten termin [wielkie wyczerpanie]. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy zmęczeni, i widzimy to w wyborach, jakich dokonujemy każdego dnia: zamawiając obiad, ponieważ nie mamy energii, by go ugotować; usiłując znaleźć sposób na pracę z domu, by nie musieć dodawać do planu dnia dwugodzinny dojazd do pracy; rzadko udzielając się towarzysko, bo skoordynowanie napiętych harmonogramów wy-

daje się niemożliwe; całkowicie pozbawiając nasze hobby priorytetu – lista jest bardzo długa”.

Zmęczenie przez wieki

Praktycznie każda epoka i każde środowisko miały swoje zmęczenia. Ojcowie pustyni, czyli chrześcijańscy mnisi żyjący w Egipcie w IV wieku, doświadczali na przykład acedii. Osoby nią dotknięte miały poczucie, jakby ich umysł ogarniał „cuchnący mrok” – jak pisał asceta Jan Kasjan. Towarzyszyło temu „poczucie przygwożdżenia, miękkich kolan, bezwładu kończyn i rozpalonej głowy” – to z kolei mniszka Amma Theodora.

W XVI wieku szwajcarski lekarz, przyrodnik i filolog Konrad Gesner wieszczyl, że po wynalezieniu prasy drukarskiej ludzkości grozi rychle przeciążenie informacyjne, które znacznie utrudni myślenie.

Zmęczenie przez wieki powodowała ciężka, fizyczna, czasem niewolnicza wręcz praca, życie w niedostatku, poczucie zagrożenia wojną, okres wojny, odbudowy po zbrojnych konfliktach. Niewątpliwie historię ludzkości dałoby się opowiedzieć przez pryzmat zmęczenia. To historia zdobywania, poświęcania się i rozwijania, ekspansji, ciągłej adaptacji do zmian – technologicznych, obyczajowych, kulturowych. Ale to również historia niszczenia, wykorzystywania i zabijania – a to też męczy.

Czy to współczesne zmęczenie jest więc jakoś inne? Bardziej męczące?

W pracy nie ma darmowych kołaczy

Danuta Rocławska, psycholożka specjalizująca się w profilaktyce wypalenia zawodowego i pracy z osobami wypalonymi, autorka książki „Próba ognia. Jak przejść przez wypalenie zawodowe i odzyskać energię do pracy” (ukazuje się w sierpniu), przyznaje, że spotyka coraz więcej zmęczonych osób, i to nie tylko w gabinecie.

– Wydaje się, że zdanie: „Jestem zmęczony, zmęczona”, to mantra współczesnego świata – mówi. – Jeszcze jakieś 10 lat temu wypalenie częściej dotyczyło profesji, które koncentrują się na pomaganiu innym. Ostatnio jednak zaczęło się pojawiać u przedstawicieli najróżniejszych zawodów.

Mocno wypalającą się branżą jest IT. „Spalają się” też prawnicy, pracownicy marketingu, specjaliści różnych dziedzin. A także osoby pełniące konkretne funkcje. Międzynarodowe badanie przeprowadzone na zlecenie firmy Slack wykazało, że aż 43 proc. osób deklarujących wypalenie to menedżerowie średniego szczebla. To są ci ludzie ze strefy „zgniotu” – funkcjonujący pomiędzy wymaganiami i presją z góry a oczekiwaniami z dołu.

Według wspomnianych badań „Zmęczony jak Polak w pracy”, jak i badań Eurostatu znajdujemy się w czołówce zapracowanych nacji.

– Ale godziny poświęcane na pracę to nie wszystko – zauważa Rocławska. – Badanie instytutu badawczego Ranstad z 2023 roku pokazuje, że ponad jedna trzecia z nas ma zaległy urlop, średnio to około 10 dni. Pytanie też, co się dzieje, kiedy już się na niego wybierzemy. W tym samym badaniu możemy przeczytać, że aż 55 proc. osób na wakacjach odbiera telefony służbowe, a 43 proc. odpisuje na maile, czyli zamiast się oderwać od pracowego źródła stresu, pozostają do niego cały czas podpięte.

Co jeszcze może nas wypalać? – Przeciążenie zadaniami, tak jakościowe, jak i ilościowe, nieadekwatne do naszych możliwości. Zła organizacja pracy. Wiadomo, że tam, gdzie są systemy zmianowe, ludzie mogą być bardziej narażeni na przemęczenie, ale coraz częściej wypala też praca zdalna – mówi Rocławska. – Ona ma sporo oczywistych zalet, jednak może też być źródłem izolacji. Pracując zdalnie, tracimy dostęp do środowiska pracy nie tylko w postaci miejsca, lecz również ludzi, którzy mogą stanowić wsparcie: merytoryczne, rzeczowe i emocjonalne.

Rocławska wymienia kolejne elementy pracy zdalnej, które sprzyjają wypaleniu:

- możliwość zatracenia się w pracy praktycznie 24 godziny na dobę;
- przeciążenie wideoczatami (mamy już dobrze przebadane zjawisko „Zoom-fatigue”);
- przebodźcowanie i rozproszenie spowodowane przez ciągle przychodzące powiadomienia, wiadomości, serwisy społecznościowe.

Wypalony menedżer pociąga

Łatwo to sobie wyobrazić. Powiedzmy, że pracujemy nad projektem X. W tym czasie przychodzi ważny mail w sprawie projektu Y, a 30 sekund później dwa „niecierpiące zwłoki” maile z działu handlowego. Za 20 minut mamy videokonferencję,

na której odgrywamy rolę lidera, a pół godziny później wideospotkanie z przełożonym, któremu musimy przedłożyć wyniki naszej pracy. W tak zwanym międzyczasie przychodzi wiadomość od dziecka, że zło się czuje, a potem SMS-a od sąsiada, że pies znów wyje. Tymczasem nie minęła jeszcze godzina...

Badania profesor Glorii Mark z University of California w Irvine, która od ponad 20 lat przygląda się wpływowi technologii na naszą zdolność koncentracji, dowodzą, że jeszcze w 2003 roku uczestnicy eksperymentów byli w stanie utrzymać uwagę na zadaniu wykonywanym na ekranie średnio przez 2,5 min. W 2012 roku ten czas wyniósł już 75 sekund. A w ostatnich kilku latach skurczył się do 47 sekund. Wiele i wielu z nas pracuje w ciągłym stanie rozproszenia – nieustannie przenosząc uwagę z jednego zadania na drugie, z jednego celu na drugi.

Skutki? Przede wszystkim rośnie ryzyko błędów. Po drugie, pogarsza się nasza wydajność – żeby dokończyć wszystkie zadania, działając w ten sposób, potrzebujemy więcej czasu, niż gdybyśmy wykonywali je po kolei. Po trzecie, to wieczne rozproszenie i skakanie wzmacnia stres, a on z kolei potęguje zmęczenie.

To nie wszystko. Jak tłumaczy Rocławska, wypaleniu zawodowemu sprzyja też konflikt pomiędzy naszymi wartościami a wartościami pracodawcy. I jeszcze wspomniane przeciążenie zadaniami, załamanie wspólnoty (na przykład na skutek konfliktów albo dużych rotacji), poczucie utraty osobistej kontroli, poczucie niedowartościowania oraz niesprawiedliwego traktowania.

– Ale tak jak te powyższe obszary da się „naprawić” w porozumieniu z przytomnym menedżerem czy działem HR, tak w sytuacji konfliktu wartości nie ma co ratować. Najczęściej trzeba tę pracę zmienić – mówi.

Do czynników sprzyjających wypaleniu Rocławska dorzuciłaby jeszcze kulturę organizacji. Wszędzie tam, gdzie jest presja na wynik, na osiągnięcia, na eksploatację człowieka, gdzie słowem-kluczem jest ASAP („as soon as possible” – tak szybko, jak to możliwe), gdzie wszystko jest równie ważne i pilne, tam ludzie się częściej i szybciej wypalają.

– Jest coraz więcej świadomych firm, jednak obserwuję, że nawet w organizacjach, które – wydawałoby się – są bardziej nastawione na dbanie o dobrostan pracowniczek i pracowników, te działania ochronne bywają pozorne – zauważa psycholożka. – Sprowadzają się do jednorazowego webinaru, jak radzić sobie ze stresem czy jak się nie wypalać, po czym nic się nie zmienia. Dalej jest zgoda na przeciążanie czy inne formy eksploataowania pracowników.

Na szczęście przybywa miejsc, w których wsparcie pracowników i profilaktyka wypalenia są realne. Rocławska podaje przykład trójmiejskiej uczelni, która dwa lata temu wprowadziła siedmiogodzinny dzień pracy i bardzo tego pilnuje. – Jeśli pracodawca widzi człowieka w pracowniku, to znaczy, że widzi w nim zarówno to, co jest po stronie jego zasobów – mocne strony, talenty, intelekt czy siłę fizyczną, ale jednocześnie uznaje jego ograniczenia i fakt, że te zasoby są wyczerpywalne – mówi.

– Dalej, ważna jest sensowna psychoedukacja, żeby pracownicy potrafili u siebie, ale też u innych rozpoznać pierwsze sygnały wypalenia. Bo im szybciej się je „złapie”, tym łatwiej będzie można zapobiec kryzysowi lub z niego wyjść. Taka edukacja powinna szczególnie obejmować menedżerów, bo wypalenie w organizacjach często ma charakter „kaskadowy”, co oznacza, że wypalony menedżer może pociągnąć za sobą cały zespół.

Pierwsze sygnały wypalenia nie są takie oczywiste. To może być tworzenie dystansu, złośliwość, cynizm. Do tego dochodzi narastający brak motywacji, brak sił, coraz mniejsze zaangażowanie, no i oczywiście wszechogarniające zmęczenie.

– Badacz zjawiska Stevan Hobfoll twierdzi, że w wypaleniu następuje utrata zasobów psychofizycznych, a jednocze-

śnie nie może nastąpić ich uzupełnienie w postaci odbudowy zdolności poznawczych, fizycznych i emocjonalnych. Krótko mówiąc, zmęczenie nie mija nawet po odpoczynku – tłumaczy Rocławska. – Ponieważ nie jesteśmy w stanie się w pełni zregenerować, zaczynamy coraz gorzej przetwarzać informacje, mamy problemy ze skupieniem uwagi, jesteśmy mniej kreatywni, mniej empatyczni. Zadania, które kiedyś wykonywaliśmy bez problemu, zajmują nam coraz więcej czasu. Nie dotrzymujemy terminów. Narasta frustracja, niechęć. Na początku nasze funkcjonowanie pogarsza się w pracy, ale później również poza nią.

– Najgorsze w wypalaniu się jest to – dodaje psycholożka – że ponieważ jesteśmy wyczerpani, zaczynamy odpuszczać to, co sprawiało nam przyjemność: pasję, sport, hobby, spotkania z przyjaciółmi. Tym samym pozbawiamy się źródła radości i energii. Tego wszystkiego, co stanowi antidotum na zmęczenie. Tak naprawdę tracimy siebie w tym procesie – i to jest bardzo smutne.

Zbyt żywi, aby umrzeć. Zbyt martwi, aby żyć

Droga wyjścia z wypalenia zaczyna się od zauważenia, co się z nami dzieje. Czasem od przyjęcia tego, o czym z troską informują nas nasi bliscy albo współpracownicy.

– Wypalają się często osoby ambitne, zaangażowane, przekonane, że praca jest największą wartością i trzeba się jej poświęcić – zauważa Rocławska.

W odzyskiwaniu równowagi bardzo ważną jest nauka odpoczywania. Sprawdzają się metody małych kroków oraz cierpliwość.

Osobom na bardziej zaawansowanych etapach wypalenia dobrze może zrobić wykorzystanie zaległego urlopu albo pójście na zwolnienie lekarskie. Aczkolwiek nie jest to proste, bo wśród wypalonych jest wiele osób nadobowiazkowych. Przerwa w pracy to dla nich oznaka słabości, porażka.

„Nigdy w życiu nie byłam/nie byłam na zwolnieniu” – mówią mi takie osoby – opowiada Rocławska. – Zdarza się, że pracują w danej firmie 10, 15, 20 lat. Na pewno w tym czasie chorowały, a to oznacza, że nawet chorując, nie brały wolnego. Są często przyzwykające do eksploatowania siebie i to jest coś, nad czym też powinny popracować.

Rocławska odpowiedzi na współczesne zmęczenie szuka nie tylko w psychologii, ale także w filozofii. Ostatnio u niemieckiego filozofa koreańskiego pochodzenia Byung Chul-Hana.

– Han pisze, że przez bardzo intensywną pracę i ciągle „produkowanie się” nie mamy czasu na kontemplację. A autorefleksja jest niezbędna, by odpowiedzieć sobie na podstawowe pytania: Jaką osobą chcę być? Jakie potrzeby chcę realizować w pracy i poza nią? Co jest dla mnie ważne? Czego potrzebuję, żeby być w równowadze, a czego, by się rozwijać? – mówi psycholożka.

W swoim głośnym zbiorze „Społeczeństwo zmęczenia i inne eseje” Han stawia tezę, że żyjemy w społeczeństwie osiągnięć i rywalizacji absolutnej, w którym to ludzie wyzyskują sami siebie. W takim społeczeństwie zmęczenie jest samotne, izoluje i odosabia. I sprawia, że życie jego członków „upodabnia się do życia nieumarłych”, którzy są „zbyt żywi, aby umrzeć, i zbyt martwi, aby żyć”.

Mamy paleolityczne emocje, średniowieczne instytucje i boskie technologie.

Nasz stary mózg nie nadąża



FOT. GETTY IMAGES

Głowa cały czas myśli

Wszechogarniające zmęczenie może być objawem nie tylko wypalenia zawodowego, lecz również zaburzeń psychicznych.

– Obniżony napęd do działania jest charakterystyczny między innymi dla depresji – tłumaczy psychiatra Sławomir Murawiec. – Jedni pacjenci mówią: „Nie mam na nic siły”, inni: „Nie mam energii”, a jeszcze inni: „Jestem ciągle zmęczony, zmęczona”, ale przyjmujemy, że opisują to samo zjawisko. Zmęczenie występuje też w zaburzeniach lękowych, zwłaszcza w lęku uogólnionym (GAD). Taki człowiek bez przerwy się martwi, że za chwilę wydarzy się coś złego – a to pochłania mnóstwo energii.

– W ogóle wiele osób odczuwa dziś dużo niepewności, różnych obaw, napięć, które mogą powodować podobne zmęczenie, jak u pacjentów z lękiem – dodaje psychiatra. – Głowa cały czas myśli: o sytuacji geopolitycznej, o sytuacji w kraju, o wojnie w Ukrainie, niektórzy przejmują się kryzysem klimatycznym. I to też jest bardzo kosztowne, bo ile można myśleć o rozwiązaniach problemów, na które właściwie nie mamy wpływu.

Podobne spostrzeżenia ma psycholożka Emili Ballesteros. Według niej jednym z niedoszacowanych czynników powodującym tak masowe zmęczenie jest stres pozostający poza naszą kontrolą. „Przemoc w naszych miastach, katastrofy klimatyczne, tragedie na świecie, inflacja – to powoduje, że czujemy się bezradni. (...) I tracimy nadzieję – pisze w „Timie”. – A nadzieja jest potężnym antidotum na wyczerpanie i wypalenie. Kiedy mamy nadzieję, że będzie lepiej, znosimy trudności, nie tracąc morale”.

Popatrz na ptaki i obrazy

– Trafiają do mnie osoby wypalone zawodowo, ale też w ogóle przeciążone informacyjnie, życiowo. I one mówią jedną charakterystyczną rzecz, że są już tak zmęczone, że nic im więcej „nie wchodzi do głowy”. Nie są w stanie przyswoić nowych informacji, nauczyć się niczego nowego – mówi Mura-

wiec. – O dużym zmęczeniu mówią też osoby w średnim wieku, które z refleksją spoglądają na swoją karierę. Najczęściej zrzucają to zmęczenie na starość, choć stare jeszcze nie są.

Ale jak odróżnić wypalenie, zamartwianie się o losy świata, tzw. kryzys wieku średniego od choroby, jaką jest na przykład depresja?

Psychiatra wyjaśnia: – Przy depresji najczęściej mamy kilka objawów. Taki pacjent mówi nie tylko o tym, że nie ma energii czy że jest ciągle zmęczony, ale też o tym, że nie go nie cieszy, nie interesuje, jest mu smutno, czuje się przygaszony. Do tego często ma zaburzenia snu i dolegliwości somatyczne: mogą dokuczać mu różne bóle, może mieć trudności z oddychaniem, kłopoty gastryczne.

Osoby z lękiem uogólnionym przede wszystkim mówią: „Boję się, że coś się złego wydarzy”, „Nie mogę czegoś zrobić, bo się boję” itd. Kończy się jeden negatywny scenariusz i zaczyna drugi. Jeśli pojawia się zmęczenie albo smutek, to raczej na drugim planie.

Wypalenie z kolei jest zjawiskiem, które raczej pojawia się w kontekście pracy, ale taki ktoś może dość dobrze funkcjonować w innych kontekstach, na przykład chętnie pojedzie na ryby. Osoby, u których je podejrzewam, na pytanie: Czy mają poczucie, że zawodowo są w takim miejscu, w jakim by chciały? – najczęściej odpowiadają: „Nie, to nie to”, „Meczę się tam”.

Pytam psychiatrę, czy zanim podejmie się leczenia, zleca pacjentom badania pod kątem dolegliwości somatycznych, które mogłyby powodować duże zmęczenie, takie jak na przykład problemy z tarczycą.

– Pacjenci, którzy do mnie przychodzą, zwykle już porobili takie badania, szukając fizycznych przyczyn swojego wyczerpania – odpowiada. – Duże zmęczenie może być zresztą spowodowane nie tylko problemami z tarczycą, również innymi zaburzeniami endokrynologicznymi, niskim testosteronem, niskim poziomem cukru, różnymi chorobami autoimmunologicznymi, więc na pewno należałoby to sprawdzić.

Według Murawca przy zaburzeniach lękowych energia wraca, gdy głowa uwalnia się od ciągłego myślenia i snucia negatywnych scenariuszy. Osoby z depresją odzyskują ją, kiedy na skutek właściwego leczenia wraca im napęd. A w przypadkach związanych z wypaleniem czy z poszukiwaniem własnej drogi przychodzi zazwyczaj wraz ze zmianą – pracy czy w ogóle ścieżki życiowej. – Bo tam, gdzie jest poczucie sensu, działania w zgodzie ze sobą, tam też jest energia – mówi psychiatra.

Sam ma swoje sposoby na odreagowanie. Jednym z nich jest obserwowanie i fotografowanie ptaków. Zalety tej pasji wraz z Piotrem Tryjanowskim opisał w książce „Ornitologia terapeutyczna”. To zjawisko, które można wpisać w nurt cieszącej się coraz większym zainteresowaniem ekopsychiatrii.

– Gdy gdzieś wyjeżdżam służbowo, zawsze staram się wyjść do parku choćby na chwilę – opowiada. – Uwaga odrywa się od spraw zawodowych, przenosi na coś innego, a wtedy mózg odpoczywa. Pacjentów też staram się przekonywać, że w momencie, w którym oderwą się od zadań i zmartwień – to może być przyroda, ale też sztuka, kultura czy coś jeszcze innego – wtedy pomiędzy przysłowiową pokrywką a „plynem w garnku” ma szansę pojawić się odrobina przestrzeni psychicznej.

Zespół przewlekłego zmęczenia

Szczególną grupą, o której rzadko się mówi, są pacjenci chorujący na zespół przewlekłego zmęczenia, czyli ME/CFS (ME to skrót od „encefalopatii mialegicznej”, CFS – „chronic fatigue syndrom”). Ta rzadka i bardzo poważna choroba charakteryzująca się m.in. długotrwałym i nieustępującym zmęčeniem dotyka od 0,3 proc. do 0,6 proc. populacji.

– Polega ona na uogólnionej, systemowej nietolerancji aktywności psychicznej i fizycznej – tłumaczy prof. dr hab. Paweł Zalewski, lekarz, który od ponad 15 lat zajmuje się pacjentami z ME/CFS. – Nie wynika to z jednego, konkretnego czynnika etiologicznego – zapalnego czy autoagresywnego, tak jak to jest na przykład w przypadku chorób reumatycznych, tu ten czynnik jest nieuchwytny. I teraz tak, aktywność fizyczna na każdym etapie życia jest korzystna. Odpowiednio dobrana, nawet u osób bardzo chorych, poprawia wydolność, jakość życia. Z wyjątkiem osób chorych na ME/CFS. One po wysiłku czują się znacznie gorzej. Krótki spacer sprawia, że niektórzy dochodzą do siebie kilka dni. Wielu pacjentów już na samą myśl o wysiłku ma silną reakcję lękową.

Zalewski wyjaśnia, dlaczego tak się dzieje: – U tych osób najprawdopodobniej na skutek neuroinfekcji dochodzi do różnego rodzaju uszkodzeń – przede wszystkim w obrębie układu nerwowego, ale też funkcjonowania mitochondriów, które są odpowiedzialne za wysiłek tlenowy. Przy dużym nasileniu tego schorzenia chorzy pozostają cały czas w łóżku. Muszą mieć wyciszające słuchawki, zakryte oczy. Nadwrażliwość ich układu nerwowego jest tak wysoka, że wszelkie bodźce fizyczne, środowiskowe stają się dla nich nie do zniesienia.

– Przez lata cierpienie tych pacjentów było bagatelizowane. Często słyszeli: „Dziś każdy jest zmęczony”. Wiedza na temat tego schorzenia właściwie nie istniała – dodaje lekarz. – Pacjentów najczęściej odsyłano do psychiatry, ale leczenie psychiatryczne nie przynosiło żadnych efektów. Spojrzenie na tę dolegliwość radykalnie zmieniła pandemia COVID-19, a to dlatego, że tzw. long-covid do złudzenia przypomina ME/CFS. Różnica polega między innymi na tym, że „long-covid” u części osób trwa 6-12 miesięcy, po czym wracają one do zdrowia, tylko u niektórych powoduje trwale zmiany. Natomiast przeważającą większość pacjentów z ME/CFS nie da się wyleczyć. To straszna choroba. Niektórzy na nią umierają. Najmłodsza pacjentka miała mniej więcej siedem-osiem lat.

W poszukiwaniu straconej energii

Większość z nas nie cierpi ani na wypalenie zawodowe, ani na zaburzenia psychiczne, ani tym bardziej na zespół przewlekłego zmęczenia, a mimo to czujemy się całkowicie wyczerpani i wyczerpane. Pytam Joannę Wojsiat, doktor nauk biologicznych, autorkę bestsellera „Tak działa mózg. Jak mądrze dbać o jego funkcjonowanie”, z czego jej zdaniem to może wynikać.

– Z permanentnego trybu „włączenia” – odpowiada bez wahania. – Coraz więcej mówi się o tym, że nasz mózg nie został

stworzony do przetwarzania świata, jaki mamy. W tym świecie nie ma ciszy. Przede wszystkim mamy do czynienia ze smogiem akustycznym, czyli ciągłym hałasem – ruchem ulicznym, działalnością przemysłową itd. – który dziś po smogu wynikającym ze złej jakości powietrza jest drugim najważniejszym czynnikiem odpowiedzialnym za zanieczyszczenie środowiska.

Poza tym mamy hałas związany z przebadzcowaniem, chronicznym natłokiem informacji. Dane to nie tylko treści, które czytamy, piszemy czy świadomie analizujemy. To jest wszystko to, co nas otacza – dźwięki, obrazy, powiadomienia, serwisy społecznościowe. Nasz mózg bez przerwy je „pobiera” i przetwarza na poziomie podprogowym. Ciągła próba nadążania za informacjami, a jednocześnie poczucie, że się nie „wyra- biamy”, powoduje, że zarówno nasze mózgi, jak i ciała, bo jesteśmy całością, są nieustannie poddawane „technostresowi”. I to nas wykańcza.

Ten świat amerykański krytyk kultury, eseista Johnathan Crary nazywa światem 24/7. Jego ideałem jest nieustające działanie, aktywność, dostępność. To świat, który gdyby mógł, całkowicie pozbyłby się snu. Cyfryzacja niemal każdej sfery życia sprzyja zrealizowaniu tej ambicji – w sieci można przecież bez przerwy kupować, załatwiać „ważne sprawy”, pracować, komentować, produkować się, zdobywać i wymieniać informacje. Aż do upadłego. Twórcy portali społecznościowych i różnych aplikacji dwoją się i troją, by podtrzymać w nas lęk przed tym, że coś nas omija („fear of missing out”, FOMO) i biorąc pod uwagę stale wydłużający się czas, jaki spędzamy przed urządzeniami ekranowymi, świetnie im to wychodzi.

Wojsiat przypomina słowa socjobiologa Edwarda O. Wilsona: „Prawdziwy problem ludzkości jest następujący: Mamy paleolityczne emocje, średniowieczne instytucje i boskie technologie.” I dodaje: „Nasz stary mózg po prostu nie nadąża.”

– Część autonomicznego układu nerwowego, zwana współczulną, jest niezbędna dla naszego funkcjonowania – tłumaczy dalej biologka. – Odpowiada za mobilizację, reakcję „walcz albo uciekaj”, jest ewolucyjnie zakonserwowaną odpowiedzią na zagrożenie. Dziś jednak ta część jest bez przerwy wzbudzana, już nie przez przysłowiowego faceta z dzidą, tylko przez te różne bodźce, co powoduje, że żyjemy w chronicznym napięciu.

Zalewa nas koktajl stresu: kortyzol, adrenalina, noradrenalina. Jesliby się to działo epizodycznie i jeslibyśmy umieli się dobrze

wyregulować, czyli wykrzyczeć się po dużym stresie albo wytrząść, to jeszcze pół biedy. Ale zwykle to w sobie kumulujemy. Co gorsza, w pozycji siedzącej, przy biurkach, na kanapie, a to sprawia, że ten koktajl stresu nie znajduje ujścia.

Konsekwencje to m.in.: uszkodzenie neuronów, zaburzenie funkcjonowania połączeń w mózgu, czyli jego przyspieszona degeneracja. – Przestajemy być sobą – mówi Wojsiat. – Kiedy żyjemy w harmonii, potrafimy się zatrzymać, zrationalizować rzeczywistość. Nie interpretujemy jej na naszą niekorzyść. Kiedy zaś ta nasza część emocjonalna jest cały czas „odpalona”, tracimy dystans.

Na poziomie biologicznym tę stopniową dewastację organizmu widać choćby w układzie hormonalnym.

– Stąd powszechne problemy z płodnością, zaburzenia menstruacji u kobiet, zespół policystycznych jajników, spadek testosteronu u mężczyzn. Chroniczny stres odbiera zasoby, które są prożyciowe. Organizm dochodzi do wniosku, że po co mu one, skoro ciągle musi albo za czymś gonić, albo przed czymś uciekać? Ciało jest mądre i wie, że to nie jest czas na prokreację, na wspaniałe libido itd. – mówi Wojsiat. – W kulcie produktywności przyzwolenie na zatrzymanie się, na nicnierobienie, na odpoczynek jest uznawane albo za luksus, albo za lenistwo. A takie regularne włączenie pauzy to po prostu konieczność. Bez tego nasz układ nerwowy nie będzie mógł się zregenerować ani nie będziemy w stanie poczuć swojej żywotności.

Tak działa mózg

Wojsiat wylicza, czego potrzebujemy. Podstawa to oczywiście odpowiedniej długości i jakości sen.

– Z jakiegoś powodu matka natura i biologia wymyśliły to tak, że 30 proc. życia musimy przesypiać. Podczas snu tworzą się hormony, neuroprzekazniki, organizm się resetuje. Niedośpianie, zarywanie nocy, bezsenność sprzyjają depresji i stanom lękowym. Deprywacja snu, o której możemy mówić już wtedy, kiedy ktoś notorycznie sypia po pięć-sześć godzin, wpływa na naszą emocjonalność, odcięcie od ciała. Takie osoby często są rozdrażnione, błędnie interpretują różne sygnały, na przykład ciągle się im wydaje, że są głodne; są mniej wydajne.

Dalej, ważne są mikroprzerwy w ciągu dnia, by móc „przejść z trybu działania na tryb bycia” – zaznacza biologka. – To może być świadome przygotowanie obiadu, bez telefonu w ręce, zaangażowanie w rozmowę

z drugim człowiekiem, nie tylko o pracy – podpowiada.

Jej osobiście pomaga praktyka medytacji. Ale pomocne mogą być też wszelkie praktyki związane z nauką świadomego oddychania. – Oddech to jest „powrót do domu” – mówi. – Coś, co zawsze mamy przy sobie i czym możemy sterować. W ciele nie ma lepszego przełącznika pomiędzy osią współczulną, czyli osią „stres – kortyzol – walcz albo uciekaj”, a osią przywspółczulną, która odpowiada za odpoczynek, trawienie i reset.

Autorka „Tak działa mózg” nazywa siebie „człowiekiem rytuałem”. Kiedy czuje się zmęczona w ciągu dnia – siada, na przykład na blacie w kuchni i daje sobie 15 minut na nicnierobienie. Nie odpisuje wtedy na maile, nie sprawdza powiadomień, stara się głęboko oddychać. Świadomie szuka też ciszy. Czasem wystarczy jej 20-minutowy spacer w pobliżu domu, ale bez telefonu.



*Pojawił się „sleep tourism”
– wyjazdy organizowane
po to, by się porządnie wyspać*

– Żadnych podcastów, muzyki, żadnych rozmów. Po prostu jestem – mówi. – Na początku ludzie się tej ciszy boją. Ale kiedy uczymy umysł, że ona pojawia się w naszym życiu, to z czasem zaczyna on traktować te momenty jako nowy wzorzec funkcjonowania.

Według biologki dla uspokojenia naszych przebadzcowanych, chronicznie zmęczonych organizmów wielkie znaczenie ma również wyregulowanie rytmu funkcjonowania: ustalenie stałych pór jedzenia, snu i – jeśli to możliwe – godzin pracy. Ważny jest też ruch, „zrobienie czegoś dobrego dla swojego ciała, żeby nie być cały czas w swojej głowie”.

– Jeśli niczego nie zmienimy, ciało prędzej czy później powie „dość” – przestrzega Wojsiat. – Coraz częściej przekonują się o tym osoby, które długo jawiły się jako niezwyczajnie wydajne, nie do zdarcia. Najpierw pojawiają się subtelne sygnały, na przykład właśnie w postaci zmęczenia, ale jeśli dalej się eksploatujemy, to szept zamienia się w krzyk. I nagle mamy cukrzycę typu II albo cholesterol pod sufit, choć jesteśmy szczupli. Organizm mówi nam, że już dalej tak nie pociągnie. Chcemy, żeby to życie było

superwydajne, produktywne, pełne nie wiadomo jakich przeżyć, ale przez to ono przestaje być żywe. Zamiast zachwycić się tym, co jest tu, przy nas, ciągle myślimy o tym, że nie jest tak, jak byśmy chcieli.

Inni też są zmęczeni

Według drugiego Ogólnopolskiego Badania Higieny Cyfrowej Dorosłych przygotowanego przez Fundację Instytut Cyfrowego Obywatelstwa i Fundację Orange ponad połowa dorosłych internautek i internautów w Polsce ocenia, że na używaniu urządzeń ekranowych spędza „bardzo dużo” albo „raczej dużo” czasu.

Tylko 41,4 proc. „zawsze” lub „prawie zawsze” zasypia bez telefonu w łóżku. Tylko co trzecia osoba zawsze albo prawie zawsze tak gospodaruje czasem przed ekranem, żeby starczyło go na inne, ważne sprawy, na przykład sen czy aktywność fizyczną. Tylko co czwarta ogranicza w telefonie liczbę powiadomień z serwisów społecznościowych, komunikatorów i gier.

Tylko 23 proc. zawsze albo prawie zawsze, kiedy z kimś rozmawia w domu, na spotkaniu, w pracy, trzyma telefon poza zasięgiem wzroku. Tylko 17,7 proc. w czasie korzystania z urządzeń ekranowych zawsze lub prawie zawsze unika spożywania posiłków czy przekąsek. Dobra wiadomość jest taka, że niemal 40 proc. badanych odczuwa potrzebę poprawy swojej higieny cyfrowej.

Może nie musimy wcale oglądać serialu, którym wszyscy się zachwycają? Śledzić każdej aktualizacji na temat ważnych światowych wydarzeń? Odpisać natychmiast na wszystkie wiadomości?

Może na początek wystarczy spróbować robić jedną rzecz naraz? Jeść, kiedy jemy. Powyglądać przez okno, kiedy jedziemy autobusem. Rozmawiać z kimś, kiedy rozmawiamy. I nic więcej?

Wychodzić z wyczerpania nie musimy też sami. Skoro tyle osób współdzieli to doświadczenie, może możemy sobie nawzajem pomóc? Choćby otwierając rozmowę na ten temat? Han zmęczeniu izolującemu przeciwstawia zmęczenie rozumiane jako „więcej mniejszego ja”. To drugie zmęczenie pozwala dostrzec innych zmęczonych. Otwiera. Gromadzą się w nim „wszystkie formy życia i współżycia, jakie zanikają całkowicie w toku absolutyzacji aktywności”. „Takie zmęczenie funduje głęboką przyjaźń i umożliwia pomyślenie wspólnoty, która nie wymaga ani przynależności, ani pokrewieństwa”.

Zmęczenie „wyczerpanego ja” staje się wówczas naszym wspólnym zmęczeniem. ●

REKLAMA

Kraj/34369275

Opowieści o wojnie, historii i kobietach poszukujących „witaminy siostrzeństwa”

Wybór „małej prozy” autorki głośnej *Planety Piołun* to zbiór opowiadań o codzienności w cieniu wojny i kobietach, które z całym dobrem i złem tego świata radzą sobie samodzielnie, przyjmując historię bezpośrednio na siebie, całym ciałem. Historia przeżyta przez kobiety zawsze zawiera „treści wrażliwe” i nie różni się od historii zniewolonych narodów.



PRZEKŁAD: KATARZYNA KOTYŃSKA, JOANNA MAJEWSKA-GRABOWSKA, DAWID MOŃKO, RENATA RUSNAK

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI?



ZAPRASZAMY NA



publio.pl



Wydawnictwo
Agora

On był szybki, a ja byłam prawie tak szybka jak on i to jest najlepsze uczucie na świecie.

Anna Tkocz

Kameralna impreza. Spóźniłam się i posadzili mnie w nie moim towarzystwie. Rzeczowy, choć znudzony kelner właśnie rozdał nam zamówione napoje. Jestem zatopiona w swoim introwertycznym „odmyśleniu” i odpoczywam, najmniej ze wszystkiego potrzebuję teraz small talków.

– Mama mówiła, że wygrała pani jakiś długi rajd rowerowy.

– Wyścig – poprawiam moją rozmówczynię znad kawy, w której dość intensywnie mieszam łyżeczką. Cukier i kofeina – tym się żywię.

– Nie wiedziałam, że jest pani taką uzdolnioną rowerzystką.

Podnoszę brew. Jestem jakoś zirytowana samą koniecznością prowadzenia tej rozmowy i może powinnam po prostu przytaknąć, ale czuję się rozjuszona tą ignorancją i nie potrafię tak po prostu uśmiechnąć się i podziękować.

– Kolarzem. Jestem kolarzem – precyzuję. Z jednej strony nie zgadzam się na nazywanie mnie rowerzystką (och, dlatego oni nie rozumieją, jak wiele wymaga to czasu, organizacji i dyscypliny), ale słowo „kolarka” strasznie mnie w tym momencie uwiera. „Mam jaja większe od cyczków” – mam ochotę wrzasnąć.

Tymczasem moja rozmówczyni skłeciła właśnie kolejne pytanie: – A jaka to różnica?

Szybka znaczy wolna

Na pewnym etapie każda z nas ma trochę zrytą banię, przyznaję.

To zaczyna się niewinnie, czasem całkiem późno w życiu. Nie trenowałyśmy w dzieciństwie, nikt nas do kolarstwa nie „zmuszał”, dlatego, zamiast właśnie je rzucić w cholerę, by zająć się poważnymi sprawami, zaczynamy coraz więcej jeździć.

Wraz z jeżdżeniem przychodzi forma, kupujemy pierwszy lżejszy rower, trochę lepszy od tego, który ciągle działa, ale już nie wystarcza. Czasem triggerem jest facet, który jeździ, ale czasem to paczka znajomych, czasem jedna rozmowa w sklepie rowerowym, do którego przyszło się po dętkę (a potem przyszło ponownie, bo nikt nam wcześniej nie uświadomił, że rozmiar dętki ma znaczenie).

Kobiece amatorskie kolarstwo pełne jest przeróżnych osobowości: od przewodniczek stada, wokół których tworzy się społeczność, przez ścigające się amatorsko w różnych dyscyplinach zawodniczki, po samotne wilczyce, które jeżdżą tak dużo, że wzbudzają tym respekt najwytrwalszych facetów, a czasem nawet innych kobiet, choć o to zwykle jeszcze trudniej.

Mężczyźni zdominowali ten sport, jest ich czterokrotnie więcej*, ale – niech ktoś obudzi mnie z tego snu, jeśli rzeczywistość jest inna – facetom jest naprawdę łatwiej!

Kiedy później, zupełnie spokojnie, zastanawiam się nad odpowiedzią do pytania o rowerzystkę zadanego nad przesłodzoną kawą, dochodzę do wniosku, że kolarze i kolarki mają życie ustawione pod rower. Nie odwrotnie, nie wpłatają roweru gdzieś pomiędzy inne sprawy. To sprawy należy zgrać z rowerem. Jest to prostsze, gdy kolarstwo jest zawodem. Trudniejsze, gdy jest tylko fanaberią. Ekstremalnie trudne, gdy sprawy zaszły tak daleko, że zostałam żoną, matką i pracujesz na etacie.

Ambicja czy głupota?

Czasami wyobrażam sobie równoległy świat, w którym chodzę na rower tak po



Najlepsze uczucie na świecie

KOBIETA
wychodzi
NA ROWER

Kiedy facet wychodzi na rower, po prostu wychodzi. Wróci, kiedy wróci. Jeśli ona zapyta, on poda w przybliżeniu godzinę.
Kobieta wychodzi na rower wtedy, gdy wszystko inne już zrobiła.
Gdy ugotowała, dopilnowała, odpisała, zadbała, zorganizowała

• Anna Tkocz w czasie jednego z wyścigów



FOT. ANNA TKOCZ/25XTBLOG (2)

prostu. Bez planowania tygodnia z wnikliwością najlepszego sztabowca przed decydującą operacją. Bez szukania miejsca dla siebie w czymś, co nie zostało dla mnie wymyślone. Bez kalkulowania, czy to, co zyskuję psychicznie, dla siebie, dla swojej wolności, nie jest tak naprawdę stratą. Stratą w oczach otoczenia. Stratą w ogóle.

Nie żyjemy jednak w równoległym świecie. Żyjemy w tym, w którym kobieta na wyścigowym rowerze jest... dziwna. Podejrzana. Ambitna „za bardzo”.

Albo przeciwnie – niewystarczająco poważna, bo przecież: „Co właściwie osiągnęłaś? Ile miałaś rywalek w tym wyścigu? Wygrałaś jakąś kasę chociaż? Nie było nagród? To po co tam jechałaś?”.

Na pierwszy rzut oka to tylko rower. Można na nim przewieźć worek węgla i bańkę mleka, można go wrzucić do rowu, jak go człowiek chwilowo nie potrzebuje, i zabrać w drodze powrotnej.

Dla nas jednak rower to czas, ryzyko, obolałe ciało, rany, sińce, kontuzje, rela-

cje, przekonania, ograniczenia, zazdrość, siła, determinacja, wstyd, przyjemność, czasem strach. I pieniądze (wyrzucone w błoto). I wolność (czyli nie szybkość)! Zestaw, który niekoniecznie wpisuje się w ładne obrazy z Instagramów i reklam producentów odzieży rowerowej, gdzie kobieta ma zbyt szczupłe uda, zbyt niepokalane kolana i uśmiech, który nie ma pojęcia, jak zmienić się w grymas deficytu snu czy obłęd hipoglikemii.

Jeśli naprawdę chcesz wkurzyć faceta...

...daj mu pensję kobiety i jej zakres obowiązków.

„Moja żona? Nie, ona nie jeździ. Kolarstwo to ciężki kawałek chleba. Ciężki sport. Poza tym dzieci się same nie wychowają”.

Kolarstwo jest cudowne. Poza tym, że to rywalizacja, konkurencja, walka o waty, o bycie bardziej fit, bardziej aero, bardziej w ogóle, to także bycie poza swoim codziennym życiem, często w najpiękniejszych miejscach świata, a na pewno województwa.

Co jest w kolarstwie najgorsze? Ból dupy!

The Transcontinental Race (TCR) to marzenie każdego kolarza ultra (czyli takiego, co potrafi bardzo mało spać). To jeden z najtrudniejszych, najbardziej „chorych” wyścigów na świecie: ponad trzy tysiące kilometrów, czasem powyżej czterech, wiele krajów, trasa planowana miesiącami przed, samodzielnie. To tygodnie spędzone nad mapami, zdjęciami satelitalnymi, dziesiątki pytań bez odpowiedzi: czy lepiej „na skróty” przez góry, czy lepiej dookoła. Kilka punktów kontrolnych rozrzuconych po całej Europie, kilka obowiązkowych odcinków specjalnych o dużym stopniu trudności: przełęcz bez asfaltu, wysoko położone schroniska.

Wszystko to bez pomocy z zewnątrz, bez wsparcia, z wszystkim, czego potrzebujesz, upchany w kilka małych toreb przytroczonech do ramy, siodełka i kierownicy. Nie możesz dzielić się jedzeniem, pożyczać sprzętu, nikt nie może zarezerwować ci noclegu, nikt nie może powiedzieć

ci, który jesteś w stawce – jeśli chcesz, możesz sprawdzić to sam, dane są dostępne.

Ludzie biorą w tym udział. Płacą wpisowe, wcześniej czekając na kwalifikację, która nie zawsze następuje. Niektórzy nawet meldują się na mecie. Wielu się wycofuje. Awarie sprzętu, choroby, kontuzje, błędy w planowaniu. Różnie to bywa. Najczęstszym powodem, dla którego zawodnicy decydują się opuścić rywalizację (przepada kasa, czas poświęcony na przygotowania, zostaje niedosyt, może wstyd), jest ból przy kontakcie z siodełkiem.

W 2019 roku The Transcontinental Race wygrała kobieta – Fiona Kolbinger.

Czujecie ten ból d...?

Czas

Kiedy facet wychodzi na rower, po prostu wychodzi. Czasem z kawą w bidonie, czasem z planem treningowym (bo przecież „trening musi zostać odbyty”), czasem po prostu dlatego, że może. Wróci, kiedy wróci. Jeśli ona zapyta, on poda w przybliżeniu godzinę.

Kobieta wychodzi na rower wtedy, gdy wszystko inne już zrobiła. Gdy ugotowała, dopilnowała, odpisała, zadbała, zorganizowała. Dopiero potem może pójść robić nic, te swoje treningi. „*Co to za trening, jak jeździsz tylko po lesie?*”.

To oczywiście generalizacja – i nie każda kobieta tak żyje. Oni też mają obowiązki, też są wściekli, kiedy rower nie chce się udać, bo rodzice, bo ona, bo praca, bo pogoda, bo trzeba wymienić napęd, a to nie są tanie rzeczy. Ale wiele z nas wie, że jazda na rowerze to nie tylko decyzja: „idę pojeździć”. To negocjacje. Z domem. Z pracą. Z sumieniem. Z tym, że „może powinienam coś innego”.

Kiedy decydujesz się wyjść na trzy godziny, które nie są ani produktywne, ani dochodowe, ani społecznie uzasadnione – czujesz na plecach ciężar. Nawet jeśli go sobie nie do końca uświadamiasz, to i tak musisz go nieść.

Zaangażowanie

Kobiety, które jeżdżą, rzadko jeżdżą byle jak. Bo muszą zbudować to sobie od zera. To nie jest naturalne przedłużenie dzieciństwa, w którym ganiało się po osiedlu na BMX-ach. To raczej późne, nieoczywiste odkrycie: „Hej, może ja też mogę?”.

Więc gdy już to robimy, wchodzimy całe. Kupujemy ciuchy. Czytamy o tym. Zaczynamy więcej rozumieć, więcej robić tego samodzielnie. Intensywnie. Dużo. Bo nie mamy czasu, żeby marnować czas. Kiedy twoja jazda to prezent, jaki dajesz samej sobie, chcesz, żeby był jak najlepszy.

Zazdrość

Ale to wcale nie znaczy, że to łatwe. „*Jesteś tu z mężem? Z chłopakiem? Sama? Naprawdę? Wow! Inspirujące*”. Zazdrość bywa kobieca. Ale częściej męska. O czas. O ciało. O niezależność. O pasję. O przekraczanie granic. O to, że kobieta, która jeździ na rowerze, nie potrzebuje nikogo, by poczuć się istotna. Bo to rower daje jej kontakt ze swoim „self”, z ciałem, przestrzenią. Dla niektórych mężczyzn to nie do zniesienia. Dla niektórych kobiet – też.

Bo kolarstwo amatorskie kobiet to nie tylko jazda. To wybór, by mieć coś swojego. Coś poza systemem. Coś, co nie służy nikomu innemu. To bunt.

A bunt budzi zazdrość. Bo na bunt nie każdy ma odwagę.

Poczucie winy

Mamy na Śląsku przysłowie: jak dbosz, tak mosz. Oj, jak boli taka prawda. Nie pomogły nam nasze babcie i matki. Same sobie też nie pomagamy, tkwiąc w starych schematach. Jaką ofertę przedstawiasz światu, tak działa twój społeczny życiowy biznes. To nie „ich” вина, że biorą, co oferujesz. Jesteś ogarniaczką, ratowniczką, po prostu jesteś, gdy potrzebują. Pytasz ich o zgodę? Wykradasz parę godzin z czasu, w którym mogłaś przecież zrobić coś dla domu, dla dzieci? Ukradłaś czas dzieciom. Nieladnie.

Poczucie winy jako emocja powstało, by chronić stosunki społeczne. Pozwalało wrócić do społeczności, do grupy, gdy odwaliło się jakiś numer w stosunku do jej członka, zadość uczynić. To była dobra emocja, potrzebna.

Dla wielu kobiet zarządzanie tą obciążającą emocją jednak to olbrzymie wyzwanie. Pewne zasady mamy zapisane niemalże w genach, to nie są nasze zasady, to zasady naszych matek, babć, prababek – schematy rodowe, schematy społeczne, z których nawet nie zdajemy sobie sprawy.

Same sobie to robimy. Czujemy się winne uchybieniom, w które nawet specjalnie nie wierzymy. Czy jest na to jakaś rada? Jest nawet sporo, ale to rady, których początkowo nie chcemy, bo są trudne. To świadomość. To podążanie za prawdą, taką swoją. To umiejętność znoszenia poczucia winy, którą ktoś nam kiedyś wmówił.

Trzeba umieć to odróżniać: moje zasady, ich zasady. Łamanie pierwszych to kiepski pomysł. Jeśli to robisz, poczucie winy ci o tym przypomni – posłuchaj go.

Łamanie drugich może być wyzwalające, ale trzeba to najpierw dostrzec!

Ciało

Jesteśmy trochę nieestetyczne: sikamy w lesie, smarkamy przez ramię, przebieramy się na parkingu i jesteśmy „złe” opalone. Kreślone niemal od liniiki kolarskie tanlajny (czyli linie granicy opalenizny i jej totalnego braku na udach i ramionach) dorobiły się statusu memicznych. Można się ich wstydzić, można obśmiać, a można uznać za ikoniczne. Co roku zdjęcia z archaicznej łaźni na welodromie w Roubaix na mecie kultowego wyścigu prosów Paryż – Roubaix obiegają wszystkie media – udręczeni brukową trasą kolarze, a od 2021 roku również kolarki, na wpół schowani za betonowymi murkami, fotografowani w strumieniach wody.

Kolarskie ciała: chude, brzydkie, zmęczone, brudne, piękne. Tam rozmywa się pojęcie płci, jest heroizm i jest kruchość.

Może to jedna z tych rzeczy, za którą lubię kolarstwo i sport w ogóle – moje ciało przestaje być obiektem seksualnym. Przystaje się go wstydzić, ukrywać, to maszyna.

Ale nie jeżdżę na rowerze po to, by przestać się zastanawiać, czy jestem jeszcze seksowna, czy nie. Jeżdżę na rowerze, żeby cofnąć się do czasów, kiedy nie rozumiałam, co to znaczy. Kiedy wszyscy byliśmy dziećmi, łobuzami, które hamują z piskiem opon, zostawiając czarne ślady asfaltu, które specjalnie wzbijają tumany kurzu, żeby być brudnym. Na rowerze mam znów ten sam uśmiech, jaki miałam, gdy ścigałam się z kolegą dookoła bloku na składaku. On był szybki, a ja byłam prawie tak szybka jak on i to

Może to jedna z tych rzeczy, za którą lubię kolarstwo – moje ciało przestaje być obiektem seksualnym. Przestaję się go wstydzić, ukrywać, to maszyna

jest najlepsze uczucie na świecie.

Na rowerze mogę być brzydka (to nie znaczy, że chcę być brzydka), ale wszystkie oceny tracą wartość. Co więcej, jestem skłonna wierzyć, że nikt mnie na rowerze nie oceni przez pryzmat mojego wyglądu, a to jest z kolei niezwykle uwalniające.

Męski szowinizm i babska zawiść

„*Mocna jesteś. Jesteś jakąś byłą zawodniczką?*”. „*O! Nawet dziewczyna dała radę*”.

Niestety, ciagle. Na zawodach, gdy masz obowiązek startować z przyznane-go ci sektora, a ktoś uważa, że nie powinno cię tu być. Na drodze, gdy słyszysz za sobą gwizdy i zdania, których nikt nie wypowiedziałby przy swojej dziewczynie. W sklepie rowerowym. W komentarzach pod zdjęciami. Podczas ustalania wspólnego tempa. Kiedy ktoś próbuje ci udowodnić, że to nie miejsce dla ciebie.

Czasem to mikroagresja. Czasem żarty. Czasem niedowierzanie. Czasem po prostu ignorowanie, które mówi: „Nie będę dyskutował z babą”. Kobiety w kolarstwie czasem wciąż są dodatkiem. Kolorem. Estetyką. I muszą bardzo głośno i bardzo długo przypominać, że nie stanowią ozdoby, tylko core, mają mocne nogi, twarde tyłki i przede wszystkim cholernie mocną psychikę. Zgadnijcie, jak do tego doszło.

Czy oni nas potępiają?

Kaśka buduje właśnie drugiego kampera. Poprzednim zjeżdżała kawał Polski i Euro-

py. Pakuje rower, jedzenie, daje buzi kotu i wyjeżdża. Kręci dużo filmów, opowiada, pisze o tym. Jest sama i jeśli nie decyduje się opowiadać o tym publicznie, nikt go z nas nie powinno obchodzić, dlaczego tak jest. A jednak obchodzi.

„*Piszę mi, że mam przegrane życie, że powinienam znaleźć męża i dzieci urodzić, zamiast jeździć bez celu. Jestem niedojrzała, niegotowa na nic poważnego i nieodpowiedzialna, wróżę mi choroby, samotność i co gorsza, bycie po czterdziestce!*”. Lubię Kaśkę, bo można ją namówić na szybki wypad w góry i zawsze będzie miała w plecaku czekoladę. Jest przy tym szczerą, zabawna i ma piękny śląski akcent. Śmiejemy się z tego przez łąy.

Może też dlatego, że te wypowiedzi nie zawsze pochodzą od mężczyzn. Jesteśmy znane z tego, że wiemy lepiej od innych, jak trzeba żyć.

Czy oni nam zazdroszą?

„*Ja w sumie wolę jeździć z dziewczyna-mi. Nie ma tam tego buzującego testosteronu, nie ma prężenia tydy, parcia na współzawodnictwo. W kobiecym jeźdźeniu, w ich solidarności, więcej jest takiego »razem damy radę«, co bardzo lubię, bo to budujące. Za dużo mam na co dzień atmosfery »nigdy mnie nie dogonisz«, żebym chciał takich postaw i sytuacji doświadczać jeszcze na rowerze*”.

Strasznie się kiedyś pokiereszowałam na wyścigu. Dużo emocji zaraz po starcie, szybki zjazd, czołówka szybko mnie wyprzedza (w amatorskim, masowym kolarstwie górskim kobiety i mężczyźni startują razem), pełne skupienie i nagle ogrom-

Zatrzymuje się dziewczyna. Pomaga. Kiedy widzi, że dalej ogarnę sama, życzy powodzenia i odjeżdża. Nie pamiętam jej imienia, minęło już wiele lat, ale nigdy nie zapomnę tego, co zrobiła wtedy. Mam nadzieję, że dobra karma dalej jej pomaga.

Czy oni nas szanują?

To stara historia. Tak stara, że w tamtym czasie pisałam o rowerach co najwyżej do szuflady.

Spowite we wczesnojesienny smog, niewielkie górnośląskie miasteczko, za oknem na głównej ulicy intensywny ruch. Silniki w blaszanych opakowaniach w kształcie karoserii, sprowadzone przez szwagrów z Rajchu passaty, golfy i stare Citroeny wiozące wciąż zaspanych i tych spragnionych snu górników – patrzą na nich z góry, przeciskając kawopodobny napar przez szklany french press z odzysku.

Latem nie lubię otwierać tu okien. Zimny tutaj lubię jeszcze mniej: nawet przy zamkniętych oknach płuca nie chcą swobodnie oddychać. Zbieram się, wrzucam obiad do plecaka, przez chwilę szukam rękawiczek, które zniknęły z przyznanego im miejsca, sprawdzam palcem ciśnienie w oponach – jest OK. Przekręcam klucz w zamku i powoli, niosąc rower na ramieniu jak rasowy przelajowiec, schodzę po schodach, trzymając się poręczy. Kolarskie buty, schody i poranki to nie jest szczęśliwe zestawienie.

Jest szósta rano. Samochody rozpięchły się już jak mrówki wysypane z zakrętki po soku. Cisza, a potem dźwięk bloku wpinanego w pedał: jeden, pół obrotu korby i drugi – swoiste „do widzenia” rzucane sąsiadom, którzy potępiają mój styl życia, a może i środkowy palec pokazywany całemu światu. Adios, jadę do pracy, wróć, jak będzie ciemno.

O 7:45 mam już za sobą 39 kilometrów, parę minut temu weszło słońce i przez kolejne 15 będzie bardzo zimno – znam to już bardzo dobrze. Po drodze zatrzymał mnie szlaban i jestem trochę spóźniona, obiad wbija mi się w plecy, muszę przyspieszyć, ale jesienny ubiór nie pozwala na zbyt szybkie tempo – za szybko zrobi mi się gorąco. Jeszcze 5 kilometrów, będę na styku.

Kukurydziane ściernisko pięknie błyszczy w chłodnym słońcu, a za mną od kilkunastu sekund skrada się auto. Jest dość kręto, ale spokojnie można mnie wyprzedzić – kierowca zdaje się szukać zaczepki. Zesztywniała od chłodu i jazdy odwracam się, widzę charakterystyczny dziób beemki i otwarte okno. Widzę też kierowcę, który przechyla się w prawo, żeby rzucić w moim kierunku wiązankę porannych nieuprzejmości.

„*Szacunek za ten rower. Obserwuję panią od kilku miesięcy. Miłego dnia!*”

Czy ja właśnie pozdrowiłam kierowcę bmw???

Nie wiem, czy to taki teatr, czy może rytuał, czy po prostu zwykłe życie. Bo przecież kurz i szminka to złe połączenie – ostatecznie wszystko jest po prostu brudne. Pomalowane usta na rowerze? No tak, faceci zwykle tak nie robią. A my robimy.

Bo byliśmy w pracy, bo to odruch, bo jednak lustro wydaje wtedy łaskawszy osąd. Czulałabym się zawiedziona, gdybym miała kiedyś przyznać, że bawiłam się w kolarstwo, by upodobnić się do facetów. Wciąż wierzę, że to bardziej zbliżanie się do tego, czego naprawdę potrzebuję, mimo iż pół świata mówi, że jest inaczej. To błoto i brokat równocześnie!

Dziś już nie tłumaczę mojego kolarstwa nowym osobom w moim życiu. Pozwalam im nie rozumieć. Albo w ogóle ich nie zapraszam. „*Ille masz rowerów? Cztery? Ale po co tyle?*”. ”Bo mogę”. ●

● na podstawie poważnych badań socjologicznych, czyli obserwacji frekwencji w popularnych amatorskich wyścigach kolarskich (szosa, MTB, gravel) w Polsce.

„Dupa” Trumpa.

Czym 47. prezydent USA różni się od 45.?

„Te kraje do nas dzwonią. Całują mnie w dupę. Umierają z chęci zawarcia umowy” – powiedział Donald Trump, odnosząc się do krajów, na które postanowił był nałożyć cla.



Michał Rusinek

W 2017 roku brytyjski pisarz Rob Sears opublikował książkę zatytułowaną „Piękna poezja Donalda Trumpa”. Jest to wybór wypowiedzi 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych, głównie zamieszczanych przez niego na Twitterze, ale także fragmentów wywiadów czy listów, ułożonych w kunsztowne formy wierszowe, od haiku po whitmanowski wiersz anaforyczny. Książka szybko stała się bestsellerem, także w USA, bo Amerykanie jeszcze nie bali się śmiać ze swojego prezydenta. Druga kadencja Trumpa z pewnością dostarczy Robowi Searsowi potężnej dawki poetyckiego materiału, choć obawiam się, że autor, a właściwie redaktor może mieć problemy z przekroczeniem granicy Stanów Zjednoczonych; nie nastawiałbym się także na jego miejscu na spotkania autorskie. Cóż, taką drogę literacką sobie wybrał – jest także autorem książek „Władimir Putin. Porady życiowe” czy „Wybierz własną apokalipsę z Kim Dzong Unem i przyjaciółmi” – lista krajów, do których go mogą nie wpuścić jest więc dłuższa. Skupmy się jednak na tym, czym różni się – a właściwie czym będzie się różnić – pierwsze wydanie „Pięknej poezji Donalda Trumpa” z roku 2017 od wydania drugiego, którego możemy się spodziewać za trzy lata.

Zapewne – objętością, bo 47. prezydent USA jest o wiele bardziej twórczy od 45. Nie tyle pod względem liczby słów, którymi się posługuje, bo ta raczej pozostaje na podobnym poziomie, ile ich kombinacji. Sears wymienia te najważniejsze i najbardziej charakterystyczne: dobry, zły, smutne, frajer (przegryw), straszne, oburzające, spektakularne, fantastyczne, skandal, sprytny, głupi, słaby, mocny, świetny, haniebny, piękny, miły, niebezpieczny. Pojawiają się one w wierszu „Mam najlepsze słowa”, który kończy się tak: „Kocham te słowa. A jest ich jeszcze więcej!”. Cóż, niewiele więcej, ale – zgoda. W drugim wydaniu nie będzie zapewne zdania: „Zawsze miałem świetne relacje z Czarnymi” czy „Jestem osobą, która mocno wierzy w nakwę”, ale może znaleźć się fraza – zapewne wypowiedziana w zimie – „Żądamy globalnego ocieplenia i to natychmiast!”. W nowym wydaniu znajdziemy z pewnością wypowiedź Donalda Trumpa z 8 kwietnia, kiedy to odniósł się do wizyt przedstawicieli krajów, na które postanowił był nałożyć cla: „Te kraje do nas dzwonią. Całują mnie w dupę. Umierają z chęci zawarcia umowy”. Przywódcy państw w zasadzie płaszcza się teraz przed nim, żeby uniknąć nowych cel, błagając: „Prosimy, Panie, prosimy, zawrzyj, Panie, z nami tę umowę, prosimy! Zrobimy wszystko, proszę Pana!”. Wypowiedź tę szeroko komentowano jako wysoce niedyplomatyczną. Rob Sears z pewnością doceni jednak jej potencjał literacki.

Będzie to mocny wiersz, a w każdym razie padnie w nim mocne słowo „dupa”, do tej pory chyba nieobecne w publicznych wypowiedziach Trumpa. W 2016 roku, w czasie kampanii prezydenckiej, dziennikarze „The Washington Post” opublikowali nagranie, na którym ówczesny kandydat na prezydenta twierdzi, że jeśli mężczyzna jest gwiazdą, taką jak on, to nawiązywanie kontaktów z kobietami przychodzi mu bardzo łatwo, bo „one pozwalają ci na wszystko. Możesz je złapać za cipkę”. Nie była to jednak wypowiedź publiczna, a Trump za nią przeprosił. Zdarzało mu się jednak publicznie posługiwać się sformułowaniami wysoce nieparlamentarnymi i na przykład komentować urodę kobiet lub jej rzekomy brak (zwłaszcza u przeciwniczek politycznych), a nawet powiedzieć do czternastoletnich dziewczynek, że za kilka lat będzie się z nimi umawiać na randki, czyli traktując je jako obiekty erotyczne. W przypadku wypowiedzi z 8 kwietnia mamy jednak do czynienia z perwersyjnym obrazem dominacji: oto przywódcy innych państw płaszcza się przed Trumpem jak niewolnicy przed swoim panem, gotowi znieść wszelkie upokorzenia, a więc całkowicie mu oddani. Oto wizja z jakiegoś upiornej fantazji, w dodatku – jak to z fantazjami bywa – z wyraźnym podtekstem erotycznym.

Słowo „ass” (dupa, tyłek), rzadko pojawia się w dyskursie polityków, choć przyznać trzeba, że użył go w listopadzie 2024 Joe Biden mówiąc, że „Trump to ktoś, kto zasługuje na klapsa w tyłek” („Trump is someone you’d like to smack in the ass”). Ani klapsa, ani kopa w tyłek wyborcy mu nie dali, więc postanowił sam tę swoją część ciała z dumą wypiąć. Freudyści mogliby dostrzec w tej wypowiedzi objawy tzw. osobowości analnej. Powstaje ona w wyniku fiksacji podczas fazy analnej, czyli w drugim i trzecim roku dziecka. Ludzie charakteryzujący się tą osobowością nie mają szczególnego poczucia humoru, mają za to skłonność do perseweracji (powtarzania tych samych słów i ruchów), kolekcjonują przedmioty i przywiązują się do nich, nie myślą abstrakcyjnie, przejawiają nieustanną irytację i nie potrafią cieszyć się życiem, są impulsywni, agresywni i mają skłonności sadystyczne, są wrogo i podejrzliwie nastawieni do innych, są narcystyczni, gloryfikują dyscyplinę i system kar oraz mają tendencję do tyranii i dyktatury.

Opis ten w dużej części pokrywa się z analizą zachowań Donalda Trumpa, jakiej dokonał w 2019 roku amerykański psychiatra John M. Talmadge. Stwierdził on, że Trump „nie ma żadnej wizji ani planu [...], nie potrafi rozważać różnych opcji, ocenić ryzyka czy przewidzieć konsekwencji”. Co więcej, nie rozumie pojęć abstrakcyjnych, zamiast nich – posługuje się dziecinnymi, jednoznacznie wartościującymi przymiotnikami, takimi jak: haniebny, głupi, oburzający, fałszywy. Głęboko wierzy w swoją „niezrównaną” wielkość, „kierują nim negatywne emocje i podejrzliwość” i jest przekonany, że może sobie pozwolić na wszystko, także na publiczną wulgarność, bo w jego wydaniu po prostu przestaje być ona wulgarna. A że przy okazji kieruje uwagę psychiatrów na specyfikę swojej osobowości? Trudno. W ostatnim wierszu z tomu „Piękna poezja Donalda Trumpa” czytamy: „Jestem królem./ Jestem zwycięzcą [...]/ Jestem prezydentem, a wy nie [...]/ Jestem waszym głosem./ Jestem, kim jestem”. No i dupa. I co mi zrobicie? ●

I ty zostaniesz Herodem

Grzegorz Braunie, jeśli ufasz swojemu Bogu, czemu modlisz się w świetle kamer



Marcin Matczak

W polskiej walce – bo przecież nie debacie – publicznej wybrzmiało oskarżenie najsilniejsze: „zabili dziecko zastrzykiem w serce”. To nie argument, ale egzorcyzm. Ktoś – „oni” – dopuścił się aktu, który stawia ich poza wspólnotą. Nie ma już sumienia, nie ma prawa do obrony. Jest tylko wina.

Ale ta wina nie została orzeczona przez sąd. Ona została wyprodukowana przez słowo – przez zarzut, które trafia tam, gdzie nie działa już logika. Bo przecież dziecko to nie tylko człowiek, ale też kulturowy absolut. Archetyp nadziei, przyszłości, czystości. Symboliczny rdzeń dobra.

W tym sensie „mordowanie dzieci” to nie oskarżenie, ale broń masowego rażenia emocjonalnego. Po „mordzie” nie ma już rozmowy. Jest tylko święta wojna i biblijny gniew. Jest Moloch i ofiary z dzieci mu składane, jest Herod i rzeź niewiniątek.

Sprawa z Oleśnicy pokazuje, jak łatwo w miejsce rozmowy o uldze w cierpieniu wchodzi opowieść o „zabójcach w kitlach”. Fraza „zastrzyk w serce” nie ma oddać rzeczywistości – ma ją zredefiniować. To technika znana z polityki totalnej. Jak u Carla Schmitta: przeciwnik przestaje być adwersarzem, staje się wrogiem egzystencjalnym. Nie rozmawia się z mordercą dzieci. Mordercę dzieci się unieszkodliwia.

W ten sposób śmierć dziecka staje się paliwem do zbudowania mitologii, w której jedna strona broni niewinnych, a druga niewinnych zabija. Nie ma już miejsca na wątpliwości. Kto kwestionuje tę narrację, staje się współnikiem zbrodni.

W tym fanatyzmie jest coś moralnie obrzydliwego. Jest nie tylko nieuczciwy, ale też nieludzki. Zaprzecza, że istnieje światło – a zniesienie wątpliwości, wahania, to zniszczenie tego, co najbardziej ludzkie. To świadoma, wykalkulowana szarża w wojnie o wyższość moralną, której trzeba dać zdecydowany odpór: to właśnie ci, którzy najgłośniej zarzucają niemoralność, są głęboko niemoralni.

Który to już raz zamieniają śmierć w narzędzie? Największą ludzką tragedię – w instrument walki politycznej? Zimnym wzrokiem patrzą na gorące serca i mówią: to się przyda. To się da wmontować w narrację. To się sprzedaje.

Jak w każdym linczu chodzi im o to, żeby zakrzyczeć wątpliwości. Zakazać myślenia, że ta sprawa jest tragiczna – w sensie starogreckim: bez dobrego rozwiązania. Nie mieści się w kategoriach „dobra” i „zła”. Mieści się w przestrzeni dramatycznych wyborów, gdzie każde rozwiązanie przynosi ból.

Lekarz ginekolog z 20-letnim doświadczeniem pisze, że to była ciąża z płodem niezdołnym do życia, z wyjątkowo bolesną, nieuleczalną chorobą. To dziecko miało być połamane wszystkie kości, zanim opuściłoby łono matki – bo to nie ten typ łamliwości, który pozwala żyć i który bezmyślnie przywołują oskarżyciele jako dowód swojej racji. To nie była więc „abor-

cja w dziewiątym miesiącu”, jakiś progresywny kaprys. To była dramatyczna decyzja, czy pozwolić na śmierć szybszą, ale z mniejszym cierpieniem.

Ale łatwiej jest ze śmierci i cierpienia uczynić narzędzie wojny kulturowej, przemielając je przez emocjonalne maszynki propagandowe. Pokazać palcem: mordercy. I to jest prawdziwe barbarzyństwo.

Zbyt często na moralny, quasi-religijny patos prawicy liberalowie odpowiadają zimną, intelektualną narracją. Trzeba raczej sformułować moralny akt oskarżenia wobec tych handlarzy ludzkim towarem – śmiercią dziecka.

Podpalacie wspólnotę, mówiąc, że chcecie ją oczyścić. Wzywacie do gniewu, nie do empatii, do odwetu, nie do sprawiedliwości. Nie jesteście wzburzeni. Jesteście głodni. Głodni władzy, wpływu, dominacji. Głodni tego, żeby medialnie ogłaszana moralna przewaga przykryła wasze moralne bankructwo. Jesteście rzeźnikami ludzkich dylematów. Jak wasze prymitywne kryteria moralności, które nie odróżniają lekarza od kata, miałyby odróżnić św. Piotra od Judasza? Wasz świat nie zna wahań sumienia ani dramatów serca. Zna tylko szubienice i aureole. Winnych i sprawiedliwych. Białe i czarne.

Nie jesteście ludźmi, którzy pytają: „Jak to możliwe, że ktoś w takim bólu zdecydował się na coś tak trudnego?”. Pytacie tylko: „Kogo należy ukarać?”. Nie chodzi wam o żaden sens, chodzi tylko o sąd i stos.

Jak zwykle macie gdzieś to, że tak chętnie przywoływana przez was tradycja uczy czegoś zupełnie innego. W „Boskiej komedii” Dante zstępuje do piekła jak uczeń. Milczy częściej, niż mówi. Słucha, zatrzymuje się, płacze, mdleje, traci grunt pod nogami. Potrafi wzruszyć się bólem nawet tych, którzy – wedle bezwzględного moralnego systemu – są potępieni. Dante nie udaje, że wie wszystko. Ale wie, że droga przez piekło uczy człowieczeństwa.

Inny bohater „Boskiej komedii” – Farinata – przeciwnie. W płonącym grobie stoi wyprostowany, z czołem w górę, jakby miał piekło w pogardzie. Nadal grzmi, nadal nie wątpi. Przeciwników politycznych nadal widzi nie jako ludzi, lecz jako zdrajców. Nie wie, że jego grób płonie właśnie od niemożności wątpliwości. Od ślepoty, która myli ideologię z sumieniem, a pychę z prawem do osądu. I w tym właśnie Farinata jest duchowym ojcem współczesnych inkwizytorów sumień.

Braun, Bosak i spółka nie schodzą do piekła, by zrozumieć. Schodzą tam, by wskazać winnych. Nie patrzą na ból i nie pytają: co ja zrobiłbym na ich miejscu? Patrzą i mówią: już wiem, kim jesteś. I wiem, gdzie twoje miejsce. To jest postawa nie chrześcijańska, ale oskarżycielska, diabelska.

Jeśli chcecie mówić o piekle, zejście tam z pokorą, nie z politycznym megalomanem. Nie z wyrokiem w ręce, ale z pytaniem w sercu. Nie jako funkcjonariusze gniewu, wszystkowiedzący profesorowie moralności, ale jako uczniowie.

Grzegorz Braunie, podobno twój Bóg widzi w ukryciu i odda tobie. Ale ty swojemu Bogu najwyraźniej nie ufasz, bo musisz się pomodlić za Felka nie w swojej izbie, ale w świetle kamer, żeby to nie Bóg, ale elektorat oddał tobie.

„Nie sądzicie, abyście nie byli sądeni” – mówi ten sam Bóg. I mówi to po to, by cię powstrzymać. Żebyś się nie wypychał w przestrzeń, która nie należy do ciebie. Bo są takie piekła, przez które nie przeszliśmy i które lepiej jest uszanować niż prostacko dla swoich niskich potrzeb zdefiniować. ●



• Donald Trump i jego syn Eric prosto z prezydenckiego helikoptera Marine One jadą wózkiem golfowym na turniej do klubu Trumpa (Trump National Doral Golf Club) w Doral na Florydzie (3.04.2025 r.)

FOT. JOE RAEDLE/GETTY IMAGES

UNITED STATES OF GREED

Trump już zupełnie przestał się hamować w interesach.

Anne Applebaum

Gdy w piątek 4 kwietnia giełda zanotowała gwałtowny spadek, Donald Trump opuścił stolicę USA. Nie pojechał jednak do Nowego Jorku, by skonsultować się z przedstawicielami Wall Street. Nie udał się także do Dover w stanie Delaware, dokąd sprowadzano ciała czterech amerykańskich żołnierzy, którzy zginęli podczas służby na Litwie. Pojechał na Florydę – odwiedził swoje pole golfowe Doral goszczące turniej LIV Golf, a następnie zatrzymał się w rezydencji Mar-a-Lago w Palm Beach, gdzie przebywali sponsorzy i sympatycy turnieju. Prywatne interesy Trumpa okazały się ważniejsze niż sprawy państwowe.

Wielu z jego gości zjawilo się nie po to, by wesprzeć donacjami czy uświetnić prywatne przedsięwzięcie Trumpa, ale by zabiegać o względy jako prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wśród nich znalazł się Yasir al-Rumayyan – przewodniczący turnieju LIV, a przy okazji zarządzający funduszem inwestycyjnym Arabii Saudyjskiej wartym 925 miliardów dolarów. Inni sponsorzy turnieju to między innymi Riyadh Air – saudyjskie linie lotnicze, Aramco – państwowy koncern naftowy Arabii Saudyjskiej, a także – co szczególnie uderzające – TikTok, chińska platforma społecznościowa. Z którą USA od

lat mają na pieńku i której przyszłość na tym wielkim rynku zależy bezpośrednio od decyzji Trumpa upatrującego w Chinach głównego rywala Ameryki – i która wspiera jego prywatne przedsięwzięcia, przynosząc mu korzyści finansowe.

Dawno, dawno temu – czyli jeszcze kilka lat temu – tak jawne konflikty interesów, zwłaszcza z udziałem podmiotów zagranicznych, były czymś, czego prezydenci starali się za wszelką cenę unikać. Żaden z poprzedników Trumpa nie dopuściłby do sytuacji, w której jego prywatne interesy mogłyby zostać powiązane z krajami chcącymi wpływać na amerykańską politykę zagraniczną. Tego typu działania niosą bowiem ryzyko naruszenia konstytucji, która zakazuje urzędnikom państwowym przyjmowania od obcych rządów darów, tytułów lub wynagrodzeń.

Jednak już w trakcie pierwszej kadencji Trumpa system sądowiczy w dużej mierze zignorował jego powiązania biznesowe. A on obecnie nie tylko prowadzi interesy z firmami – i zagranicznymi, i krajowymi – które czerpią korzyści z jego decyzji politycznych, ale też otwarcie je promuje i celebrowe. Informacje o sponsorach turnieju nie są ściśle tajne ani nie zostały ujawnione dzięki żmudnemu śledztwu dziennikarskiemu – są powszechnie dostępne na oficjalnej stronie internetowej i publicznie wyeksponowane na billboardzie przy jego polu golfowym, co zauważyli reporterzy „New York Timesa”.

W przeszłości taka reklama mogłaby wywołać polityczne trzęsienie ziemi. Dziś niemal nikt nie zwraca na to uwagi, bo zachowanie Trumpa to objaw czegoś znacznie głębszego. Mamą do czynienia z rewolucyjną przemianą: odejściem od przejrzystości i od

powiedzialności, które są fundamentami większości współczesnych demokracji, ku modelowi znanemu z krajów autorytarnych – pełnemu niejasności i korupcyjnych mechanizmów.

W ciągu ostatniej dekady amerykański rząd i część biznesu zaczęły stopniowo przejmować kleptokratyczny model wypracowany przez kraje takie jak Rosja i Chiny, gdzie zbieżność interesów prywatnych i państwowych nie budzi sprzeciwu, ponieważ stanowi element samego systemu.

Początek tej zmiany miał miejsce za pierwszej kadencji Trumpa: wiceprezydent Mike Pence podczas wizyty w Irlandii zrobił ponad 280-kilometrowy objazd tylko po to, by zatrzymać się w hotelu należącym do jego szefa. Wówczas jednak Trumpa częściowo hamowali doradcy, a być może również przez strach przed ewentualnymi konsekwencjami prawnymi. Dziś takich obaw już nie ma – wie bowiem, że uszła mu na sucho cała seria afer, w tym próba unieważnienia wyników wyborów. A otaczają go teraz doradcy całkowicie mu podporządkowani.

Nowy sposób działania został wyraźnie zasygnalizowany już w grudniu, gdy obejmująca przedsięwzięcia gospodarcze i inwestycje prezydenta elekta firma Trump Organization ogłosiła, że zbuduje wieżowiec Trump Tower w Arabii Saudyjskiej. A więc inwestycję będącą ewidentnym konfliktem interesów.

Rodzina Trumpa zaangażowała się również w rynek kryptowalut, zakładając firmę World Liberty Financial, która w praktyce, zważywszy na nieprzejrzysty charakter kryptowalut, znikomy nadzór nad nimi i łatwość manipulowania ich kursami, może

służyć jako narzędzie do wypłacania mu pośrednich łapówek. Nikt z jego otoczenia nie zaprotestował. Po powrocie Trumpa na urząd jego nowa administracja, niespecjalnie przejmująca się pozorami, niemal natychmiast zawiesiła cywilne śledztwo przeciwko Justinowi Sunowi, chińskiemu przedsiębiorcy i doradcy World Liberty Financial, który zainwestował w firmę co najmniej 75 mln dol.

Niedawno „The Wall Street Journal” ujawnił, że przedstawiciele giełdy kryptowalut Binance spotykali się z urzędnikami Departamentu Skarbu, prosząc o złagodzenie przepisów nadzorczych, a równocześnie prowadzili zakulisowe negocjacje z World Liberty Financial w sprawie prywatnej umowy biznesowej. Wcześniej Binance została ukarana rekordową grzywną w wysokości 4,3 mld dol. za umożliwienie korzystania z platformy osobom objętym sankcjami, handlarzom narkotyków i organizacjom terrorystycznym. Nic dziwnego, że firma zabiega o mniej rygorystyczny nadzór.

W duchu tej nowej atmosfery sama inauguracja prezydentury Trumpa przybrała formę widowiska, w którym obnoszono się z nowymi, kleptokratycznymi priorytetami administracji. Najwięcej uwagi skupili szefowie amerykańskich gigantów technologicznych, ale wśród gości nie zabrakło także zagranicznych partnerów biznesowych Trump Organization. Brali udział w imprezach towarzyszących inauguracji, robili sobie zdjęcia z Trumpem, a potem wykorzystywali je w materiałach marketingowych.

Kilka mniej rozpoznawalnych firm, które w tym czasie prowadziły negocjacje z rządem USA w sprawach regulacyjnych, po cichu przekazało setki tysięcy dolarów na organizację inauguracji. Niedługo później, podczas nocnej czystki, Trump zwolnił 17 inspektorów generalnych – ludzi odpowiedzialnych za monitorowanie korupcji i naruszeń etyki w rządzie.

Trump nie lekceważy starych norm tylko dla siebie – toruje też drogę innym, by mogli robić to samo. Od początku kariery doskonale odnajdywał się w nieprzejrzystym świecie firm wydmuszek, anonimowych kont bankowych i rajów podatkowych – środowisku przyciągającym autokratów, przestępców i wszystkich tych, którzy chcą ukrywać swój majątek.

Już w 2018 roku ponad jedna piąta apartamentów w budynkach sygnowanych jego nazwiskiem należała do firm, których właściciele pozostawali nieznani. W czasie pierwszej kadencji tajemniczy inwestorzy nadal kupowali udziały w jego przedsięwzięciach. Teraz jego administracja pomaga firmom działającym w cieniu pozostać w ukryciu.

W ubiegłym miesiącu Departament Skarbu ogłosił, że przestaje egzekwować przepisy Ustawy o przejrzystości korporacyjnej (Corporate Transparency Act), tym samym osłabiając działania Kongresu w walce z praniem pieniędzy, uchylaniem się od podatków i innymi nadużyciami.

W ramach rozporządzenia wykonawczego Trump zawiesił również stosowanie Ustawy o zwalczaniu korupcji zagranicznej (Foreign Corrupt Practices Act), która zabrania amerykańskim i zagranicznym firmom płacenia łapówek za prowadzenie działalności.

Departament Sprawiedliwości rozwiązał natomiast specjalną grupę zadaniową odpowiedzialną za egzekwowanie sankcji wobec rosyjskich oligarchów blisko związanych z Władimirem Putinem.

Nadzór zostanie ograniczony także w wielu krajowych instytucjach finansowych i rządowych. Trump wydał polecenie całkowitego wstrzymania działalności Biura Ochrony Konsumentów Finansowych (Consumer Financial Protection Bureau) – instytucji odpowiedzialnej, by zabezpieczać obywateli przed nadużyciami banków i firm finansowych.

Zwolnił kluczowych urzędników odpowiedzialnych za kwestie etyki, ochrony sygnalistów i praw pracowniczych, w tym szefów Biura Etyki Rządu (Office of Government Ethics), Biura Specjalnego Prokuratora (Office of Special Counsel) i Rady Ochrony Systemu Zasług (Merit Systems Protection Board).

Tymczasem Departament Sprawiedliwości przygotowuje plany ograniczenia dochodzeń w sprawach oszustw i korupcji urzędniczej, co oznacza, że ściganie skorumpowanych funkcjonariuszy państwowych stanie się znacznie trudniejsze. Cięcia w budżecie urzędu skarbowego (IRS) utrudnią z kolei wykrywanie i ściganie przestępstw podatkowych. Zaledwie w zeszłym tygodniu Departament Sprawiedliwości ogłosił, że ograniczy dochodzenia związane z oszustwami kryptowalutowymi i rozwiąże Narodowy Zespół ds. Egzekwowania Przepisów Kryp-

Firmy, które prowadziły negocjacje z rządem USA w sprawach regulacyjnych, po cichu przekazały setki tysięcy dolarów na organizację inauguracji. Niedługo potem Trump zwolnił 17 inspektorów generalnych odpowiedzialnych za monitorowanie korupcji i naruszeń etyki w rządzie

towalutowych (National Cryptocurrency Enforcement Team).

Jednym z głównych beneficjentów nowej rzeczywistości, w której konflikty interesów przestały kogokolwiek obchodzić, jest Elon Musk. Mimo że nie pełni żadnej oficjalnej funkcji, a jego jedynym mandatem jest osobiste błogosławieństwo prezydenta, ma ogromny wpływ na te same instytucje rządowe, które od lat dotowały i regulowały jego firmy.

Musk doprowadził do drastycznych redukcji etatów w Narodowej Administracji Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego (National Highway Traffic Safety Administration), czyli federalnej agencji nadzorującej bezpieczeństwo pojazdów i prowadzącej śledztwa w sprawie wypadków – również tych z udziałem elektrycznych tesli Muska jeżdżących w eksperymentalnym trybie autonomicznym. Przeprowadził także masowe zwolnienia w innych agencjach regulacyjnych, które prowadziły ponad 30 postępowań wobec jego spółek, takich jak kosmiczna SpaceX i pracujący nad połączeniem ludzkiego mózgu z komputerem Neuralink.

Jednocześnie kluczowe agencje rządowe, w tym Kierownictwo Naczelnych Służb (General Services Administration) oraz Federalna Administracja Lotnictwa (Federal Aviation Administration), rozważają wykorzystanie – lub już z niego korzystają – Starlinka, satelitarnego systemu łączności produkowanego przez SpaceX. Jeden z urzędników Departamentu Handlu, Evan Feinman, w zeszłym miesiącu podał się do dymisji, protestując przeciwko naciskom administracji, by wykorzystać Starlink do dostarczania internetu na obszarach wiejskich. „Skazanie całej prowincjonalnej Ameryki na gorszy internet tylko po to, by jeszcze bardziej wzbogacić już najbogatszego człowieka świata, to kolejna zdrada ze strony Waszyngtonu” – powiedział.

A Departament Stanu planował zakup opancerzonych tesli.

Musk nie łamie prawa, bo system sam dostosowuje się do jego interesów. Jego nowa pozycja jako naczelnego amerykańskiego oligarchy sprawia, że ludzie i instytucje i tak biją przed nim pokłony.

Musk ma także rzeczywisty wpływ na politykę zagraniczną. Jeśli sądy podtrzymają decyzje Departamentu Sprawiedliwości, cięcia w USAID (Agencja ds. Rozwoju Międzynarodowego), Instytucie Pokoju USA oraz w amerykańskich mediach zagranicznych, takich jak Voice of America, poważnie uderzą w amerykańską dyplomację i tzw. miękką siłę – nie wspominając już o skutkach dla międzynarodowej pomocy humanitarnej i opieki zdrowotnej.

Samo wycofanie się z finansowania zagranicznych rozgłośni amerykańskich będzie ogromnym prezentem dla Chin, które rywalizują ze Stanami Zjednoczonymi nie tylko gospodarczo, ale również na polu idei i narracji. Zastanawiający jest fakt, że to właśnie Musk podejmował decyzje tak bardzo korzystne dla chińskich interesów, w tym samym czasie prowadząc w tym kraju szeroko zakrojone interesy. Jego „Gigafabryka” w Szanghaju uruchomiona z pomocą setek milionów dolarów pożyczek z chińskich banków jest dziś największym zakładem produkcyjnym aut Tesla.

Jednak w administracji Trumpa interesy niejasne i interesy zewnętrzne nie budzą już emocji. Jeden z wielu przykładów: podczas przesłuchań przed Senatem nowy dyrektor FBI Kash Patel ujawnił, że przyjął wynagrodzenie w formie akcji o wartości od 1 do 5 mln dol. od firmy-matki Shein – popularnej chińskiej platformy handlowej oskarżanej o wykorzystywanie pracy przymusowej w swoim łańcuchu dostaw.

Patel – który oznajmił senatorom, że nie zamierza się tych udziałów pozbywać – pracował także w roli doradcy dla firmy Czechoslovak Group – zagranicznego koncernu zbrojeniowego, o którym se-

nator J.D. Vance (jeszcze zanim objął stanowisko wiceprezydenta u Trumpa) mówił, że ma „powiązania z najbliższym kręgiem Władimira Putina”. Mimo że w nowej roli Patel będzie odpowiadał za przeciwdziałanie wpływom Rosji i Chin oraz operacjom szpiegowskim tych krajów, aż 51 republikanów w Senacie poparło jego nominację.

A przecież to tylko te konflikty interesów, o których wiemy. Ilu ludzi skorzystało w zeszłym tygodniu, mając z wyprzedzeniem informację, że Trump zmieni stanowisko w sprawie cel? Ilu innych gra dziś na giełdzie, korzystając z dostępu do poufnych danych rządowych?

Nie znamy odpowiedzi na te pytania – a wszystko wskazuje na to, że Departament Sprawiedliwości nawet nie będzie chciał ich poznać. Żyjemy w ciemności, dokładnie tak jak obywatele innych państw kleptokratycznych – i ten stan rzeczy zmienia reguły całego systemu.

Na początku tego roku opublikowałam książkę „Koncern Autokracja. Dyktatorzy, którzy chcą rządzić światem”, w której dowodzę, że wiele współczesnych dyktatur najlepiej analizować nie przez pryzmat ideologii, ale przez polityczne i finansowe interesy ludzi, którzy nimi rządzą. To, że w rządzie USA zasiada dziś tak wielu ludzi – przede wszystkim sam prezydent – których prywatne majątki mogą być bezpośrednio i natychmiastowo kształtowane przez podejmowane decyzje polityczne, sprawia, że również amerykańską politykę należy analizować w zupełnie nowy sposób.

Jeśli chcemy zrozumieć politykę Trumpa wobec Rosji i Ukrainy, nie wystarczy zapytać: „Jak zakończy wojnę?”; „Jak wpłynie to na relacje Ameryki z Europą?”. Należy raczej pytać: „Kto z najbliższego otoczenia Trumpa skorzysta na zniesieniu sankcji?”; „Czy Rosjanie złożyli już konkretne oferty finansowe – i komu?”.

Szczególnej uwagi wymaga umowa z Ukrainą dotycząca metali ziem rzadkich. Musimy ustalić, którzy Amerykanie konkretnie na niej zyskają i w jaki sposób.

Również w przypadku cel właściwe pytanie brzmi nie tylko: „Kto na świecie ucierpi?”; „Czy amerykańskie firmy oraz obywatele zyskają, czy tracą?”, ale przede wszystkim: „W jaki sposób ta radykalna zmiana w amerykańskiej polityce handlowej przyniesie korzyść samemu Trumpowi?”.

Jedna z odpowiedzi jest już jasna. Kraje i wielkie korporacje, które zostaną poszkodowane przez te zmiany i które mogą ponieść wręcz gigantyczne straty lub nawet stanąć na krawędzi bankructwa, będą miały ogromną motywację, by grać na korzyść prezydenta. Więc zaczną oferować mu darowizny polityczne, a może i proponować lukratywne umowy jemu samemu, jego rodzinie lub znajomym, by w zamian uzyskać wyłączenie z nowych przepisów.

W uczciwie funkcjonującej administracji osobiste finanse jej członków nie stanowiłyby istotnej części debaty publicznej. Jednak przywódcy tej administracji uznali, że obowiązujące od ponad stu lat przepisy i normy ich nie dotyczą. Republikański Kongres mający większość jak dotąd również nie wykazuje chęci, by je egzekwować. Obowiązek informowania opinii publicznej o osuwaniu się państwa ku kleptokracji spada więc dziś na media, organizacje pozarządowe oraz sygnalistów – to oni muszą nagłaśniać nieprawidłowości, kierować sprawy do sądów i pilnować, by to, co z prawa jeszcze zostało, rzeczywiście obowiązywało.

Partia Demokratyczna natomiast powinna wziąć przykład z ruchów opozycyjnych działających w innych państwach kleptokratycznych i uczynić walkę z korupcją centralnym punktem swojego przekazu.

Zanim będzie za późno, każdy, kto ma możliwość działania, powinien głośno mówić o tym, co się dzieje: amerykański rząd, polityka zagraniczna oraz handel międzynarodowy są przekształcane nie po to, by służyć obywatelom Stanów Zjednoczonych, lecz by przynosić korzyści prezydentowi, jego rodzinie i jego znajomym. Tylko wyborcy mogą ten proces zatrzymać. ●

Przełożyła Patrycja Eiduka

● © 2025 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic”
● All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency
● „Koncern autokracja” Anne Applebaum w przekładzie Michała Rogalskiego dostępny na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka i audiobooka na Publio.pl. Tam również w formie papierowej oraz cyfrowej wcześniejsze bestsellery Anne Applebaum – „**Gulag**”, „**Czerwony głód**”, „**Zmierzch demokracji**” i **rozmowa rzeka z Donaldem Tuskiem**, „**Wybór**”.



• Thomas Rousseau szef altprawicowej organizacji Patriot Front na Marszu dla Życia. To coroczna manifestacja ruchów pro-life przeciwko aborcji, organizowana w rocznicę decyzji Sądu Najwyższego USA w sprawie Roe v. Wade, która prawnie usankcjonowała dopuszczalność aborcji na życzenie w USA. Waszyngton, 24 stycznia 2025 r.

FOT. KENT NISHIMURA/GETTY IMAGES

Pronatalizm po amerykańsku

TO NIE JEST KRAJ DLA BEZDZIETNYCH

Pod skrzydłami Donalda Trumpa religijni nacjonaści pragnący zawrócić Amerykę do czasów biblijnych spotkali się z bogatymi futurystami, którzy szastają nasieniem, edytują geny i zaszywają sobie pod skórą klucz do tesli.

Robert Stefanicki

Pod koniec marca w teksaskim Austin odbyła się druga konferencja natalistów. Natalizm albo pronatalizm najkrócej można zdefiniować jako przekonanie, że polityka rządu powinna zachęcać do rodzenia dzieci, ponieważ spadające wskaźniki urodzeń stanowią zagrożenie dla przyszłości narodu lub wręcz całej ludzkości. Wiele rozwiązań, jak dopłaty do żłobków czy gwarancje zatrudnienia dla matek, wpisuje się w program lewicy, lecz w USA – oraz w krajach takich jak Węgry, rządzonych przez podobnych Trumpowi populistów – natalizm został przejęty przez prawicę i służy za narzędzie w wojnie kulturowej.

Impreza w Austin nie była dla każdego. Bilety kosztowały po tysiąc dolarów od głowy, a dla chętnych na „sesję swatania” z natalistą płci przeciwnej – 10 tysięcy. Organizatorzy starannie przeświecali każdego aplikanta, odsiewając nieprawomyślnych i reporterów.

Złoty prawicowej ekstremy w USA to nic nowego, ale zazwyczaj były antysystemowe. Dziś jest inaczej: władza dmucha natalistom w żagle. Dlatego nastroje były bardzo optymistyczne. Tylko nieliczni mów-

cy, jak przemawiający na otwarciu Jack Pobsobiec, suprematysta, antysemita i propagator teorii spiskowej zwanej Pizzagate (o Demokratach więżących dzieci w lochach pizzerii w Waszyngtonie) bił w wojenny bęben: „Wrogowie z lewicy chcą naszej śmierci, więc traktujcie ich poważnie” – straszyl. „To wojna, a natalizm jest naszym mieczem i tarczą... Pomyślcie: różni Luigi [odniesienie do Luigiiego Mangione, który niedawno zabił szefa firmy ubezpieczeniowej], terroryści atakujący Teslę, oni nie mieliby żadnego problemu, żeby pozbyć się i nas!”.

Cztery filary nowego porządku

Ideologiczną bazą polityki Trumpa jest Projekt 2025 napisany przez Heritage Foundation. Jej prezes Kevin Roberts w słowie wstępnym tego programu rządów wymienia cztery obszary pożądaných zmian. Na pierwszym miejscu „przywrócenie rodziny jako centralnego elementu amerykańskiego życia”, dalej demontaż federalnej biurokracji, obronę „suwerenności, granic i dobrobytu” oraz zabezpieczenie „naszych danych przez Boga indywidualnych praw do życia w wolności”.

Trump realizuje te cele. Najwięcej pa-ry idzie w demontaż biurokracji, imigracji i wolnego handlu. Ale już pierwszego dnia

urzędowania Trump podpisał rozporządzenie, które uderza w osoby transpłciowe, definiując płeć binarnie. Na tym „przywracanie roli rodziny” się nie skończy. Roger Severino, autor rozdziału o polityce zdrowotnej i społecznej w Projekcie 2025, zaleca wycofanie z obrotu leków wczesnoporonnych, zakazanie ich przepisywania za pośrednictwem telemedycyny i wykorzystanie ustawy z 1873 r. do zakazania ich wysyłki pocztą. A także federalny nadzór nad aborcją na poziomie stanowym, kryminalizację pornografii i oparcie edukacji seksualnej na wstrzemięźliwości (choć tylko do czasu, bo wczesna prokreacja w małżeństwie jest pożądana). Rząd powinien rekompensować rodzicom koszty opieki nad dziećmi i wspierać organizacje, które „podtrzymują opartą na Biblii, wzmocnioną naukami społecznymi definicję małżeństwa i rodziny”. W tej wizji mężczyźni są żywicielami rodziny, a kobiety w pierwszej kolejności matkami.

Cofanie Ameryki o sto lat

W wielu aspektach Trump cofa Amerykę o stulecie lub półtora, tak jest też z polityką prorodzinną. Już na przełomie XIX i XX wieku rządzących mężczyzn niepokoiło, że kobiety idą na studia i do pracy, a wskaźnik urodzeń spada. Powstała wówczas teo-

ria „samobójstwa rasowego” – biała społeczność wymiera i jest zastępowana przez bardziej płodne rasy imigrantów.

W 1902 roku prezydent Theodore Roosevelt nazwał samobójstwo rasowe „kwestią nieskończenie ważniejszą niż jakakolwiek inna w tym kraju”. Argumentował, że „mężczyzna lub kobieta, którzy celowo unikają małżeństwa i mają serce tak zimne, że nie znają żadnej namiętności, i mógł tak płytki i samolubny, że nie lubią mieć dzieci, są w rzeczywistości przestępcami przeciwko rasie i powinni być przedmiotem pogardliwej odrazy ze strony wszystkich zdrowych ludzi”.

Współczesna wersja teorii samobójstwa rasowego żyje wśród wielbicieli Trumpa pod nazwą teorii wielkiej wymiany, która zakłada istnienie globalnego spisku mającego na celu zastąpienie białych Amerykanów kolorowymi imigrantami. To już po prawdzie nie samobójstwo, a zabójstwo.

W tym samym czasie, gdy zaczynał się zjazd natalistów, Elon Musk pojawił się w Fox News. Gospodarz spytał najbogatszego człowieka świata, czego najbardziej się obawia. „Wskaźnik urodzeń jest bardzo niski w prawie każdym kraju i jeśli to się nie zmieni, cywilizacja zniknie” – odpowiedział Musk. „Ludzkość umiera” – dodał.

Doprawdy? Prognozy demograficzne mówią, że świat jest na dobrej drodze, aby do 2037 r. osiągnąć populację 9 miliardów. Populacja Ziemi prawdopodobnie znacznie spadać dopiero około 2100 roku, kiedy to na Ziemi będzie blisko 11 mld ludzi. Białej prawicy nie chodzi więc o wymieranie całej ludzkości, tylko jej „lepszę” część.

Malejąca dzietność jest ściśle powiązana z rozwojem gospodarczym i społecznym. To naturalne zjawisko prowadzi do starzenia się populacji krajów rozwiniętych. W połowie tego stulecia jedna trzecia Europejczyków i 23 proc. Amerykanów będzie w wieku emerytalnym. Rządy niepokoją się o dostępność siły roboczej. Naturalnym remedium jest jej przepływ z regionów o wysokiej dzietności do regionów o niskiej – ale na to nie pozwala strach przed imigracją, podsycany przez polityków dla doraźnych korzyści.

Frakcja uważających się za bogów i frakcja bogobojnych

Ruch natalistyczny jest zróżnicowany wewnętrznie, mieszczą się w nim dwie główne frakcje, które można nazwać tradycyjnalistyczną i technologiczną.

Tradycjonaści mają motywację religijną, wierzą, że duże rodziny są wolą Boga, a wielu zdaje się również wierzyć, że

Trump jest przywódcą wybranym przez stwórcę. Za niską dzietność winią postępowe idee, które zacierają różnice między płciami. Rozwiązaniem jest bardziej konserwatywna edukacja i wtłoczenie homoseksualizmu i innych „dziwactw” z powrotem do szafy, bo uznanie ich za normę powoduje, że więcej osób chce się identyfikować się jako LGBT zamiast zająć się robbieniem dzieci. Również kobiety powinny wrócić na swoje miejsce. „Kobiety nie powinny robić kariery. Powinny być za to społecznie stygmatyzowane” – wprost mówił na konferencji w Austin Charles Haywood, magnat szamponowy zaliczający się do najbardziej bojowych natalistów.

Technolodzy natomiast niekoniecznie nawet wierzą w Boga. Sami chcą odgrywać jego rolę, dążąc do maksymalizacji potencjału rasy ludzkiej. Interesuje ich edycja genów, badanie IQ zarodków, albo odkrywanie sposobów wydłużenia życia.

Reporterka magazynu Mother Jones opisała spotkanie z Patrim Friedmanem (wnukiem Milтона, guru ekonomii), który prowadzi futurystyczny startup w stajni skrajnie prawicowego miliardera Petera Thiela, sponsora kampanii J.D. Vance’a. Friedman opowiedział jej o swojej podróży do Hondurasu, gdzie procedury medyczne są zliberalizowane. Reporterka donosi: „Wymieniono mu tam wszystkie bakterie w ustach, aby nigdy więcej nie miał próchnicy, i przeszedł procedurę edycji genów, która jego zdaniem znacznie zwiększyła jego wydolność sercowo-naczyniową. Z dumą wskazał na miejsce między kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki. Tam znajdował się chip, który odblokowuje jego tesle”.

W obecnych władzach USA duchowym przywódcą technologów jest oczywiście Elon Musk, ojciec 14 dzieci, w tym wielu poczętych z in vitro, przy czym zarodki ponoć wyselekcjonowano tak, żeby byli to chłopcy. Do tradycjonalistów zaliczają się przewodniczący Izby Reprezentantów Mike Johnson i Paula White, wieloletnia doradczyni duchowa Trumpa, która jest teraz liderką nowego Biura Wiary Białego Domu. Wiceprezydent Vance stanowi pomost między oboma frakcjami. Ten katolik z Appalachów jest też związany z nieformalną grupą protestanckich nacjonalistów z pokolenia milenialsów, których media ochrzciły TheoBros. Ci stoją na prawo od ściany: marzy im się zniesienie praw wyborczych kobiet, przywrócenie publicznych chłost i sprawienie, by Ameryka była biała i kierowała się dziesięcioma przykazaniami.

Wkrótce po zaprzysiężeniu na wiceprezydenta Vance powiedział: „Chcę więcej dzieci w USA”. Kiedy krytykowano go za nagranie, w którym wyśmiewał „bezdziadne kociary”, wyjaśnił w wywiadzie dla Fox News, że nie miał zamiaru obrazić tych kobiet, a jedynie zasugerować, że decydując się na nieposiadanie dzieci unieszczęśliwiają nie tylko siebie, ale całą Amerykę.

Vance zaproponował już wprowadzenie systemu głosowania ważonego, w którym głosy oddane przez rodziców byłyby bardziej cenione niż głosy osób bezdzietnych. Prostsza forma mogłoby być przyznanie czynnego prawa wyborczego dzieciom (czy od poczęcia?), które egzekwowaliby ich rodzice, a konkretnie „pan domu”.

Król Salomon

Trump wycofuje finansowanie uniwersytetów niekoniecznie w ramach zemsty na kuźniach liberalnych elit. Zaleciła to Heritage Foundation, zauważając, że lepiej wykształcone kobiety mają tendencję do rodzenia mniejszej liczby dzieci. W tym samym artykule autorzy zasugerowali zmianę polityki edukacyjnej, aby zachęcać ro-



J.D. Vance

zaproponował już
wprowadzenie systemu
głosowania ważonego,
w którym głosy
oddane przez rodziców
byłyby bardziej cenione
niż głosy osób bezdzietnych

dziców do wybierania szkół religijnych, co miałoby być korzystne dla płodności.

Ale nie każda płodność jest dobra. „Nie chcemy promować natalizmu u postępowych feministek” – powiedziała uczestnicząca w konferencji w Austin Peachy Keenan, autorka przewodnika dla gospodyń domowych „Jak wygrać wojnę kulturową”. „Korzystne jest to, że strach przed zmianami klimatycznymi sprawi, że wskaźniki urodzeń kobiet o liberalnych poglądach będą zawsze niskie” – dodała.

Jedynym punktem spornym między fanatycznymi chrześcijanami i fanatycznymi technologami jest stosunek do in vitro. Ci pierwsi uważają, że ta metoda jest sprzec-

na z wolą boską i prowadzi do zabijania zarodków, lecz znaleźli się na straconej pozycji, bo Trump – być może pod wpływem Muska – w marcu oznajmił: „Będę znany jako prezydent zapłodnienia in vitro i to jest w porządku”. Muskowi nie przeszkodziło to zwolnić zespół naukowców zajmujących się badaniami nad niepłodnością i technikami wspomaganego rozrodu, w ramach cięć wydatków w Centrach Kontroli i Zapobiegania Chorobom.

Organizatorzy konferencji zadbali o wygładzenie przekazu, ale skrajne poglądy wielu uczestników są znane z ich blogów. Np. Jordan Lasker vel Cremieux usiłuje dowieść niższej inteligencji mieszkańców globalnego Południa. Charles Cornish-Dale, który publikuje pod pseudonimem Raw Egg Nationalist, i czasem mruga literkami „HH” (od „Heil Hitler”) do swoich 281 tys. obserwujących na X, przekonuje, że imigranci zagrażają zachodniej cywilizacji.

Ruch natalistyczny jest kotłem, w którym mizoginia, ksenofobia i rasizm miesza się z eugeniką i faszyzmem. Skompromitowane idee można jawnie rozwijać w ramach utopii, na zewnątrz udając, że to nic poważnego.

Wspomniany startup Friedmana ma misję stworzenia „niezależnych wspólnot oceanicznych”. Współorganizujący konferencję Malcolm i Simone Collins, zwani „hipsterskimi eugenikami”, swego czasu przedstawili propozycję miasta-państwa na wyspie Man, gdzie odbywałaby się „masowa produkcja genetycznie wyselekcjonowanych ludzi”. Na zjeździe w Austin Collins wystąpiła w stroju z „Opowieści podręcznej” – wymowna deklaracja: „wiem, co o tym myślicie, i nic sobie z tego nie robię”.

Bogaty finansista Jeffrey Epstein, dobry znajomy Trumpa (oskarżony o handel ludźmi w celach seksualnych, odebrał sobie życie w więzieniu) też był zafascynowany eugeniką, planował stworzyć ulepszoną rasę ludzi, wykorzystując inżynierię genetyczną i sztuczną inteligencję; na ranchu w Nowym Meksyku kobiety byłyby zapładniane jego nasieniem i rodziłyby jego dzieci. Elon Musk ma duży dom w pobliżu Austin, gdzie podobno planuje umieścić część swojego potomstwa i dwie spośród ich matek. To jakby załazek haremu, wierzący mogą powiedzieć, że biblijnego. Do króla Salomona, który rzekomo miał tysiąc żon i konkubin, Muskowi daleko, ale jeszcze kawał życia przed nim. ●

Kraj/34374083



Znajdziesz w każdym sklepie



Szukaj na regale z prasą





• Jessie (24 l.) nigeryjska pracownica seksualna w lesie Castel Porziano w okolicach Rzymu. Prostytucja jest głównym źródłem dochodów działającej we Włoszech mafii nigeryjskiej.

FOT. ALESSANDRA TARANTINO/EAST NEWS

NOC Z NIGERYJKĄ ZA 15 FILIŻANEK

Wszystkiemu winien jest włoski mężczyzna.

Mateusz Mazzini

Iez kiedyś myślałem, że Nigeryjczycy są bardziej brutalni od lokalnych mafii.

Rozmowa z Sergiem Nazzarem na temat ekosystemu kryminalnego w Kampanii przypomina strzelaninę. Wypluwa z siebie kolejne sentencje jedna po drugiej, jak te strzały, które słyszałem w Villa Literno. Zanim zacznę mi tłumaczyć, czym właściwie są czarne mafie, skreśli sobie papierosa, zaciągnie się dwa razy i dopiero potem zaprosi mnie na wycieczkę w głąb afrykańskiej przestępczości, włoskiego cynizmu i ogólnej ciemności ludzkiej duszy. Nazzaro jest jednym z najbardziej utytułowanych włoskich reporterów zajmujących się przestępczością zorganizowaną, choć nie jest nawet w ułamku tak znany jak Roberto Saviano, który zresztą z dziennikarstwem ma coraz mniej wspólnego.

Jego „Gomorra”, brawurowa książka o rzeczywistości mafijnej w Neapolu, opisująca nie tylko sposoby rekrutowania młodych chłopców, ale też moralne zepsucie, biedę, brak alternatyw i społeczną pustynię niektórych dzielnic tego miasta, przyniosła mu międzynarodową sławę i wyrok śmierci ze strony Camorry. Saviano musiał relokować rodzinę, jest 24 godziny na dobę pod ochroną policji, nie wiadomo, gdzie na co dzień mieszka, choć tworzy na potęgę, również formy fabularyzowane. Jest scenarzy-

stą seriali Netflixa, ekspertem od mafii na potrzeby mediów, jednocześnie wydaje tomiki poezji, a nawet romantyczne opowiadania. Urodził się w Neapolu, ale ma w rodzinnych stronach silny elektorat negatywny. Wiele osób obwinia go o komercjalizację mafijnych historii, na czym zarabia krocie – serwisy plotkarskie wyceniają jego majątek na 5 milionów euro.

Nazzaro karierę poświęcił w całości tematowi mafijnym – najpierw w Neapolu, potem w całej Kampanii, wreszcie we Włoszech jak one długie i szerokie. Napisał dwie książki o afrykańskich mafiach, doradzał parlamentarnym zespołom do spraw zwalczania przestępczości. Wie wszystko. Które miasteczko do kogo należy, gdzie przebiegają granice, kto czym handluje i gdzie mieszkają na co dzień jego mocodawcy.

• – Żeby zrozumieć istotę czarnych mafii, musisz je wpisać w kontekst miejsca, z którego pochodzą. Nie tego, co robią we Włoszech, tylko tego, co się dzieje w Nigerii – zaczyna. Poprawia okulary, robi siedem zbędnych gestów i kontynuuje.

– To nie są zwykłe gangi, jakie istnieją w każdym kraju. Czarne mafie to krzyżówka dziwnego bractwa studenckiego, sekty i po prostu bardzo brutalnej mafii. Pomyśl sobie, jak wyglądała codzienność w Nigerii, powiedzmy, 30 lat temu. Już wtedy był to kraj o ogromnej populacji i jak każde dekolonizujące się państwo w Afryce zalany bronią. W dodatku to regionalne centrum, naj-

wiekszy kraj w tej części kontynentu, mnóstwo interesów się tam zbiegało. Łatwo było zawiązać grupę przestępczą, która szybko ogarnęłaby broń i towar, czy to dragi czy ludzi. Jak dodasz do tego elementy lokalnych wierzeń, hierarchię typową dla sekt, silnych liderów, masz obraz tego, co się wydarzyło.

Na terenie Włoch działają od ponad dwóch dekad. Początkowo rozproszeni, teraz funkcjonują w czterech grupach. Czarny Topór jest najbardziej znany, bo kilkakrotnie wchodził w zwiarcie z Camorrrą, próbując się wedrzeć na terytorium neapolitańczyków. To od początku była jednak wojna asymetryczna, Nigeryjczycy nie mieli szans. Nie ta skala, nie to uzbrojenie, nie ten czas i miejsce. Kiedy przeginali, Camorra urządziła pokaz siły. Jak 18 września 2008 r., kiedy cyngle wjechali do Castel Volturno. Kilku facetów przebranych w mundury policyjne wysiadło z samochodu w przypadkowo wybranym miejscu, gdzie stała grupka młodych czarnoskórych chłopaków. Raport policji pokazuje, o jakim starciu mowa. Dwa pistolety kalibru 9 milimetrów, dwa kałasznikowy, 130 strzałów.

Prokuratura zakwalifikuje to jako zbrodnie motywowaną nienawiścią rasową, ale każdy tutaj wie, że nawet jeśli to był rasizm, to nie taki jak na włoskich stadionach czy ulicach. Tu nie chodziło o naśladowanie małp czy rzucanie skórkami od banana. Castel Volturno już było twierdzą Czarnej Topora, a dla Camorry wszystko jedno, jaki kolor skóry mają jej rywale. Zabija ich bez względu na rasę.

• Czarne mafie wychodzą jednak daleko poza Neapol. Są w: Katanii, Palermo, Trapani, Apulii, Reggio Calabria, nawet na ulicach Mediolanu.

Vikings, Maphite, Supreme Eye Confraternity – każda z tych grup różni się w szczegółach, ale modus operandi mają niemal identyczny. Kiedy się pojawiły, władze włoskie nie wiedziały, z czym mają do czynienia. Z jednej strony spełniają klasyczną definicję mafii, czyli hierarchiczność procesu decyzyjnego, szeroką i głęboką strukturę, stopnie przypominające wojskowe lub policyjne, jasny podział obowiązków i przejrzyste ścieżki awansu. A przede wszystkim działają jak pasożyty w miejscach, w których się pojawiają, trwale zmieniając całą tkankę społeczną-ekonomiczną miasta. Z drugiej strony nigeryjskie mafie zachowały mnóstwo religijnych rytuałów wywiezionych z Afryki, którym poddają nowych członków i które stanowią podstawę ich zbiorowej tożsamości.

Do nigeryjskich grup nie zawsze się wstępuje, bo wielu ich członków zostało po prostu zmuszonych do wejścia w ich szeregi. Czasami są to młodzi chłopcy w Nigerii czy innych krajach Afryki Subsaharyjskiej, bo niektóre z tych organizacji mają już filie w Sierra Leone, Liberii czy Ghanie, a czasem przymusza się do tego migrantów, którzy są we Włoszech od dawna i zdążyli sobie poukładać życie w legalny sposób.

Brutalnie jest od samego początku. Budując na tradycjach niektórych grup etnicz-

nych i religijnych z południa Nigerii, przede wszystkim ludu Joruba, mafie nakazują rekrutom rytuał przejścia. Chodzi o zwyczajne mordobicie. Nowy członek musi na dzień dobry zostać brutalnie złany przez starszą grupę, żeby dowieść odwagi, męskości i wierności organizacji. Jeśli patrzeć na to w ten sposób, nie ma wielkiej różnicy między Czarnym Toporem a Camorą, która nastolatkom każe zakładać kamizelki kuloodporne i przyjąć na klątę wystrzelony z kilku metrów nabój – w przypadku Nigeryjczyków jest więcej bólu i krwi, ale i tu, i tam chodzi o przywiązanie przez przemoc.

Do historii o inicjacjach i elementach rytuałów voodoo trzeba jednak podchodzić ze sporym dystansem, żeby tych ludzi nie orientalizować. Łatwo wpaść w koleiny myślowe o sekretnych, krwiożerczych organizacjach czarnoskórych mężczyzn, którzy mordują, gwałcą i sieją zniszczenie, używając metod i praktyk z prastarych czasów, z groźnej dżungli. Jeszcze parę takich skojarzeń i można z nich zrobić kanibali z rasistowskich XVIII-wiecznych rycin. A to po prostu gangsterzy, część zglobalizowanego ekosystemu handlu narkotykami i ludźmi.

Źródłem potęgi finansowej czarnych mafii są nie narkotyki, ale prostytutka. Kobiety bywają porywane, przemycane do Europy, ale coraz częściej padają ofiarami oszustwa. Płacą kilkanaście, często kilkadziesiąt tysięcy euro za obietnicę przerzutu przez Morze Śródziemne i załatwienia legalnej pracy. Kończy się na niewolnictwie i latach spędzonych jako własność grup kryminalnych.

Wśród badaczy nie ma zgodności, czy nigeryjskie mafie przyjmują tylko mężczyzn. Wiadomo, że nie ograniczają się do narodowości, bo włoskie organy ścigania zidentyfikowały należących do Czarnego Topora i Vikings obywateli: Sierra Leone, Sudanu, Ghany i Liberii. Lojalność jest ważniejsza niż pochodzenie. Istnieje wiedza o pojedynczych przypadkach kobiet, które doszły nawet do średniego szczebla w strukturach mafii.

Pewne jest, że niejako w równoległym do mafijnego silosie odbywa się administracja prostytutką – i to robią już wyłącznie kobiety. Tak zwane mamany, stręczycielki, identyfikują młode dziewczyny, prowadzą burdele, rozliczają się z zapewniającą im ochronę mafią. Czerpią spore korzyści finansowe i potrafią być wobec własnych niewolnic niewyobrażalnie brutalne. Zabierane do Europy młode dziewczyny też poddaje się rytuałom przejścia, ale nie można ich mylić z tym, przez co przechodzą mężczyźni. U chłopców to moment zmiany, porzucenie starego życia, wejście na nowe. U kobiet chodzi o złamanie ich. Maman proszą gangsterów o zbiorowy gwałt na nowych dziewczynach, poddawanie ich seksualnym torturom, nawet przez kilka dni.

– Ale skąd Nigeryjczycy we Włoszech? Przecież to anglojęzyczny kraj, bez związków kolonialnych, poza tym, jak już przemycasz dragi i kobiety, to masz większe rynki zbytu w Europie – dopytuje.

– To nie jest tak, że oni się wzięli znikąd, nagle. W latach 80. było mnóstwo programów i wymian studenckich między Włochami a Nigerią, sporo ludzi mieszkało tu w młodości, potem wracało na swoje uniwersytety, wchodziło w te bractwa, a że znali świat mafijny tutaj, to szli w tym kierunku. Poza tym ja pochodzę z Kampanii, pamiętam te czasy. Dzisiaj się mówi, że kryzys migracyjny się zaczął w 2015 roku, jak pierwsze łódki wylądowały na Lampedusie. Ale migranci tu byli zawsze. Libijczycy, Tunezyjczycy, Marokańczycy. I wiesz co, cholera? Kiedyś nam w ogóle nie przeszkadzali. W czasach mojego dzieciństwa lato zaczynało się wtedy, kiedy szedłeś na plażę i widziałeś Tunezyjczyka, który sprzedawał lody. To był pierwszy sygnał, że nadchodzą wakacje, można olać szkołę. I myśmisy wszyscy jak jeden mąż do tego Tunezyjczyka po te lody biegali, bo się nam dobrze kojarzył.

Rasizm? Jaki rasizm, człowieku? Nas interesowało, że miał niższe ceny, a rodziców nie obchodziło w ogóle, że to jest migrant z Afryki.

– To co się zmieniło?
– Najpierw masz lata 90., otwarcie się wszystkich na wszystko, przekonanie, że już będzie tylko lepiej. Ale w Afryce to jest czas głodu, wojen, terroryzmu. Ludzie zaczynają migrować. Dodatkowo nigeryjskie mafie się uczą, zbierają doświadczenie, pośredniczą w handlu latynoamerykańskim koksem. Zarabiają pieniądze, po czym wchodzą z nimi do Europy. Lepsza pozycja negocjacyjna.

Zdaniem Nazzara trzeba rozgraniczać to, co Nigeryjczycy robią u siebie, od tego, czym zajmują się we Włoszech. W ojczyźnie są bossami, nawet stręczycielki często mają ogromne fortuny, cieszą się jakąś skrzywioną formą szacunku społecznego. Najłatwiej, sugerują Sergio i inni badacze, zobaczyć to w kościołach. Na nabożeństwach u zielonoświątkowców, których obecność w Nigerii dynamicznie się rozwinęła w tych latach, w których nastąpiła ekspansja mafii, kobiety zajmujące się handlem ludźmi siedzą w pierwszych rzędach, również dlatego, że wspierają te kościoły hojnymi datkami.

Znane są przypadki stręczycielek zaangażowanych w życie swoich wspólnot, blisko współpracujących z pastorami, które później identyfikowane są przez Interpol czy Europol jako kluczowe postaci siatki przemysłowej.

– My się zaczynamy nimi interesować tak na poważnie po 11 września i zamachach na World Trade Center – kontynuuje Sergio – bo wtedy zmienia się sposób działania służb. Wchodzimy we współpracę z Interpolem, widzimy, że te same nazwiska pojawiają się w Niemczech, w Rumunii, w Holandii. Spoko, pisz o nich jako o mafiach czarnych czy afrykańskich, ale to nie ma znaczenia. Oni są elementem globalnego łańcucha dostaw, w którym uczestniczą właściwie wszystkie państwa. Polska też.
– Polska?
– Jasne. Przecież pieniądze z handlu narkotykami przechodzą przez tyle rąk, że na pewnym poziomie nie jesteś w stanie dotrzeć do ich źródła.

Sergio powtarza manewr ze skręcaniem papierosa, poprawianiem oprawek i kręceniem się na krześle. Po czym proponuje mi proste ćwiczenie intelektualne. – Jesteś pół-Włochem, dziennikarzem. Łatwo do ciebie dotrzeć, domyślić się, że znasz język. Któregoś dnia dzwoni do ciebie jakiś mężczyzna, Włoch. Podaje nawet imię i nazwisko. Odbierasz?

– Odbieram. Dziennikarz zawsze odbiera.

– No właśnie. Więc on dzwoni z propozycją. Coś w stylu: „Nie znam tu nikogo, ale Warszawa wydaje się fajnym miejscem, gospodarka wam rośnie, a ja mam trochę kasy na boku, chciałbym otworzyć restaurację”. Włoch z restauracją w Warszawie to nie brzmi aż tak dziwnie, prawda?
– Sam znam kilkunastu, sami fajni ludzie.

– Ten też zabrzmi fajnie. Opowie ci o wzajemnym interesie, że taka fajna knajpa.

– Tylko co ja mam z tym wspólnego?
– Na początku nic. On cię poprosi o pomoc. Nie o kasę, ale żebyś może go z kimś umówił, poznał, powiedział, kto o czym decyduje. W końcu jesteś dziennikarzem, wiesz takie rzeczy. To co, spotykasz się?

– Spotykam, ciekawość wygra.
– To już jesteś ugotowany. Idziesz na kawę, zgadzasz się mu pomóc. Ktoś wam robi zdjęcia. Możesz się o tym nigdy nie dowiedzieć, ale gdybyś zaczął fikać albo odkrył, że to hajs mafii, to mogą cię zacząć szantażować. Ale na razie jest bajera.

– Dobra, a poza bajera?
– Nic. On może od ciebie nic nie chcieć na pierwszym etapie. Coś ci opowie, po czym rzeczywiście otworzy knajpę. Zwykła restauracja, będzie się kręcić. Pół roku później zadzwoni znowu. I powie, że otwiera hotel. Ty się rozejrzysz, zobaczysz, że za

pierwszym razem nie blefował, zaczniesz mu wierzyć. On z każdą kolejną prośbą będzie sugerował, żebyś się do niego zbliżył. Coś załatwił, pomógł, w zamian będzie kasa. Zaczniecie rozmawiać o pieniądzach. Za którymś razem wejdiesz w relację finansową. I staniesz się współdziałowcem w mafijnym biznesie.

Niemcy, Holendrzy, Belgowie, ale też Polacy nie mają odpowiednich komórek śledczych w policji ani legislacji pozwalającej choćby na sprawdzenie, skąd pochodzą inwestowane w tych krajach pieniądze, zwłaszcza jeśli są chowane za dziesiątkami firm słupów i ostatecznie nie przynoszą żadnej szkody. Przeciwnie: dają zatrudnienie, generują przychody z podatków i można się nimi chwalić w mediach.

Rysując krąg światowej przestępczości zorganizowanej, trzeba zahaczyć o Dubaj. Stolica Zjednoczonych Emiratów Arabskich jest wymieniana jako źródło i centrum dowodzenia jednocześnie. Albańczycy, Marokańczycy, Irlandczycy, Kolumbijczycy, przemycnicy złota z Sudanu, wagnerowcy czy chińskie mafie handlujące rogami nosorożców z RPA – wszyscy przepuszczają pieniądze przez Dubaj.

*Na nabożeństwach
u zielonoświątkowców
kobiety zajmujące się
handlem ludźmi siedzą
w pierwszych rzędach. Znane
są przypadki stręczycielek
zaangażowanych
w życie swoich wspólnot,
współpracujących
z pastorami, które Interpol
identyfikuje jako kluczowe
postaci siatki przemysłowej*

Mitchell Prothero, jeden z najlepszych dziennikarzy zajmujących się globalnymi syndykatami kryminalnymi, tłumaczy w prostych słowach, dlaczego to miasto jest stworzone do bycia główną siedzibą międzynarodowych gangów. Po pierwsze, atutem jest lokalizacja, bo z Dubaju blisko jest wszędzie. Do Europy rzut beretem, do Afryki tak samo, nawet do Indii całkiem niedaleko. Jeśli trzeba lecieć gdzieś dalej, też żaden problem, lotnisko w Dubaju oferuje połączenia do 240 miast na sześciu kontynentach, da się bez problemu obokoczyć obie Ameryki. Po drugie, Dubaj tak naprawdę leży nigdzie – ani w Azji, ani w Afryce, ani w Europie, jest trochę poza tradycyjnymi podziałami geograficznymi, niczym wolne miasto w czasach międzywojnia, tyle tylko, że żadna organizacja międzynarodowa nie sprawuje nad nim kontroli.

Oznacza to na przykład, że tutejsze banki są wpięte w światowe systemy finansowe, mają podpisane porozumienia o partnerstwie z instytucjami w Szwajcarii, Wielkiej Brytanii i Niemczech, a cały świat uznaje dubajskie karty kredytowe. Jednocześnie tutejsze regulacje sektora bankowego są tak dziurawe, że bliższe prawdy będzie stwierdzenie, że nie istnieją. W Dubaju nie weryfikuje się, skąd pochodzą wpłacane tu pieniądze, a za poręczenie często wystarcza stempel wydany na przykład przez jedną z tutejszych giełd kruszców czy metali wartościowych.

No i władze w Emiratach niewiele sobie robią z europejskich nakazów aresztowania. Nawet więc, jeśli Europolowi uda się ustalić, że kokainę do portu w Neapolu czy w Gioia Tauro wysyłają Albańczycy lub Czarny Topór, a ich bossowie rezydują w dubajskich apartamentach, na samej wiedzy się kończy. Prothero naliczył pojedyncze przypadki eks-tradycji gangsterów wysokiego szczebla ze

Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Czasem zgarnie się kogoś dla pokazówki.

Wciąż jednak nie wiem, co poprowadziło Nigeryjczyków właśnie do Włoch.

– Chcesz wiedzieć, kto jest temu wszystkiemu winien? – pyta Sergio.

– Berlusconi? Cosa nostra? Jakies gangi, o których nawet nie wiem, że istnieją?

– Nie stary, to jest znacznie prostsze. Winien wszystkiemu jest włoski mężczyzna.

I kontynuuje: – Zaczęło się od prostytutki. Jeszcze przed denominacją, zanim weszło euro. Wiesz, ile kosztowała wtedy afrykańska dziewczyna na ulicy? 20 tysięcy lirów. 10-15 euro na dzisiejsze. Kawa chodziła po 1400 lirów, za 15 filiżanek kawy w barze miałeś noc z Nigeryjką. Policja odkryła konta założone w Western Union przez nigeryjskich bossów. Wiesz, ile kasy wysłali do Nigerii w dwa lata? Miliard lirów. Miliard, kurwa, lirów. To jest 50 tysięcy nocy. 50 tysięcy stosunków, 50 tysięcy momentów, w których włoski facet podchodził do nigeryjskiej dziewczyny na ulicy i zabierał ją do auta albo szedł z nią do jednej z tych rozwalających się kamienic.

– Nikt nie próbował interweniować?

– Tu się kłania percepcja, przyjacielu. Prostytucja i narkotyki zawsze były we Włoszech postrzegane jako przestępstwa nieszkodliwe społecznie. Trąbiliśmy o mafii, zajmowaliśmy się strzelaninami, terroryzmem politycznym. Dla wielu przestępstwem był zwykły małżeński rozwód. Ale już to, że faceci masowo brali sobie dziewczyny z ulicy – żaden problem. Że pół Mediolanu wciągało koks w latach 80. – żaden problem. Nawet była na to moda przecież...

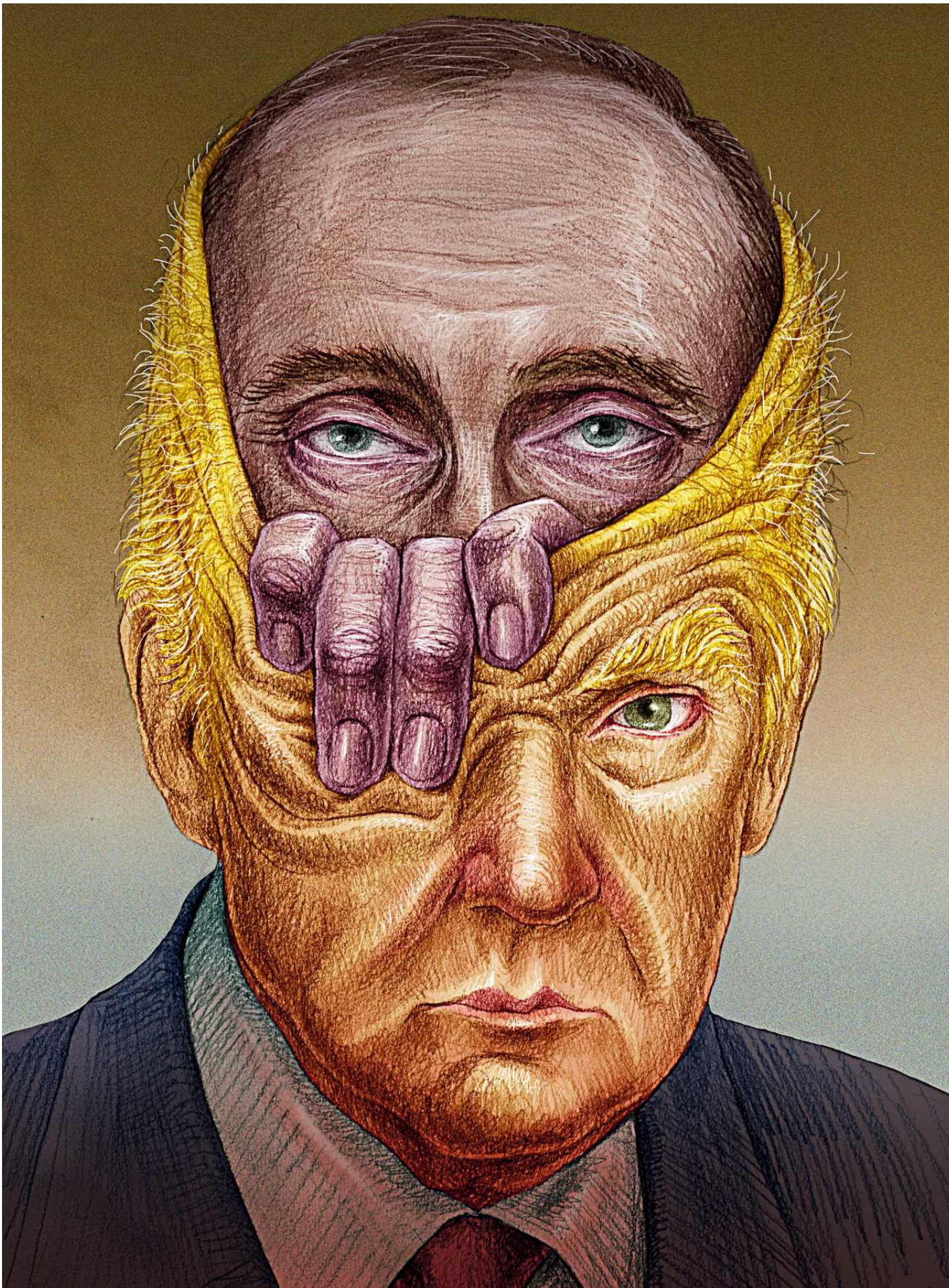
Utuczeni na pieniądzach z prostytutki nigeryjcy przywódcy mafijni inwestują w narkotyki. Zaczynają przerzucać, potem dilować. Tu wchodzi w spór z cosa nostra czy camorą – dalszy ciąg jest znany. Konfrontacje, oferty finansowe, wreszcie układ. Nigeryjczycy nie są jednak jedynymi podwykonawcami włoskich mafii. Logistykę, przynajmniej na terenie Europy, kontrolują na przykład Albańczycy. Czarny Topór, Vikings czy inne grupy doskonale znają miejsce w szeregu. Na terenie Włoch nie zabijają. Nie próbują poszerzyć przydzielonego im terytorium. Nie atakują tych, których atakować im nie wolno. Uczą się, jak pracować w cieniu.

Przez wszystkie wypowiedzi, monologi, maile, które wymieniam z Sergiem, przebija ta sama myśl – że my, Europejczycy, ciągle za mało o nigeryjskich mafiach wiemy. I chodzi o ich sposób działania nie na Półwyspie Apenińskim, tylko tam, skąd się wywodzi. Nadal mamy niewystarczającą wiedzę o Nigerii jako państwie i społeczeństwie. A to przecież największa gospodarka Afryki i jednocześnie najbardziej ludny kraj. Jeszcze w 1982 roku mieszkało tam mniej niż 80 milionów ludzi, dziś ta liczba przekracza prawdopodobnie 224 miliony. Według symulacji ONZ do 2050 roku, czyli w ciągu zaledwie 25 lat, Nigeria dobieje do 377 milionów mieszkańców, czyli sporo więcej, niż mają Stany Zjednoczone.

Trzeba przy tym sobie uzmysłowić, że to nie są rozmowy ani o odległej czasowo przeszłości, ani odległej geograficznie rzeczywistości – z Abudży do Rzymu leci się zaledwie pięć godzin, mniej więcej tyle, ile z Warszawy do Lizbony. Dlatego pisanie o nigeryjskich mafiach we Włoszech to literalnie pisanie reportaży o przyszłości. ●

● Reportaż pochodzi z właśnie ukazującej książki Mateusza Mazziniego „**Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów**”, dostępnej w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.





LUSTERECZKO, POWIEDZ PRZECIE

Inni mają być dla naszej grupy lustrem. Biada im, jeśli nie odbijają się w nim nasza lepszość.

Z **AGNIESZKĄ GOLEC DE ZAVALA ***,
PSYCHOLOŻKĄ POLITYCZNĄ,
AUTORKĄ KSIĄŻKI
„NARCYZM GRUPOWY”
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Czy to możliwe, że narcyzm Putina i Trumpa miał wpływ na napaść Rosji na Ukrainę i eskalację wrogości Stanów Zjednoczonych wobec własnych obywateli i Europy?

– Twierdzenie, że za wojny odpowiada narcyzm przywódców politycznych, jest dość powszechne. I nietrafne.

W latach 60. filozof i psycholog Erich Fromm, a 20 lat później psychiatra Otto Kernberg opisali tak zwany narcyzm złośliwy, czyli narcystyczne zaburzenie osobowości związane z sadyzmem i okrucieństwem. Szczególnie taki narcyzm przypisuje się przywódcom politycznym takim jak Hitler, Mao czy Stalin.

Na przykład jeden z „diagnostów-na-odległość” przypisujących narcystyczne zaburzenia Donaldowi Trumpowi, irlandzki fizyk, psychoanalityk i blogger, Ian Hughes w książce „Zaburzone umysły. Jak niebezpieczne umysły niszczą demokrację” stawia tezę, że osoby z zaburzeniami osobowości, takimi jak psychopatyczny narcyzm, mogą dojść do władzy zasadniczo zawsze i wszędzie, ale szczególnie w warunkach nierówności ekonomicznych i skrajnego indywidualizmu.

Ale nie można łączyć zjawisk społecznych z profilowaniem psychologicznym sprawców przemocy politycznej. Społeczeństwami nie rządzą nakazy ludzi chorych czy złośliwych, tylko wspólne idee.

Ale idee kreowane są przez liderów przeciw.

– Tak, przywódcy polityczni mogą odgrywać rolę w propagowaniu narcystycznych idei. Ale częściej raczej ogniskują i odbijają przekonania swoich wyborców, niż narzucają im jakiś sposób myślenia. To nie indywidualna patologia Władimira Putina, ale poglądy i motywacje podzielane przez rzesze ludzi, którzy Putina popierają, stoją za agresją Rosji na Ukrainę.

Jest pani badaczką narcyzmu grupowego i autorką metody jego pomiaru. Pani zdaniem, póki go nie zrozumiemy, póty nie będziemy wiedzieli, jak i dlaczego nienawidzą społeczeństwa. Czym więc jest narcyzm grupowy?

– To przekonanie o wyjątkowości własnej grupy, wymaganie, aby inni uznawali jej wyższość. To wyolbrzymianie znaczenia własnej grupy często łączy się z nienawiścią wobec ludzi z innych grup.

Aż z nienawiścią?

– W narcyzmie grupowym najważniejsze nie jest to, czy grupa, z którą człowiek się identyfikuje, rzeczywiście jest najlepsza, czy w ogóle w czymkolwiek dobra, tylko to, czy inni ją uznają za lepszą. Ci inni mają być dla naszej grupy lustrem, a jeśli nie odbijają się w nim, to co byśmy chcieli zobaczyć, czyli nasza lepszość, czujemy się pokrzywdzeni, zaczynamy ich za to winić, posądzać o wrogie intencje i nie lubić. I ta emocja w zależności od kontekstu może eskalować do nienawiści i agresji.

W 2016 roku po wygranej Donalda Trumpa wspólnie z Chrisem Federico opublikowaliście badania, na podstawie których twierdziliście, że za sukcesem wyborczym Trumpa stoi wzrost poziomu amerykańskiego narcyzmu grupowego. Spekulowaliście, że narcyzm narodowy stanie się dominującym poglądem na amerykańską tożsamość, co potwierdziły także ostatnie wybory.

– Z naszych badań wynikało, że amerykański narcyzm grupowy zadecydował o oddaniu głosu na Trumpa w wyborach prezydenckich w 2016, a potem w 2020 roku w większym stopniu niż przynależność wy-

RYS. ALICJA KOCUREK

borców do Partii Republikańskiej, polityczny konserwatyzm, ich niezadowolenie z sytuacji ekonomicznej, prawicowy autorytaryzm, seksizm lub resentyment rasowy.

Narcyzm narodowy, który jest odmianą narcyzmu grupowego, zapowiadał także głosowanie na populistycznych polityków i populistyczne partie w innych krajach, co potwierdzają badania na Węgrzech po wygranych przez Viktora Orbána wyborach w 2021 roku i w Polsce w 2018 roku po wygranej PiS.

On również plus satysfakcja z przynależności do narodowej grupy własnej miały poziomem wyraźnie wyższe wśród wyborców, którzy głosowali na Andrzeja Dudę, w porównaniu z głosującymi na Rafała Trzaskowskiego.

Czy do grupy używającej narcyzmu grupowego do obsługi rzeczywistości należą osoby o osobowości narcystycznej?

– Narcyzm indywidualny jest cechą osobowości wyrażającą się w wywyższającym się, nieempatycznym i antagonistycznym podejściu do innych. W wynikach badań nie ma oczywistej silnej zależności powodującej, że ktoś, kto ma cechy narcystycznej osobowości, natychmiast projektuje je na swoją grupę.

Ale na marginesie bardzo ciekawe były badania przeprowadzone w Niemczech na ich terenach wschodnich i zachodnich, czyli w obszarach zróżnicowanych ekonomicznie. Okazało się, że ludzie, którzy doświadczali w życiu biedy, są mniej narcystyczni.

Jak to wyjaśnić?

– Jeśli dorastasz i kształtujesz się w społeczeństwie, które doświadcza biedy, to odczuwasz, że twoje przetrwanie jest uzależnione od innych, czemu towarzyszy samoo graniczenie potrzeb i myślenie o innych. Natomiast pokolenia, które dojrzewały w dobrobycie, mogły wierzyć, że ich sukces ekonomiczny jest ich indywidualną zasługą. Te pokolenia są wyraźniej narcystyczne.

Amerykańska psycholożka Jean Twenge, znana w Polsce jako autorka m.in. książki pt. „Pokolenia”, twierdzi, że od lat 70. XX wieku poziom narcyzmu indywidualnego w Stanach Zjednoczonych stale rośnie. Czy narcyzm może stać się grupowym, gdy już nie jedna, ale coraz więcej osób należących do grupy przejawia cechy narcystyczne?

– Zdaniem badaczy tak zwana „epidemia narcyzmu” w Stanach Zjednoczonych przejawia się między innymi w częstym i nadmiarowym używaniu w amerykańskich książkach, filmach, tekstach piosenek i innych tekstach kulturowych zaimków „ja”, „mnie”, „moje” i „mój” w porównaniu z zaimkami „my”, „nasze” czy „nas”.

Z roku na rok wzrastać miały także średnie wyniki w testach osobowości narcystycznej wśród Amerykańskich studentów. Ale po poprawkach analiz statystycznych okazało się, że wzrost cech narcystycznych w latach 1982-2015 wśród amerykańskich studentów nie jest aż tak wielki, jak początkowo sądzono.

Tak czy inaczej, nie przekłada się on w sposób prosty na wzrost narcyzmu grupowego. Osoby o cechach narcystycznych traktują świat instrumentalnie, w tym również innych ludzi oraz grupy, do których należą. Pławią się w ich zapożyczonych chwale, dopóki inni oceniają je pozytywnie, ale kiedy ktoś je zaczyna krytykować, dystansują się wobec nich. Narcyzi nie są lojalnymi członkami grup, w przeciwieństwie do osób, które charakteryzuje wysoki narcyzm grupowy.

Dlaczego narcyzm grupowy preferuje populizm?

– Zacznę od przypomnienia definicji. Populizm jest ideologią o tzw. rzadkim rdzeniu, według której społeczeństwo jest podzielone na homogeniczne i antagonistyczne obozy.

Czyli na „lud” i „skorumpowaną elitę”.

– I zgodnie z tą ideologią polityka powinna wyrażać wolę ludu. Populizm przeciwstawia ten „lud” progresywnym elitom, które domagają się uprawnień dla różnych marginalizowanych grup społecznych. Autorzy licznych badań łączą narcyzm narodowy z głosowaniem na populistyczne partie i polityków.

Ci politycy sugerują, że ich wyborcy czują się skrzywdzeni przez emancypację grup tradycyjnie nieuprzywilejowanych. Przekonują ich, że są „szlachetnymi” i „prawdziwymi” reprezentantami narodu, troszczącymi się o przywrócenie jego wielkości.

Przewidywaliście dziewięć lat temu, że prezydentura Trumpa będzie mobilizować amerykański narcyzm grupowy i forsowanie hasła „America First”. Co jeszcze przewidzieliście?

– Już wtedy zapowiadaliśmy wzrost wewnętrznej polaryzacji, wykluczenia społecznego i dyskryminację. Przewidzieliśmy, że retoryka megalomanii narodowej i ustawiania grup nieuprzywilejowanych w roli koźłów ofiarnych pogłębi podziały społeczne. W trakcie poprzedniej prezydentury Trumpa liczba zbrodni, których motywem były uprzedzenia, zwiększyła się, a Department

bec grup, z którymi się identyfikują. Skoro w tej grupie normą jest kwestionowanie dowodów naukowych (np. jako „tylko teorii”), narcyzm grupowy wiąże się z odrzucaniem nauki i demonstrowaniem przekonani, których prawdziwość dementują dowody naukowe, np. że szczepienie dzieci powoduje autyzm lub że antropogenna zmiana klimatyczna jest mitem.

Wyjaśniłam w swojej książce związek między narcyzmem narodowym a populistycznym, nienaukowym podejściem do kryzysu zmian klimatycznych i pandemii COVID-19. Populistyczne rządy i przywódcy na całym świecie w bardzo podobny sposób traktowali i traktują te wyzwania. Nie adresują ich przyczyn, lecz kreują antagonizm między „normalnymi ludźmi” a niejasno zdefiniowanymi „elitami”, do których należą liberalni politycy, naukowcy i specjaliści. Ludzie, którzy decydowali się nie szczepić na koronawirusa, kierowali się ideologicznym posłuszeństwem i grupową lojalnością, a nie rozumieniem przyczyn i mechanizmów pandemii.

Z pani badań wynika, że narodowy narcyzm i poparcie dla konserwatywnego populizmu nie charakteryzuje

To nie indywidualna patologia Putina, ale poglądy i motywacje podzielane przez rzesze ludzi, którzy go popierają, stoją za agresją Rosji na Ukrainę

of Homeland Security uznał terroryzm krajowy motywowany supremacją ideologią za większe zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego niż zewnętrzna agresja.

Badania dowiodły, że w hrabstwach, w których odbywały się wiece wyborcze Trumpa, popełniono więcej zbrodni z niewiści niż w innych. Dopuszczali się ich głównie prawicowi ekstremiści motywowani retoryką populistów.

Na przykład sprawca strzelaniny w Bufalo w 2022 roku, który brał na cel i zabijał osoby ciemnoskóre, w liczącym 180 stron manifestcie zadeklarował oddanie amerykańskiemu ruchowi na rzecz supremacji białych oraz poparcie dla teorii spiskowej „wielkiego zastąpienia”, obwiniającej Żydów oraz „elity” o celowe dążenie do „ludobójstwa rasy białej”. Celem jego ataku miało być sterroryzowanie mniejszości rasowych i zmuszenie ich do opuszczenia kraju.

W naszych badaniach przewidzieliśmy też, że teorie spiskowe staną się znacznie bardziej powszechne w domenie publicznej niż wcześniej.

Dlaczego?

– Teorie spiskowe nie służą do objaśniania rzeczywistości tylko do deklarowania tożsamości społecznej.

Występują przeciwko oficjalnym wyjaśnieniom wydarzeń. Akceptujące je osoby uważają się za buntowników i ludzi lepszych od innych. To, że „lepiej się orientują”, czyni z nich osoby szczególne i niejako heroiczne w swoim nonkonformistycznym sprzeciwie wobec faktów. Wspólna wiedza o tajemnych knowaniach innych daje im poczucie tożsamości społecznej, wyższości oraz złudzenie kontroli nad własnym życiem.

Ich rzekomy nonkonformizm jest sprzeczny z wiedzą naukową.

– Owszem. Wyznawcy teorii spiskowych są ponadprzeciętnie konformistyczni wo-

wyłącznie grup wykluczonych ekonomicznie i społecznie. Wyznają go również osoby o wysokim statusie.

– Badania wskazują, że inspiracją do popierania populizmu nie jest rzeczywiste pogorszenie się warunków ekonomicznych ani obiektywny brak zasobów, ale subiektywna ocena własnej sytuacji ekonomicznej jako zagrożonej lub pogarszającej się w stosunku do „reszty społeczeństwa” lub określonych innych grup społecznych. Poparcie dla prawicowego populizmu wiąże się z lękiem utraty statusu społecznego, czyli z obawą przed utratą dotychczasowej relatywnie komfortowej pozycji w hierarchii społecznej.

Moim zdaniem narcyzm grupowy jest motywowany przede wszystkim przez potrzebę statusu i bycia uznawanym za lepszego czy lepszą od innych. Wyrażanie tej potrzeby „w imieniu grupy” jest bardziej akceptowane społecznie niż jej wyrażenie indywidualne.

Badania nad narcyzmem grupowym sugerują więc, że ultrakonserwatywny populizm wbrew jawnym deklaracjom wcale nie wyraża pragnienia zatroszczenia się o wykluczany „lud”, tylko o umocnienie i zwiększenie tradycyjnych przywilejów, na których członkowie grup uprzywilejowanych opierają zaspokojenie swojej potrzeby wyższości i statusu.

Badala pani m.in. zależność między narcyzmem grupowym a patriotyzmem.

– Najczęściej patriotyzm definiuje się jako miłość do narodu i przekonanie, że naród i przynależność narodowa stanowią cenne wartości i są powodem do dumy. Na drugim biegunie jest tak zwany pseudopatriotyzm, który według Adorno jest „ślepy” przywiązaniem do pewnych narodowych wartości kulturowych, bezkrytycznym przestrzeganiem dominujących w grupie zwyczajów i odrzucaniem innych narodów jako grup obcych”. Inni teoretycy i badacze roz-

bili pseudopatriotyzm na dwa oddzielne pojęcia: patriotyzm ślepy, czyli bezkrytyczne idealizowanie narodu, i narodowy szowinizm lub nacjonalizm.

To, czym się różnią, wydaje się oczywiste. Patriotyzm ślepy jest miłością bezkrytyczną.

– Czyli nie jest żadną miłością. W przeciwieństwie do „patriotyzmu konstruktywnego” chroni wyidealizowany wizerunek narodowej grupy własnej, bo służy on nam, a nie narodowi. Patriotyzm konstruktywny dopuszcza krytykę, zakładając, że może ona doprowadzić do pozytywnej zmiany i rozwoju.

Obydwie postawy łączą identyfikacja z tą samą grupą narodową, ale nic więcej. Patriotyzm ślepy wiąże się z bezwarunkową lojalnością wobec grupy własnej, złaniem się w jedno tożsamości osobistej i narodowej, inwestycją emocjonalną w symbole narodowe, militarystyczną postawą w polityce międzynarodowej, sprzeciwem wobec imigracji i przesadną wrażliwością na punkcie zagrożenia w relacjach międzygrupowych. Ten rodzaj patriotyzmu koreluje pozytywnie z narodowym narcyzmem grupowym.

Ale w odróżnieniu od patriotów ślepych osoby przejawiające narodowy narcyzm grupowy uważają wielkość narodu za stale kwestionowaną przez niewystarczające uznanie ze strony innych. O ile patriotyzm ślepy wiąże się z niewrażliwością na krytykę grupy własnej i z unikaniem takiej krytyki, o tyle narcyzm grupowy wiąże się z nadwrażliwością na krytykę w stosunku do grupy własnej i agresywną reakcją na taką krytykę.

Czy patriota ślepy musi być narcyzmem grupowym? Nie musi. Ale może i prawdopodobieństwo, że będzie, jest większe niż przypadek.

Przypominają mi się badania w Polsce dotyczące książki o tuszowaniu pedofilii przez Jana Pawła II.

– No tak. Myślę, że ta książka aktywowała osoby o wysokim poziomie narcyzmu narodowego. Takie osoby mają skłonność do mniej lub bardziej agresywnego odrzucania niepożądanych faktów z historii ich kraju, które mogłyby zaszkodzić poczuciu wyższości grupowej takich, jak antysemityzm w Polsce w trakcie i po II wojnie światowej, które mogą negatywnie zabarwić wizerunek grupy.

Mają też skłonność do tendencyjnej interpretacji faktów. W 2023 r., po wydaniu książki Ekke Overbeeka „Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział” o roli papieża Polaka w ukrywaniu molestowania seksualnego i pedofilii w Kościele katolickim, zapytaliśmy badanych, czy sądzą, że może być ona lewicowym i rosyjskim spiskiem wymierzonym w Polskę. Odpowiedź pozytywna korelowała z wysokim poziomem polskiego narcyzmu grupowego.

Zastanawiam się, w jaki sposób koreluje z nim nacjonalizm.

– Tu przywołam wyniki badań, jakie zrobiliśmy w Polsce z Chrisem Federico i Tomkiem Baranem z Ariadna Research Panel. Pokazaliśmy, że nacjonalizm, czyli postawa międzynarodowej przemocowej buty, arogancji i przekonanie, że inni mają nas słuchać, kiedy decydujemy o tym, kto był winny wybuchu wojny, a kto nie był, z kim będziemy rozmawiać, a kogo wyprosimy, nie jest zbudowana na patriotyzmie, lecz na narcyzmie grupowym.

Patriotyzm jest remedium na nacjonalizm. Zacieranie różnicy między patriotyzmem zorientowanym na dobro wspólnoty narodowej a agresywnym nacjonalizmem jest niebezpiecznym zabiegiem politycznym. Jak wiemy, patrioci czują się zobowiązani walczyć w agresywnych wojnach wywołanych przez nacjonalistów.

Uważam, że propagowanie narcyzmu narodowego jest zabiegiem politycznym, służy zmobilizowaniu wyborców, którzy ostatecznie ucierpią w wyniku polityki tych liderów, na których zagłosowali.

W imię nacyzmu grupowego ludzie godzą się na własne straty?

– Tak, bo ważniejsza jest dla nich propozycja związana z nacyzmem grupowym wizja świata i zainwestowanie potrzeby uznania w identyfikację z grupą narodową. Okazało się, że Afroamerykanie wierzący w amerykański nacyzm grupowy uważają, że Afroamerykanie mają wygórowane oczekiwania odnośnie do równości z białymi. Podobnie Latynosi, którzy przecież głosowali na Trumpa, nie popierają rozwiązań niwelujących różnice między różnymi grupami etnicznymi, lecz popierają politykę antyimigracyjną godzącą w ich własną grupę etniczną.

Dlaczego tak się dzieje?

– Dlatego, że ich potrzeba uznania za lepszych niż inni jest zainwestowana w grupę narodową, a nie rasową czy etniczną.

Nacyzm narodowy wiąże się z popieraniem antydemokratycznych przywódców, którzy wykorzystują agresję i przymus do skonsolidowania władzy, nawet jeśli jest to w oczywisty sposób niesprawiedliwe. Na przykład w 40 krajach narodowy nacyzm grupowy korelował z poparciem dla gospodarczych związków z Rosją rządzoną przez Władimira Putina po rosyjskiej aneksji Krymu w 2014 r.

Zatem sceny, które oglądaliśmy w Gabinetce Owalnym, oczekiwanie przez Trumpa i Vance'a wdzięczności od Zelenskigo dla narodu amerykańskiego i późniejsze opowiesci o nieokazaniu przez niego szacunku, są ilustracją narodowego nacyzmu i nacjonalizmu?

– Nacyzmu grupowego na pewno. Domaganie się czolobitności, podziękowań, uznania wyższego statusu i hierarchii narzuconej przez silniejszego – wszystko to są jak najbardziej narcystyczne zabiegi. Kiedy natomiast odbywa się to w sytuacji międzygrupowej, takiej jak spotkanie liderów państw, jest to domaganie się uniżonej postawy wobec grupy własnej, domaganie się uznania, że jest ona lepsza. To przedstawienie oczywiście adresowane jest do osób o wysokim poziomie nacyzmu grupowego i do takich też przemawia. Taki właśnie poniżający innych, nachalnie demonstrujący siłę lider im odpowiada i imponuje.

Czy moja wściekłość, kiedy słuchałam Vance'a besztającego Europę, ma źródło w eurocentrycznym nacyzmie?

– Myślę, że odrobina nacyzmu grupowego jest czasem adaptacyjna. Jako kobieta, imigrantka i osoba niepełnosprawna mam duży szacunek dla wściekłości, którą opisujesz. Złość jest moim zdaniem czasem właściwą reakcją na butną arogancję tych, którzy nie zauważają swoich przywilejów albo całkiem świadomie z nich korzystają, aby poniżyć i wykorzystać innych.

Ufam takiemu uczuciu złości, bo jest przeciwne bezsilności i może być zaprzęgnięte do zmiany społecznej na lepsze.

Vance potraktował Europejczyków jako wrogów demokracji i wolności słowa, a przecież z pani badań wynika, że to narodowy nacyzm grupowy jest w opozycji do demokracji.

– Nacyzm narodowy wiąże się z przekonaniem, że w narodzie są grupy, którym uznanie należy się bardziej niż innym, oraz takie, które powinny znać swoje miejsce i pokornie w imię patriotyzmu i wielkości narodu akceptować istniejący porządek.

To rzeczywistość jest irytująca, gdy ktoś ma zapewnioną platformę do wygłaszania takich głupot. Rozumiem pani uczucie, bo znam je i ja, i inne kobiety z sytuacji, kiedy mężczyźni wygłaszają poglądy sprzeczne z logiką i lekceważące fakty. Albo kiedy osoba pełnosprawna oczekuje ode mnie takiego samego działania, do jakiego sama jest zdolna.

Przywołała pani Trumpa powtarzającego, że Ukraina jest winna wojny z Rosją i stanowi zagrożenie dla światowego

pokoju. Przecież on musi wiedzieć, że kłamie.

– Myślę, że ludzie w ogóle mają nieograniczoną zdolność do samooszukiwania, szczególnie kiedy towarzyszą im w tym inni, którzy samooszukują się podobnie. Ja bym się skłaniała ku przekonaniu, że Trump jest cynicznym nihilistą oszukującym i wykorzystującym innych.

Ale ja się nad samym Trumpem za bardzo nie zastanawiam. Mnie interesuje wizja świata, którą Trump jako polityk ogniskuje, kanalizuje i napędza. Jeśli jego zwolennicy wierzą, że Ziemia jest płaska, to w sumie mogą też wierzyć, że to Ukraina jest problemem Rosji. Obwinianie ofiary jest bardzo powszechnym mechanizmem, który pozwala ludziom radzić sobie z doświadczaniem i obserwowaniem przemocy, bo przeemoc nawet tylko obserwowana nas boli.

Jak to możliwe?

– Jako istotom ultraspołecznym dokuczają nam nie tylko nasze własne cierpienie, ale także cierpienie innych ludzi. Ale możemy ten mechanizm wyłączyć, na przykład poszukując w ofiarach źródła spotykającej je przemocy.

Wyniki badań przeprowadzonych we Francji i w Stanach Zjednoczonych po rosyjskiej inwazji na Ukrainę wskazały, że narodowy nacyzm grupowy w obu krajach wiązał się z moralnym usprawiedliwianiem najazdu i wyjaśnieniem, że rosyjską inwazję spowodowała Ukraina oraz jej starania o przystąpienie do NATO.

Pół roku po inwazji, w październiku 2022 r., zrobiliśmy również badania w Polsce. Polski nacyzm grupowy stanowił główną przesłankę przerzucenia winy za wojnę na Ukrainę.

Z badań wynika również, że dla osób popierających nacyzm grupowy nie ma specjalnego znaczenia ideologia czy preferencje polityczne, tylko bezwzględne przywództwo.

Wyniki pani badań są zbieżne z opiniami politologów, którzy zapowiadają w najbliższych dekadach wzrost autorytaryzmu.

– Tak, zaczniemy jednak od zdefiniowania autorytaryzmu. Jest to posłuszeństwo wobec autorytarnego sprawowania władzy, jednostronne, skupione w rękę silnego przywódcy, niedemokratycznego. Nacyzm grupowy wiąże się z preferowaniem tego rodzaju władzy.

Autorytaryzm może być też lewicowy.

– Tak. I podobnie jak autorytaryzm prawicowy, autorytaryzm lewicowy nie dopuszcza do krytyki grupy własnej i wprowadza autorytarną cenzurę i agresję wobec dysydentów od opinii, przekonani i zachowań oczekiwanych przez progresywną grupę. Autorytaryzm lewicowy cechuje antyhierarchiczna agresja, czyli wrogość wobec istniejących hierarchii społecznych, i preferencja do rozprawienia się z nimi za pomocą przemocy. Nacyzm narodowy wiąże się pozytywnie z autorytaryzmem lewicowym, tak samo silnie, jak z prawicowym.

Zatem nacyzm narodowy nie jest tylko specjalnością konserwatystów. Wiaże się ogólnie z agresywnością międzygrupową i wewnątrzgrupowym konformizmem. Proszę zauważyć, że ultraprawicowe ruchy są radykalne, bo dążą do radykalnej zmiany społecznej. Tyle że ta zmiana jest konserwatywna. Paradoks, prawda?

Nacyzm grupowy prowadzi do agresji. Butna retoryka Trumpa w sprawach choćby Grenlandii może się skończyć wojną?

– Tego typu retoryka niejednokrotnie kończyła się wojną, była przygotowaniem do niej. W tej chwili wymachiwanie przez Trumpa szabelką czy straszenie naciśnięciem guzika odpalającego broń nuklearną służy budowaniu kapitału politycznego, ale szala może się niespodziewanie przechylić, kiedy zmobilizowanych negatywnych emocji nie będzie się dało już powstrzymać.

Czy to naprawdę panią niepokoi, czy tylko prowadzimy teoretyczne rozważania?

– Niepokoi mnie to od dłuższego czasu. Ostatnio szczególnie, szczerze mówiąc, nie chcę nawet czytać wiadomości. Staram się funkcjonować w tej chwili na poziomie indywidualnego tu i teraz, bo za to mogę wziąć odpowiedzialność. I przygotowuję sobie strategię przetrwania, by zminimalizować wpływ strachu na moje życie.

Według teorii społecznej, którą w uproszczeniu nazwijmy teorią wahadła, jeśli następuje wahnięcie w prawo, to należy spodziewać się większego wahnięcia w lewo. Czy nie jesteśmy właśnie świadkami zmiany wychylenia?

– Po pierwsze, nie przypominam sobie, żeby w poprzednim wahnięciu albo i wcześniej jakoś radykalnie proklamowano równość i troskę o innych czy o planetę, co mogłoby sugerować jednak długotrwały i silny odchyl w prawo. Ten odchyl jest tak duży, że nie jestem pewna, czy wahadło wróci przynajmniej do centrum. I czy czasem ten cały mechanizm nie został już uszkodzony.

■ Patrioci czują się zobowiązani walczyć w agresywnych wojnach wywołanych przez nacjonalistów

Erich Fromm nazwał nacyzm grupowy patologią naszych czasów. Pisał, że „jego korzenie tkwią w niemożności zapewnienia przez współczesne społeczeństwo danej osobie poczucia przynależności oraz celu. Wobec tego grupa staje się dla tej osoby substytutem jej poczucia tożsamości, a dana osoba identyfikuje się z daną grupą aż do granicy irracjonalności”. Możliwe, że to wyjaśnienie tłumaczy zjawisko baniek, w których zwykliśmy żyć. Pytanie tylko, czy każda bania jest skażona nacyzmem grupowym.

– Potrzeba przynależności i budowania wspólnoty jest jedną z głównych potrzeb psychologicznych, podobnie jak potrzeba uznania indywidualnego wkładu i osiągnięć. Potrzeba uznania nie jest koniecznie narcystyczna. Narcystyczne jest domaganie się od innych, żeby na każdym kroku składali hołdy naszej wyższości.

Jesteśmy stworzonymi ultraspołecznymi i pragniemy budować społeczności, a także ich bronić przed wyzyskiem i opresją ze strony innych. Dlatego szczypta nacyzmu grupowego może być ważna dla obrony statusu grupy, ale usztywnianie się w nadmiarze nacyzmu grupowego nie jest dobre ani dla grupy własnej, ani dla grup obcych.

Czy skłonność do preferowania nacyzmu grupowego jest stała?

– Każdy z nas ma w sobie w różnych proporcjach dwie potencje, które mają znaczenie dla naszych zachowań międzygrupowych. To konstruktywna potrzeba tworzenia wartościowej społeczności i nacyzm grupowy. I tak jak w opowieści o tym, że mamy w sobie dwa wilki – jednego, który kocha, i drugiego, który nienawidzi – przeżywa w nas ten, którego najczęściej karmimy. Współczucie na przykład nie karmi nacyzmu grupowego, tylko potrzebę bycia z innymi ludźmi. I kiedy współpracujemy z grupą, aktywuje to naszą nienarcystyczną grupowość i zwiększa potencjał zachowań nienarcystycznych. Długotrwałe utrzymywanie się w tym stanie może w końcu obniżyć indywidualną predyspozycję do odczuwania nacyzmu grupowego.

Tylko jak nauczyć ludzi współczuć?

– Ludzie umieją współczuć z natury. Ale potrafią także współczucie wyłączać, na przykład nie obejmując nim osób z grupy definiowanej jako obca.

W perspektywie teorii tożsamości społecznej funkcjonuje pojęcie poziomów samokategoryzacji, która odnosi się do tego, jak funkcjonujemy wtedy, kiedy myślimy o sobie jako o jednostkach, w porównaniu z tym, kiedy myślimy o sobie jako o członkach grup. Możemy też myśleć o sobie jako o osobach ludzkich. Kiedy myślisz o całej ludzkiej wspólnotie przypadkowości i nieznacności we wszechświecie, to pojawia się w tobie również współczucie, a wtedy agresja międzygrupowa wydaje się mała. I taka perspektywa rzeczywiście pomaga wyłączyć tendencje narcystyczne.

Może je również wyłączyć trening uważności?

– Taki trening niekoniecznie obniża poziom nacyzmu grupowego, ale redukuje jego związek z uprzedzeniami, blokuje jego wyrażanie się przez niechęć międzygrupową.

Przeprowadziłam badania eksperymentalne, które oparłam na założeniu, że motorem silnej korelacji między narodowym nacyzmem grupowym a uprzedzeniami może być, przynajmniej częściowo, obecna u nacyzmów grupowych generalna nieumiejętność wygaszania negatywnych emocji.

Przez sześć tygodni osoby badane w jednej grupie brały codziennie udział w dziesięciominutowym treningu uważności. Druga grupa nie brała udziału w treningu. Osoby były dobrane do grup losowo. Na początku badania zmierzylśmy ich poziom nacyzmu narodowego i uprzedzeń. Praktyka medytacyjna polegała na skupianiu nieosądzającej uwagi na aktualnych przeżyciach, szczególnie tych, za które badani mogli odczuwać wdzięczność.

Okazało się, że w grupie, w której badani praktykowali uważną wdzięczność, wygasła korelacja między polskim nacyzmem grupowym a uprzedzeniami wobec kobiet, imigrantów oraz mniejszości etnicznych i seksualnych.

Trening zwiększył u uczestników uważność i wdzięczność oraz obniżył poziom codziennego stresu. Podczas gdy nacyzm grupowy mimo upływu czasu utrzymywał się na tym samym poziomie, trening zredukował wszystkie formy uprzedzeń. Co więcej, zmniejszenie się uprzedzeń najsilniej zaznaczyło się u osób z najwyższym poziomem polskiego nacyzmu grupowego, czyli tych najbardziej uprzedzonych.

Czy ten poziom uprzedzeń zmniejsza się na zawsze?

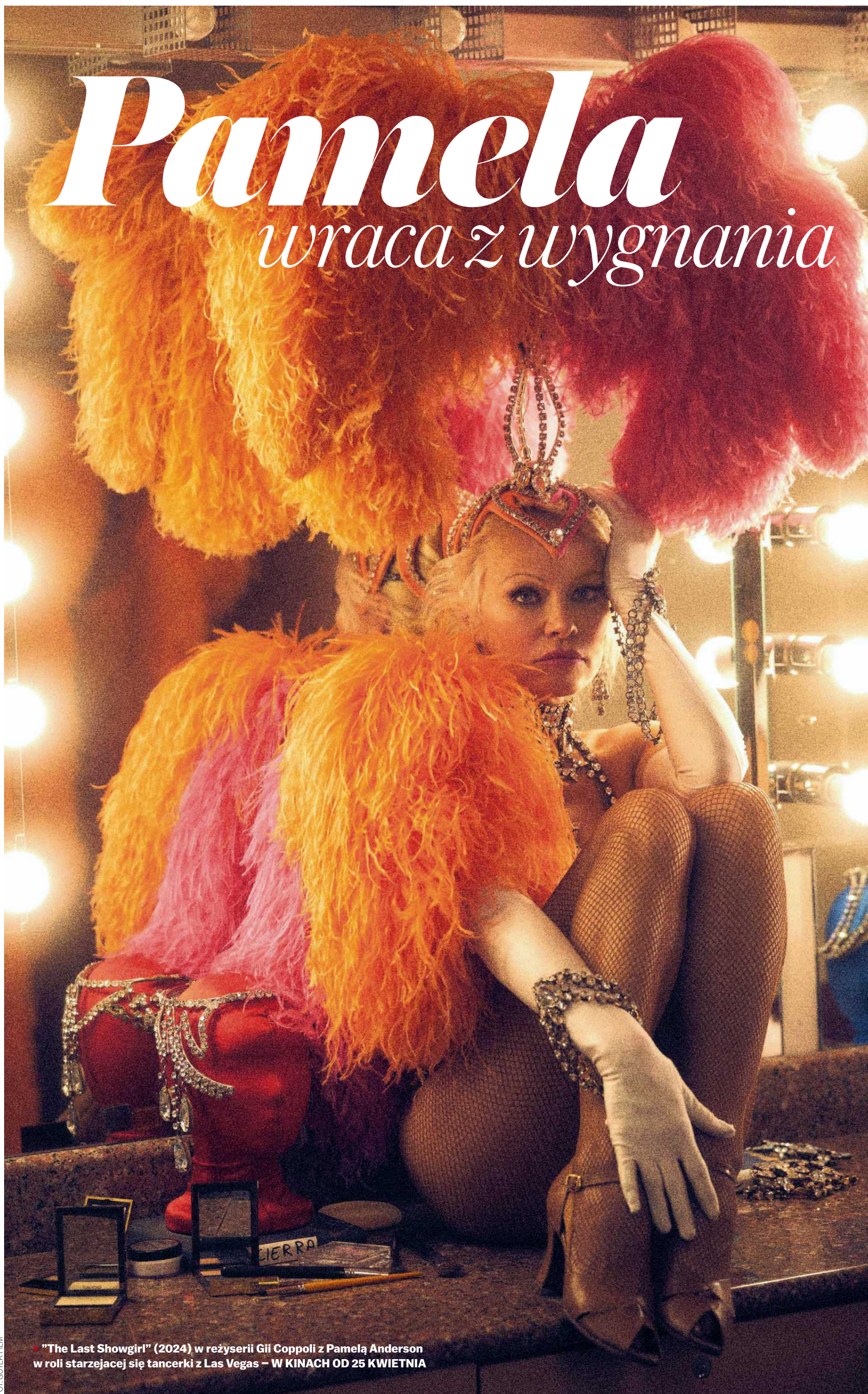
– Tego nie wiemy, ale takimi badaniami chciałabym się zająć. Badanie tego, jak przebiega zmiana poglądów, i kiedy dotyczy nie tylko jednostek, ale całych grup społecznych, jest trudne i wymaga zainwestowania czasu i różnych zasobów. Przy obecnym stanie akademii jako instytucji społecznej oraz wzrastającego wrogości nastawienia wobec nauki robienie takich badań jest szczególnie trudne. No ale to jest właśnie moja strategia na przetrwanie pomimo strachu. ●



Agnieszka Golec de Zavala

• psycholożka polityczna, pracuje na Wydziale Psychologii w Goldsmiths, University of London. Bada m.in. konserwatyzm polityczny, tożsamość społeczną, nacyzm grupowy i uważność. Stypendystka Fulbright Scholarship i Marie Skłodowska-Curie Fellow. Angażuje się w wykorzystywanie psychologii do rozwiązywania problemów społecznych, takich jak nierówność i uprzedzenia. Jej książka „**Nacyzm grupowy**” ukazała się w wydawnictwie Smak Słowa





Pamela

wraca z wygnania

• "The Last Showgirl" (2024) w reżyserii Gii Coppoli z Pamelą Anderson
w roli starzejącej się tancerki z Las Vegas – W KINACH OD 25 KWIETNIA

FOT. GUTKIN FILM

„Mam 57 lat, jestem piękna, ty sukinsynu!”. Karierę zbudowała na silikonie, teraz okazała się jednak świetną aktorką.

Marta Górna

Ja też uległam zbiorowemu złudzeniu. Przez wiele lat byłam przekonana, że Pamela Anderson to żadna aktorka, co najwyżej fenomen ery niezgrabnych seriali, symbol seksu silikonowych lat 90., personifikacja niezbyt rozgarniętej blondynki z dowcipu. No i bohaterka tej nieszczęsnej sekstaśmy, która rozeszła się w niemal milionie nielegalnych kopii. Na swoją obronę mam tylko to, że ona sama przez lata nie wyprowadzała nikogo z błędu. Z prężenia się na rozkładówkach magazynów dla panów zrobiła profesję. Na ekranie jej obecność była czysto dekoracyjna. W serialu „Słoneczny patrol” jej czerwony kostium miał więcej do zagrania niż ona, a w osławionej „Żylecte” trudno się było skupić na kwestiach: skórzany, wycięty na piersiach kombinezon trzymał się tylko na słowo honoru. Jednak w ubiegłym roku Pamela Anderson zagrała rolę, jakiej w Hollywood nie proponuje się beztalenciom. Kobieta przed sześćdziesiątką, która sama o sobie mówi, że „była dodatkiem do cycków, które robiły karierę”, stworzyła kreację aktorską – mięsistą i prawdziwą.

Niechciany come back

W „The Last Showgirl” Gii Coppoli, wnuczki Francisca, gra, jakby chciała widzom pokazać całą siebie, sprawić, by po wyjściu z kina jeszcze długo otrzepywali z siebie cekinowy pył z rewii.

Nie chodzi o obnażanie ciała, ciało Anderson w latach 90. widzieli wszyscy. Chodzi o obnażenie swojego lęku przed przemijaniem, desperackiego pragnienia akceptacji.

Anderson gra Shelly, starzejącą się tancerkę z Vegas, gasnącą gwiazdę pośledniego show. Od trzech dekad oszukuje się, że płasanie w połyskliwym body to sztuka. Za kulisami wciąż odgrywa diwę, choć musi walczyć z młodszymi koleżankami o oświetlone miejsce na scenie, ale coraz częściej jest spychana na tyły. Kiedy przedsatwieniu grozi zdjęcie z afisza Shelly robi rachunek sumienia. Niczego nie żałuje, za nic nie przeprasza.

Anderson gra tu trochę siebie: taką jak w wydanej niedawno autobiografii „Love. Pamela” i w dokumencie Netfliksa „Pamela: historia miłosna” (2023).

To właśnie ten dokument zobaczyła Gia Coppola i postanowiła właśnie Anderson powierzyć rolę Shelly.

Jest w tym filmie wiele poruszających scen, ale szczególnie w jednej Anderson jest wstrząsająca. Kiedy jej stremowana bohaterka idzie na pierwsze od lat przesłuchanie i w trakcie występu orientuje się, że nie dostanie roli. Pęka. Zblazowanemu producentowi mówi: – Mam 57 lat, jestem piękna, ty sukinsynu!

Wybitna rola nie wystarczyła jednak, by Hollywood przyjęło ją jak swoją. Te same media, które zachwycaly się występem Demi Moore w „Substancji”, również filmie o starzejącej się gwiazdce fitnessu i o tym, jak młodość wypiera wiek, teraz o kreacji Anderson pisały raczej oszczędnie albo wcale.

Na pocieszenie dostała nominację do Złotego Globu.

Świetna rola dla Pameli? Do kosza!

Dziś Pamela Anderson jest nie tylko ikoną seksu lat 90. i znakiem czasów, w których platynowy blond i cienkie brwi były synonimem kobiecego piękna. Jest też symbolem wszystkiego, od czego show-biznes się teraz odcina: uprzedmiotowienia kobiet, szufladkowania i wyciągania pochopnych wniosków.

W wywiadach przez lata zwykle pytano ją o to, czy jej piersi są prawdziwe. Anderson wciśnięta w ciasne kiecki z olbrzymi dekolcami sprawiała, że na twarzy pąsowieli najwięksi telewizyjni wyjadacze jak Conan O'Brien czy David Letterman.

Jaki Anderson ma wpływ na publikę, widziałam zresztą na własne oczy, kiedy osiem lat temu przyjechała do Warszawy miesiąc przed Bożym Narodzeniem na konwent fanów seriali. Fotoreporterzy niemal się taranowali w poszukiwaniu dobrego ujęcia,

• **Seks-bomba i niegrzeczny chłtopiec. Trudny i barwny związek. Z mężem Tommy'm Lee, perkusistą metalowego zespołu Mötley Crüe, pobrali się po czterech dniach znajomości w 1995 r. Rozwiedli się w 1998 r. Mają dwóch synów.**



Pamela i Tommy Lee sekstaśmę schowali w domowym sejfie. O tym, że zniknęła, dowiedzieli się po kilku miesiącach... z telewizji

wolali zdezorientowaną gwiazdę w nadziei, że spojrzysz w obiektyw ich aparatu.

A niewiele brakowało, by Anderson roli w „The Last Showgirl” nie zagrała. Agent gwiazdy, któremu Coppola wysłała scenariusz, odmówił. – Wyrzucił scenariusz do kosza, nigdy nawet do mnie nie zadzwonił – powiedziała Anderson magazynowi „Variety”. – To nie był agent, tylko ktoś, kto myślał wyłącznie o forsie.

Coppola się nie poddała. Przez wspólnego znajomego przekazała scenariusz synowi gwiazdy, Brandonowi. – Przeczytałam go i pomyślałam: To jest to, to moja szansa, żeby przełać całe życiowe doświadczenie w coś wartościowego. Podzielić się nim z kobietą, która jest świetnie napisana, dokończona, pełna wad i skomplikowana. Ta historia zaparła mi dech w piersiach, nie znalazłam wcześniej tego uczucia – mówi Anderson amerykańskim mediom.

Wszyscy kochają underdoga

Nic dziwnego. Role, które Anderson ma na koncie, zwłaszcza te z lat 90. uczciwiej nazwać pokazowymi. W „Słonecznym patrolu” była kochliwą ratowniczką, utożsamianą z bieganiem w slow motion (zwolnionym tempie), w „Języku smoka” – pięknością w kimonie podejrzaną o morderstwo, w „Dobrym i złym glinie” – dziewczyną na telefon, która sypia z dwoma gliniarzami, a w „Nagich duszach” jej bohaterka ma wyjątkowego pecha, bo ukochany zamienia się na ciała z podstarzałym naukowcem.

No i jest jeszcze powstała na podstawie komiksu „Żyleta”, wyjątkowe widowisko klasy B, inspirowana „Casablancą” postapokaliptyczna jazda bez trzymanki, w której Anderson stroi groźne miny, a swoje kwestie wygłasza jakby z przepony ciasno ściśniętej skórzanym gorsetem.

Film został zmiażdżony przez krytykę. Dziś „Żyleta” to znak epoki, film, który ogląda się z perwersyjną przyjemnością. Jest jak wehikuł czasu, który przenosi widza do ery, w której Anderson była największą gwiazdą.

Podobnie ogląda się dziś głupawy, współproduktowany przez telewizję Polsat serial „V.I.P.”, w którym Anderson dostała główną rolę, tj. szefowej agencji ochroniarskiej dla gwiazd. Też nie pomógł jej w zmianie image'u, choć z pewnością pozwolił nieźle zarobić. Emitowany był przez cztery sezony.

Dla wielkich hollywoodzkich wytwórni postawienie po latach na Anderson było ryzykowne. Nieudane comebacki to w fabryce snów nic niezwykłego. Nie udało się wrócić czołowej femme fatale lat 90. Sharon Stone. Nie udało się to ukochanej dziewczynie z sąsiedztwa tamtej dekady – Meg Ryan; wystąpiła niedawno w komedii romantycznej, która nikogo specjalnie nie obeszła.

Dlaczego więc miałoby się powieść Anderson? Jendak Coppola swoim kameralnym filmem nie tylko przywróciła ją ludowi, ale też udowodniła hollywoodzkim grubym rybom, że mylili się w sprawie blond zjawiska lat 90. Oto wystarczy prosta, ale mocna historia, by zapomniana gwiazda wróciła z emerytury. Klasyczna opowieść o underdogu: zawodnikowi, na którego nikt nie postawi, a on wbrew zdrowemu rozsądkowi i tak wygrywa.

Niepewna siebie seksbomba

Underdogiem Anderson była zresztą od dzieciństwa. Urodziła się w 1967 roku w kanadyjskim miasteczku Ladysmith i tam spędziła dzieciństwo.

O ojcu mówiła w dokumencie Netfliksa: „Oszust, hazardzista, kominiarz i alkoholik”. O matce, że pracowała jako kelnerka. Rodzice wciąż się kłócili, rozstawali i schodzili. – Kiedy się żarli, zabierałam młodszego brata i wychodziliśmy z domu – opowiada Anderson. – Próbowaliśmy na zewnątrz przetrwać burzę. Wracaliśmy, kiedy znów zaczęli się całować.

W latach 90. sama stworzyła podobną relację. Niewiele mówi i rzadko wspomina o gwałcie i molestowaniu, jakich doświadczyła. Najpierw molestowała ją opiekunka, a w liceum zbiorowo zgwałcił ówczesny chłopak z kolegami.

Po liceum przeprowadziła się z Ladysmith do Vancouver i tam pracowała jako instruktorka fitnessu. Był rok 1989, a Anderson miała 22 lata i swój naturalny brązowy kolor włosów. Z koleżankami poszła kibicować futbolowej drużynie BC Lions ubrana w koszulkę z logo piwa Blue Zone. Tam telewizyjne kamery wyluskały ją z tłumy, a Anderson wylądowała na stadionowych telebimach. Potem na plakatach Blue Zone, bo browar namaścił ją na swoją ambasadorkę.

Zdjęcie uśmiechniętej Anderson z odkrytym brzuchem i tapirem na gwiazdę glam rocka, obie-

gło Kanadę, a potem Stany Zjednoczone. Wpadło w oko szefom „Playboya”, którzy szukali właśnie dziewczyny na październikową okładkę. Kiedy zadzwonili, Anderson nie potraktowała ich poważnie. Nie mogła uwierzyć, że ktokolwiek chce, by pozowała nago.

Miłość od pierwszego wejrzenia

W Los Angeles spece od wizażu przefarbowali jej włosy na platynowy blond. Pierwszą okładkę „Playboya” zaliczyła w 1989 r., łącznie miała ich 13. Ostatnią w roku 2016 i jako ostatnia modelka w historii pisma pozowała na niej nago (w 2016 r. wydawcy zdecydowali o wycofaniu nagości z pisma, w 2018 r. magazyn przestał się ukazywać w wersji papierowej).

Na swojej pierwszej okładce ubrana jest w szkolny mundurek rozchelstany na piersiach, ma rozwianą grzywkę i w dłoniach ściska słomkowy kapelusz, którym zakrywa łono. Z takim startem trudno przekonać innych, że chce się zostać aktorką. Dlatego Anderson najpierw była gwiazdą.

Po „Słonecznym patrolu” stała się jedną z najbardziej rozpoznawalnych kobiet na świecie, a prasa bardziej niż jej kolejnymi rolami interesowała się jej życiem prywatnym. To z kolei było tak niewiarygodne, że stało się fabułą nominowanego do czterech Złotych Globów serialu „Pam i Tommy” z Lily James jako Pamelą Anderson i Sebastianem Stanem jako jej ukochanym Tommym Lee.

Anderson serial się nie spodobał, jego twórców nazwała „dupkami”, po premierze postanowiła odbić narrację o sobie i wydała wspomnienia, wzięła udział w nagraniu dokumentu dla Netflixa. – Moje życie to znacznie więcej niż puszysty różowy kapelusz czy sekstaśma – mówiła w 2023 r.

Kapelusz zelektryzował media w 1999 r. Anderson miała go w czasie rozdania nagród MTV.

Sekstaśma to inna historia.

31 grudnia 1994 r. na parkiecie hollywoodzkiego klubu Sanctuary Anderson wpadła na Tommy’ego Lee, perkusistę hardrockowego zespołu Mötley Crüe. Lee powie później, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia (plotkarski serwis E! Online przypomni mu, że był wówczas pod wpływem MDMA). Po czterech dniach wzięli ślub na plaży w Meksyku: ona w białym bikini, on w szortach do pływania. Druhną Anderson była dziewczyna, którą poprzedniego dnia poznali w klubie. Po wszystkim Anderson spytała męża, „jak się teraz nazywają”.

Na planie „Żyłety” Anderson dowiaduje się, że jest w ciąży. Pracuje po 18 godzin dziennie, gdziekolwiek pójdzie, śledzą ją paparazzi. Traci dziecko.

Kilka miesięcy po poronieniu Anderson i Lee nagrali swój seks. Taśmę schowali w sejfie. O tym, że zniknęła, dowiedzieli się po kilku miesiącach, z telewizji.

Ukradł je pracujący przy renowacji ich domu elektryk i spec od systemów zabezpieczeń Rand Gauthier, niespełniony aktor. Czuł się pokrzywdzony, bo Tommy Lee, po pierwsze, nie wypłacił mu pensji, po drugie – nie oddał narzędzi. Gauthier uknuł więc plan z rozmachem godnym hrabiego Monte Christo.

Miesiącami obserwował dom państwa Lee. Żeby oszukać monitoring,



przebrał się za psa, narzucając na siebie skórę. W sejfie znalazł kasety, pojechał z nią do studia filmowego, w którym kiedyś pracował. Tam wraz z jego szefem obejrzel nagranie, a kiedy dobiegło końca, obaj ze szczęścia upili się do nieprzytomności. Żadna firma nie chciała jednak podjąć się dystrybucji filmu bez zgody Anderson i Tommy’ego Lee. Gauthier udostępnił ją więc pokątnie w sieci.

W netfliksowej „Historii miłosnej” Anderson wspomina, jak wielkim szokiem i upokorzeniem był dla niej wyciek kasety do mediów, a ostatecznie także do raczkującego w drugiej połowie lat 90. internetu. Media omawiały szczegółowo wygląd jej waginy, preferencje seksualne. Nic dziwnego, że serial z Lily James, który przedstawia tę historię z komediowym zacięciem, nie przypadł jej do gustu. O jego twórcach mówiła wkurzona, że „posypują solą” jej rany.

Ale sama, kiedy nagranie zaczęli już oglądać wszyscy, sprzedała prawa do taśmy jednemu z ser-

• **Bez makijażu. Od jakiegoś czasu tylko tak pokazuje się publicznie. Pierwszy raz zrobiła to w październiku 2023 r. na paryskim Fashion Weeku. Wzbudziła zachwyt i gratulowano jej odwagi, bo kojarzy się z karierą opartą głównie na wyglądzie. O Pameli znowu zaczęło się mówić.**

wisów pornograficznych. Magazyn „Rolling Stone” szacował dekadę temu, że przyniosła dystrybutorowi 77 mln dol.

W 2005 r. Anderson nagrała kolejne wideo, na którym uprawia seks. Tym razem z Bretem Michalsem, wokalistą Poison.

Z Tommym Lee rozstała się w drugiej połowie lat 90. Potem kilka razy do siebie wracali i znowu się rozchodzili.

Ona nieśmiało próbowała zmienić wizerunek, m.in. angażując się w działalność organizacji na rzecz obrony praw zwierząt PETA. Zapozowała dla niej w negliżu.

Pamela sauté

W 2023 r. Anderson występuje na Broadwayu jako Roxie Hart, morderczyni w musicalu „Chicago”.

Recenzje zbiera świetne, ale media interesuje znów tylko jej wygląd. Anderson pokazuje się publicznie, ale bez makijażu. Naturalna, błada i piękna wywołuje niepokój w redakcjach magazynów modowych: te czują potrzebę tłumaczenia fenomenu kobiety w średnim wieku, która postanawia się nie malować.

Po raz pierwszy w takim wydaniu Anderson wystąpiła dwa lata temu, podczas modowej imprezy Paris Fashion Week.

Francuskiemu wydaniu „Vogue’a” mówi, że chce wybrać, jak będzie przedstawiana. Dodaje, że standardy piękna wciąż są nierealistyczne, a ona chce się przeciwko nim buntować.

Rezygnuje też z zabiegów kosmetycznych, ale naiwnie sądzi, że nikt nie zwróci na jej naturalność uwagi. – Myślałam, że nie rywalizuję po prostu z tymi wszystkimi pięknymi ludźmi. Podoba mi się to, że moja decyzja rezonuje, ale nie było to moją intencją – tłumaczy magazynowi „Allure”.

Od tamtej pory na hollywoodzkie rauty Anderson przychodzi w wersji sauté. Tak też pokazała się na ubiegłorocznym rozdaniu Złotych Globów.

Dzisiaj Anderson ma w planach kolejne trzy produkcje. Dramat o rodzinie, która zmagą się z chorobą genetyczną, film o niecodziennej przyjaźni młodszego faceta i starszej kobiety, którzy za gołębiem wyścigowym jadą autem z Chicago do Nowego Jorku.

A także wyczekiwaną nową wersję „Nagiej broni”, w której zagra jedną z głównych ról – ukochaną granego przez Liama Neesona niewydarzonego policjanta, syna Franka Drebyna i jego godnego zastępcę. Czy to rola, którą powinna zagrać po „The Last Showgirl”? Trudno powiedzieć.

Najważniejsze, że nie zagra „Pameli Anderson”: przez lata w oczach opinii publicznej głupiej lali z blond czupryną. ●

• **Ikona. Jako ratowniczka C.J. Parker w „Słonecznym patrolu”(1992-97), który dał jej popularność. Jej serialowy strój podstawowy, to chyba najstydniejszą czerwony kostium kąpielowy na świecie. Można go oglądać w Design Museum w Londynie**



PRADZIADKOM W GÓRACH BYŁO ŁATWIEJ

Wiara

– to hasło pojawia się w niemal każdym artykule,
każdej książce o początkach himalaizmu



• 3.06.1924 r. Trzecia wyprawa nauczyciela historii George'a Mallory'ego (z tyłu, drugi z lewej) na Mount Everest. Pięć dni później razem ze stojącym obok niego na zdjęciu Andrew Irvine'm (pierwszy z lewej) po raz ostatni spóbują zdobyć najwyższą górę świata.

Jakub Kornhauser

W dolinie Bolechowickiej nie ma miękkiej gry. Młodzieńcy wchodzą w ścianę bez trachu, a przynajmniej tak to wygląda, gdy próbują znaleźć chwyt w wapiennej skale. Nie panikują, nie wykonują nerwowych ruchów, nie krzyczą do trenerów. Mają tak szybkie i sprawne ruchy, że Spider-Man chowa się do budy. Nie widać, żeby cokolwiek sprawiało im trudność, zewsząd dochodzą tylko śmiechy i szczeka-

nie karabinków.
– E – mówi Tomek, lat 15, blond czupryna i sznity na szyi, po zjeździe na dół. – Takie skałki to pikuś, babcia z zakupami dałaby radę. Na Everest się spotkamy, to zobaczymy, kto kozak.

– Uuuu – reszta ekipy reaguje niby z podziwem, ale tak naprawdę z ironicznym powątpiewaniem.

Ale po chwili i tak wszyscy cichną. Nikt się nie przyzna, ale każdy by chciał wdrapać się na najwyższy z ośmiotysięczników, nawet jeśli dziś to sukces na miarę zdoby-

cia Kasprowego, a największym wyzwaniem jest odstanie swojego w kolejce jak do automatycznej kasy w Biedronce przed majówką.

Wiadomka, Emil wolałby powspinać się w Karakorum, bo tłumy mniejsze; Marcinowi, co wygląda jak mini-Kukuczka, marzy się Nanga Parbat; siostry Ewa i Tamara wspominają o Annapurnie. Everest nie tylko wśród dzieciaków nie ma dobrej prasy od dekad, mówi się, że to Krupówki Himalajów, na które wejść może każdy, i to prosto zza biurka.

– Masowa przeróbka – Tomek już odwiązał linę i leży przy strumieniu. – To ja już wolę do końca życia robić te traski w dolinkach pod Krakowem. Co się mam

Żaden młody wspinacz się nie przyzna, ale każdy by chciał wdrapać się na najwyższy z ośmiotysięczników, nawet jeśli dziś to sukces na miarę zdobycia Kasprowego

przepychać z jakimiś milionerami, którzy odhaczają punkty do prestiżu. Jura rulez!

Reszta przytakuje, ale każdy chce coś dodać. – Everest to Everest – tłumaczy mi Igor, który przyjechał w skałki aż spod Torunia. Jest jakaś magia, 8850 metrów, no to jednak robi wrażenie. Chciałoby się tam pojechać i pobyć w spokoju i ciszy. Tylko bez bitwy na sprzęt i śmieciowiska w obozach. Jak taki Mallory.

Jest 8 czerwca 1924 roku. Brytyjczycy George Mallory i Andrew Irvine próbują zdobyć Mount Everest. To już trzecia próba Mallory'ego, dwa lata wcześniej wyprawa osiąga ponad 8300 metrów. Tym razem udaje im się pokonać granicę 8600 metrów, ale tuż przed ostatnią ścianą znikają z radarów w gęstych chmurach. Nigdy nie dowiemy się, czy osiągnęli szczyt, czy coś ich powstrzymało tuż przed metą. Cisza.

Poszukiwania Mallory'ego trwają, bagatela, 75 lat. Przy jego ciele odnalezionym na północnym zboczu powyżej 8200 metrów nie ma aparatu fotograficznego, ale nie ma również fotografii żony, którą planował pozostawić na wierzchołku. W kieszeni, nie na nosie, są za to okulary przeciwsłoneczne. Wszystko to ma przema-

wiać na korzyść hipotezy o zdobyciu góry: schodzili ze szczytu już po zmierzchu, schowali sprzęt, spieszyli się, ale w trudnych, wietrznych warunkach nie mieli szans.

Jako że niepodważalnych dowodów brak do dzisiaj, przyjmuje się, że pierwsi na Everest zameldowali się dopiero 29 maja 1953 roku Edmund Hillary i Tenzing Norgay, członkowie wyprawy brytyjskiej pod przewodnictwem Johna Huntta. Pionierskie wyczyny Mallory'ego i Irvine'a pozostają w cieniu niepewności. Są tacy, którzy wierzą, że dotarli na szczyt, ale i tacy, którzy nie uznają ich osiągnięcia, bo nie ma konkretnego dowodu.

Wiara – to hasło pojawia się w każdej dyskusji na temat Mallory'ego, w niemal każdym artykule, każdej książce o początkach himalaizmu. To nie wydaje się zaskoczeniem, gdy przypomnimy sobie dyskusje o Wandzie Rutkiewicz znikającej na Kanczendzondze. Że uciekla od świata, że ukryła się w Tybecie, że widziano ją w buddyjskim klasztorze.

No ale tutaj mówimy o latach dwudziestych, kiedy cała działalność w wysokich górach otoczona była tajemnicą nie mniejszą niż alchemia czy czarna magia. Połowę rzeczy przyjmowano na wiarę. Nawet je-

śli – o czym skrupulatnie, zgodnie z prawidłami starej brytyjskiej szkoły reportażu, przekonuje Wade Davis w książce „W stronę ciszy. Wielka wojna, Mallory oraz podbój Everestu” – mamy do dyspozycji dzienniki, zapiski, dokumenty i zdjęcia skrupulatnie prowadzące nas po kolejnych etapach tego thrillera, dramatu psychologicznego i opery mydlanej z życia sfer w jednym, jakim był podbój Szczytu Świata.

Podbój we wszystkich znaczeniach, nie tylko dosłownym – bo konsekwencje Wielkiej Wojny można było dostrzec nie tylko w życiu społecznym i polityce, ale również w dążeniach do heroicznych czynów na każdym dostępnym polu, od lotnictwa po sport. Więc szczególnie w himalaizmie, tak atrakcyjnym pod kątem wyzwania.

Siedzimy na dole, grzejemy się przy ognisku, bo wiosenne wieczory potrafią dać w kość. Opowiadam o historii zdobywania Everestu. Patrycja, która najpierw przypatrywała się kolegom, a potem sama z niebywałą zręcznością pokonała trasę na szczyt skałki z krzyżem, zwraca uwagę, że mimo dzisiejszych udogodnień, wiedzy o fizjologii i zaawansowania technologicznego, na górze każdy zdany jest na łaskę swojego organizmu. Czy wytrzyma nagłe zmiany pogody, siarczysty mróz, a przede wszystkim jak sobie poradzi, gdy po kilkudniowym wysiłku nadejdą poddmuchy silnego wiatru i chmury, w których nic nie widać, no i trzeba będzie schodzić kilka kilometrów kompletnie po omacku.

Ekipa jest sceptyczna. Słowo „łaska” nie pasuje do dzisiejszego świata – świata elektronicznych wspomagaczy, liofilizowanej żywności, prognoz pogody aktualizowanych na bieżąco, ciuchów termicznych i elektrycznej odzieży. Dzieciaki nie przyjmują opcji, że mogłoby się im nie udać.

W gruncie rzeczy ich podejście niczym nie różni się od zawziętości Mallory’ego i spółki; inna sprawa, czy w ogóle da się porównywać działanie w dziewiczym terenie – wprawdzie systematyczne i prowadzone z dbałością, na jaką mogła sobie pozwolić brytyjska potęga u progu trzeciej dekady XX wieku – ze sportowym stylem wejść dzisiejszych wspinaczy, z dystansem patrzących na dawne sposoby górskich aktywności. Obłącznie maszynierie uruchamiane, by szczyt padł pod naporem zaciężnych wojsk, skutecznie zastąpił styl alpejski, gdzie im lżej na plecach i mniej ludzi w zespole, tym lepiej.

Nie bez przyczyny metaforyka militarna – atakowanie, zdobywanie, pokonywanie, podbijanie – odchodzi do lamusa. Choć nie do końca, bo mówienie o walce w kontekście wchodzenia na szczyt dalej cieszy się popularnością – z tym że teraz w modzie jest walka z samym sobą, własnymi ograniczeniami i problemami, a nie z górą, z którą przecież mamy relacje przyjacielskie, niektórzy powiedzieliby wręcz o duchowej wspólnotcie.

No ale wyzwanie to wyzwanie, tej potrzeby nie oszukasz.

Tomek, który ewidentnie czuje się liderem grupy, w pewnym momencie mocno się rozgaduje o potrzebie wytyczania nowych dróg i wyznaczania celów idących dalej, niż komukolwiek się to śniło. Dobrze, Mallory’emu było pod tym względem łatwiej, cokolwiek by zrobił, byłby pierwszy, najszybszy, najlepszy. Ale wszystkie ośmiotysięczniki w jednym sezonie? Proszę bardzo. Kilka wejść na tę samą górę, ale innymi drogami, w dwa-trzy miesiące? No! problem.

Inni śmieją się tylko, uważając, żeby nie poparzyć się gorącymi ziemniakami prosto z ognia. Przypominam sobie, jak sam wymyślałem równie dziwaczne wy-

zwania – Orla Perć w trzy godziny, we fraku i tenisówkach, w cylindrze, skacząc jak żaba – wszystko zrobione, melduję wykonanie zadania. Albo jak wlałem na żywca w ściany Jaworowych w słowackich Tatrach Wysokich, bo zdawało mi się, że jestem wcieleniem Klimka Bachledy i nic mi się stać nie może. Wprawdzie nie stał za mną majestat Korony Brytyjskiej, ale też czułem się wyjątkowo, zupełnie jakbym zaprzeczał prawom fizyki, no i wyobrażam sobie, że nikogo przede mną nie było w tym konkretnym miejscu w ścianie.

Trochę koloryzuję, gdy im o tym opowiadam, ale to są cwaniaki, od razu wyczuwają fałszywą nutę. Wytykają mi braki techniczne i sprzętowe, nie mówiąc o zarzutach samouwieblenia – choć stawianych raczej w żartach, mam taką nadzieję.

Gadamy o wyprawach Mallory’ego w Alpy, gdzie przygotowywał się do działań na Evereście, choć sam wtedy jeszcze o tym nie myślał. O studiowaniu w Cambridge i prawie całkowicie męskim środowisku, w jakim musiał się obracać – dzisiaj już nie do uwierzenia, że na serio kursowały teorie o niedostatecznie wykształconych mózgach kobiet, które miałyby im uniemożliwiać naukę i karierę akademicką. I o zmaskulinizowanych realiach świata wspinaczki, tu akurat do dzisiaj niewiele się zmieniło – jak dorzuca Ewa, no i rozpętuje się dyskusja. Okej, dziewczyny na ośmiu tysiącach nie robią już na nikim wielkiego wrażenia, ale do tej pory część środowiska czuje nieufność.

Trochę się kłócimy, bo jednak te dwa światy trudno porównywać. Czytam fragmenty książki, gdzie mowa o Mallorym jako o wcieleniu półboga, koledzy zachwycają się jego urodą, postawnością, klasą i zręcznością, co właściwie przesądza o es- tymie, jaką będzie się cieszył jako kandy-

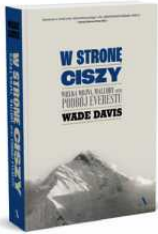
dat na wspinacza i potem, już w trakcie wypraw.

Nie mogę dokończyć, bo wszyscy chcą coś powiedzieć i robi się jak w programie publicystycznym. Z tym że nie mam możliwości ani chęci uciszania towarzystwa, bo wiem, że wszyscy mają rację.

Robi się późno, czarna noc wokół, więc zbieramy manele i kierujemy się do wyjścia z doliny. Czekają już rodzice, ktoś nocuje nieopodal w agroturystyce, ja biorę rower i zapalam światła. Tomek, po którego przyjechał starszy brat, co ma czarne auto powleczone matową farbą, twierdzi, że cały czas ma przed oczami Mallory’ego i Irvine’a, którzy znikają we mgle pod szczytem. Snuje niestworzone historie, co się mogło stać ze wspinaczami przed kolejne pół wieku. Przywołuje kadry „Krzyku kamienia” Wernera Herzoga przedstawiającego rywalizację wspinaczy na słynnej skalnej iglicy Cerro Torre w Patagonii. Że nie wiemy wszystkiego i na pewno nigdy się nie dowiemy. Brzmi to trochę jak motto „Z Archiwum X”, a trochę jak słynny cytat z Mallory’ego – „Because it is there”.

„Ponieważ istnieje” – w 1923 roku odpowiada w ten sposób na pytanie o sens wchodzenia na Everest. Żegnam się z dziećmi i patrzę, jak odjeżdżają w mglistą, cichą noc.

• **„W stronę ciszy. Wielka wojna, Mallory oraz podbój Everestu”**
aut. Wade Davis,
przeł. Michał Lipa.
Dostępna w dobrych księgarniach, na Kultu-
ralnymysklep.pl i w formie
e-booka na Publio.pl.



OGŁOSZENIE

Kraj/34370561



27 MAJA



WARSZAWA, KATOWICE



WIELKI TEST WIEDZY o UNII EUROPEJSKIEJ



Dowiedz się więcej: Wyborcza.pl/testoUE

ORGANIZATOR

wyborcza.pl

REKLAMA

PARTNERZY

Kancelaria Prezesa
Rady Ministrów

25
POLAND25.EU

Patronat Honorowy
JM Rektora

SKOŁA GŁÓWNA
W WARSZAWIE

U
UNIwersytet Śląski
W KATOWICACH

Jestem dosyć mięciutki w środku

Na Podhalu jest taka ludzka
bezpośredniość,
jakiś rodzaj konfrontacyjności
i pogarda dla słabości.
Rosłem w niej, a to może utwardzać

Z AKTOREM
MICHAŁEM BALICKIM
ROZMAWIA
MAJA STANISZEWSKA
ZDJĘCIE
MATEUSZ SKWARCZEK /
AGENCJA WYBORCZA.PL

MAJA STANISZEWSKA: Nie masz już złotego zęba jak twój bohater Stomil z serialu „Edukacja XD”.
MICHAŁ BALICKI: Nie, to była autentyczna złota korona sporządzona przez mojego protetyka, którego gorąco pozdrawiam.

Ale nie wzięłeś na nią chwilówki?
– Na szczęście budżet serialu to pokrył, choć jak się okazało, złote korony nie są dziś dużo droższe niż zwykłe porcelanowe. Świetnie się z tym zębem czułem, kiedy w trakcie przerwy w zdjęciach pojechałem z dziewczyną na małe wakacje.

Coś łączy cię ze Stomilem?
– Jestem zdecydowanie ostrożniejszy. Stomil to chodzące szczęście, z każdej opresji wychodzi cało. Ma pamięć muchy: siada na kupie i po trzech sekundach zapomina, na czym siedzi, po co przyleciał. Ważne jest to, co się dzieje w tej sekundzie. Jak mucha ma twardą głowę i trudno złapać go łapką. Ale ma też złote serce i próbuje nie widzieć rzeczywistości, bo chyba jest dla niego nieprzyjemna. Z kolei jego przyjaciel Malcolm tę rzeczywistość widzi i to go pogrąża. W „Edukacji XD” śmiejemy się z januszy biznesu i absurdów poruszania się w polskim systemie prawnym, ekonomicznym i każdym innym, ale mam wrażenie, że jest to z czułością opowiedziane, bo każdy z nas małym palcem chociaż tego dotknął. Więc jest to w jakiś sposób rozgrzeszone, a nie wyszydzone.

„Edukacja XD” i jej poprzedniczka „Emigracja XD” to komedie, ale podejmujące poważne tematy – emigracji zarobkowej czy rodzimego piekielka rozmaitych kombinatorów i „przedsiębiorców, którzy ZUS okrada”.
– Zderzyłem się z taką Polską, również jako aktor: ktoś nie chciał mi wypłacić pieniędzy, ktoś inny bardzo długo zwlekał. Wcześniej pracowałem jako muzyk – trochę chałturzyłem i zdarzały się takie historie, że ktoś chciał nam zapłacić mniej, niż się umawialiśmy, bo nie zagraliśmy jego ulubionej piosenki disco polo. I oczywiście jak większość młodych Polaków pracowałem na czarno.

Co robiłeś?
– Nie mogę powiedzieć. Nie mogę wyspać dobrośliwego pracodawcy z mojej małej miejscowości.

Co to za miejscowość?
– Ludźmierz koło Nowego Targu na Podhalu.

Jest tam bardzo znany kościół, prawda?
– Tak, słynne sanktuarium maryjne. Byłem nawet z nim związany jako ministrant przez kilka lat. Ale uciekłem stamtąd – i z kościoła, i z miejscowości. Miałem marzenia i aspiracje związane z muzyką, a potem z aktorstwem i niestety musiałem realizować je gdzie indziej. Najpierw był Kraków, teraz Warszawa.

Zawsze chciałeś być artystą?
– Gdy byłem mały, chciałem być żołnierzem, strażakiem, Bobem Budowniczym, Mozartem, dużo tego było. Chciałem też być jak Jerzy Dudek albo Mariusz Czerkawski, bo jak każdy chłopaczyna z moich stron grałem w hokeja. Opuściłem sobie po czterech latach, bo zacząłem chodzić do szkoły muzycznej i musiałem się na coś zdecydować. Wybrałem muzykę, najpierw fortepian, potem bębenki.

Masz w rodzinie muzyczne korzenie?
– Nie, rodzice po prostu bardzo inwestowali w rozwój mój i rodzeństwa, za co jestem im wdzięczny. Dziadek tylko roni łzy nad tym, że na akordeonie nie nauczyłem się grać. Podarował mi dwa, ale jak mówi porzekadło: „Co znaczy być džentelmenem? Potrafić grać na akordeonie, ale tego nie robić”.

Rodzice się nie martwili? Nie chcieli, żebyś miał jakiś konkretny zawód, został lekarzem na przykład?

– Mój ojciec mawia, że dla niego praca to jest proces fizjologiczny: musi tam pójść, wykonać ją, wrócić i nie myśleć na ten temat. Życzył mi, żeby moja praca takim procesem fizjologicznym nie była, więc wybrałem taką, która nie jest.

Jak to się stało, że po 12 latach w szkole muzycznej wybrałeś aktorstwo?
– Byłem klasowym błaznem, miałem potrzebę wyrzucenia z siebie nadwyżki energii, wygłupiania się przed kolegami, żeby dostać dwa uśmiechy. Byłem zakompleksionym nastolatkiem, a nagle zacząłem wygrywać konkursy recytatorskie. Poczulem się dowartościowany, poczułem, że jest coś, w czym mógłbym być niezły. Może od tego się zaczęło?
Kiedyś obejrzałem z ojcem „Bękarty wojny” Tarantino i pomyślałem, że jeszcze nie wiem, jak to osiągnę, ale chcę robić kino.

Zdawałeś do szkoły teatralnej w Krakowie.
– Byłem pewien, że nie mam szans. Chciałem tylko sprawdzić, jak wygląda egzamin wstępny, żeby przygotować się do niego w przyszłości. Ale udało się za pierwszym razem. Cieszę się, że tak było, bo nie wiem, czy miałbym odwagę podejść jeszcze raz. Mieliśmy znakomity rok w Krakowie i świetnie wspominam studia.

Byłeś jeszcze w szkole, gdy za sprawą studentki łódzkiej Filmówki wyszła na jaw przemoc w szkołach aktorskich?
– Kończyłem wtedy, więc smyrnęło mnie to, ale jeżeli chcesz zapytać, czy to jest moje doświadczenie, to muszę powiedzieć, że absolutnie nie. Co nie zmienia faktu, że byłem dość naiwny i mogłem nie rozpoznawać pewnych sytuacji.
Ale też chyba byłem utwardzony przez klimat podhalański i szkołę muzyczną. Bo w szkole przez te 12 lat co pół roku jesteś wystawiany na widok publiczny i ktoś cię ocenia. Więc miałem jakiś dystans, nigdy nie było też wielkich przekroczeń. Przy dyplomie mieliśmy przykrą sytuację, ale na ten temat muszę powiedzieć „pomidor”.

O przemocy w szkołach muzycznych pisała niedawno na naszych łamach Anna S. Dębowska.
– Pierwsze sześć lat spędziłem w klasie fortepianu. I nie wspominam tego najlepiej. Moja pierwsza pani pedagog dawała mi po łapkach. Dla ośmiolatka to jest przykre doświadczenie. Zwłaszcza że chęć uczestniczenia w muzyce u tak małego dziecka wynika z miłości do niej, a nie z próby wygrania konkursu czy zarobienia kupy szmalu.

Absurdalne, że dziecięcą pasję się karze, a nie nagradza. Na perkusji było już inaczej? „Whiplash” to nie twoja historia?
– Zupełnie inaczej. Znakomity perkusista Michał Peiker z Krakowa, który był cudem na mojej drodze, nie tylko edukacyjnej, ale i ludzkiej, pokazał mi, że jest jakiś rodzaj pasji i wolności w muzyce, sztuce. Zaraził mnie tym bardzo.
A co do „Whiplash” – ja tego jako perkusista nie kupuję. Znam historie przemocowych nauczycieli, ale relacja z tego filmu jest sztuczna, podobnie jak sceny, w których bohater gra na perkusji, aż krwawia mu dłonie. Z perspektywy muzyka to absurdalne, bo nie da się tego zrobić, jeżeli znasz choć podstawowe zasady gry.

Powiedziałeś, że Podhale cię utwardziło. Jak?
– Jest tam taka ludzka bezpośredniość, jakiś rodzaj konfrontacyjności i pogarda dla słabości. Rosłem w niej, a to może utwardzać. Zawsze udawałem, że jestem silniejszy, niż jestem. A tak naprawdę jestem dosyć mięciutki w środku.
Odkrycie w szkole teatralnej, że tę słabość, którą chciałem wyrzucić z siebie i się jej wyprzeć, wszyscy chcą zobaczyć – mówią, że to najfajniejsze, najciekawsze we mnie – to było objawienie. Bardzo uwalniający moment.

Co jeszcze dała ci szkoła teatralna?
– Przyjaciół, którzy mają podobną konstrukcję wewnętrzną. Bardzo się czułem wyobcowany w dzieciństwie i mimo że oczywiście miałem kolegów, to nie czułem, że mogę być do końca sobą. A szkoła mi to dała.
I rzemiosła się nauczyłem. Zapieprzałem jak dziki koń, cały czas robiłem jakieś dodatkowe projekty, grałem na przykład w egzaminach kolegów z wydziału reżyserii. Oczywiście bezpłatnie i po godzinach. Ale to było wielkie źródło inspiracji i nauki: praktyka, praktyka, praktyka. Śmieję się, że szkoła teatralna to nie jest do końca szkoła wyższa, tylko zawodowa. I taka powinna być.

Na scenie zadebiutowałeś u Agnieszki Glińskiej w Starym Teatrze, byłeś tam potem w zespole, miałeś szansę pojawić się choćby w słynnym „Weselu” Jana Klaty. Nie chciałeś zostać?
– Na jakimś etapie bardzo się zakochałem w teatrze, a potem miałem go dosyć. To się też zbiegło z – jak to dyplomatycznie ująć? – niekompetentnym w mojej ocenie zarządzaniem teatrem. Uniosłem się dumą i sobie poszedłem. Choć nie ukrywam, że miałem dokąd: miałem już wtedy dużo pracy na planie.
Dlatego zresztą trafiłem do Warszawy. W kółko jeździłem tu z Krakowa i z powrotem, wykańczało mnie to.

Odkrycie w szkole teatralnej, że tę słabość, którą chciałem wyrzucić z siebie, wszyscy chcą zobaczyć – mówią, że to najfajniejsze we mnie – to było objawienie. Bardzo uwalniający moment

Od czego się zaczęło?
– Od małej rólki w „Jak zostałem gangsterem. Historia prawdziwa” u boku Marcina Kowalczyka i Tomka Włosoka. Grałem świeży gangsterski narybek, którego historia źle się kończy i który w drugiej scenie umiera. W ogóle początek mojej kariery filmowej polegał na tym, że wszędzie umierałem. Na szczęście, odpukać, udało się jakoś przerwać tę kłętwe.

W którym momencie poczułeś, że jesteś aktorem, masz co grać?
– Najbardziej osobistym wyzwaniem była praca w „Kosie” z Pawłem Maśloną. To nie-duża rola Wojtka, chłopca, który się przyjaźni z Ignacym granym przez Bartosza Bieleńię. Cały wątek zamyka się w dziesięciu minutach czasu ekranowego, ale ta historia bardzo mnie dotknęła.
Opowieść wokół chłopstwa mnie ciekawi i dotyczy. Losy moich przodków mają raczej niewiele wspólnego ze szlacheckim mitem. Rozumiem też rodzaj niezgody i oporu wobec rzeczywistości, w której po prostu chcesz żyć i cieszyć się tym życiem, nie robiąc nikomu krzywdy, kochać ludzi wokół, jak Wojtek siostrę, którą się opiekuje, a ktoś to konsekwentnie uniemożliwia. Ktoś czy coś nas łamie cały czas.

Masz poczucie, że cię łamie system?
– Myślę, że wszystkich nas łamie. Choć jestem w uprzywilejowanej pozycji, nie oszukujmy się, bo wykonuję pracę, która poważnie sprawia mi przyjemność i mogę się z niej utrzymywać.
Natomiast wielu ludzi robi rzeczy, których nie cierpią, które są dla nich znojem, żeby przetrwać. Wracają do domu zmęczeni i następnego dnia od początku to samo. To jest bardzo znormalizowane. Ale ten rodzaj napięcia, stresu ekonomicznego, który niesiemy cały czas, nie jest naturalny. System nas zmienia. Nie będę się wymądrzał

na temat polityki, ale wiemy wszyscy, co się dzieje, i chciałbym coś móc z tym zrobić. A nic nie mogę.

Oprócz pójscia na wybory.
– Oczywiście.

W twoim aktorskim CV wśród umiejętności jest wpisane: gwara góralska – płynnie.
– Moja mama się w niej wychowała i czasami sobie rozmawiamy gwarą. Jak byłem mały, w domu raczej się jej nie używało, ojciec nie jest góralem, ale jak przyszedłem do gimnazjum, to otaczała mnie zewsząd. W swojej potrzebie bycia równym gościem szybko podłapałem i mniej więcej po pół roku śmigałem gwarą. A przez kolejne lata nauczyłem się mówić dużo, dużo lepiej. Zresztą mówiam zaśpiew nawet jak mówię po polsku, czyli mówiąc góralskim „po literacku”.

A „po góralsku” jak będzie?
– „Po nasemu”.

Czy to prawda, że „Biała odwaga” Marcina Koszałki jest pierwszym filmem, w którym słychać autentyczną gwarę?
– Tak, bo choć słychać czasem echa tych wszystkich „panocków”, jest zdecydowanie lepiej niż w innych produkcjach o Podhalu. Zresztą nie tylko z tym. Góralszczyzna najczęściej jest w filmach czy serialach jakąś Cepelią, tu wgłąda autentycznie. U Koszałki górale nie są chodzącymi stereotypami, nie są śmieszni i prząśni, nie są ludźmi, którzy chcą tylko zatańczyć, wypić i zjeść kielbasę.

Jest jeszcze jeden stereotyp o góralach.
– Że są chciwi? Myślę, że to nie jest cecha górali, tylko ludzi. Ale są takie stereotypy, zwłaszcza wokół Zakopanego. Sam strasznie nie lubię bilbordów, która jest na Podhalu, zanieczyszczania pięknego krajobrazu. To mnie wkurza.
Natomiast wyobrażam sobie, że rodzę się w takim miejscu jak Zakopane. To jest moja ojcowizna i miejsce, z którym jestem zżyty, a właściwie nigdy nie mogę go w pełni doświadczyć, bo ktoś przychodzi i mi to depta. Więcej – myśli, że ma prawo do deptania miejsca, które mnie wydaje się święte. W tej sytuacji jakoś rozumiem podejsście, że skoro już przyjechałeś mi to deptać, to cię za to skasuję.
Nasze Tatry są piękne, ale małeńkie. Trudno upchnąć tych wszystkich ludzi, którzy chcą je zobaczyć.

Różne stereotypy obśmiewa serial „1670”, w którym zagrałeś.
– Uważam, że z pewnych rzeczy może nie warto się śmiać, na przykład z cudzego nie-szczęścia. Ale z mitu szlacheckiego czy absurdalnej Polski kościółkowej – jak najbardziej. Gdy humor coś obnaża, ale nie wyszydza, to jest okej.
„1670” między innymi ośmiesza naszą skłonność do udawania, że rzeczywistość jest inna, niż naprawdę jest. Bierzemy samochody w leasing i udajemy, że jesteśmy bogaci, pochodzimy ze wsi, a szukamy szlacheckiego przodka i tak dalej.

Umiemy się z siebie śmiać? Reakcja na „1670” pokazała, że chyba nie wszyscy...
– Skoro jakaś część społeczeństwa ten serial pokochała i się z niego śmiała, to pewnie umiemy. Jakiejś części się nie spodobał, ale to znaczy, że ma nieco inne poczucie humoru. Po prostu. ●

Michał Balicki

• Rocznik 1996. Absolwent Państwowej Szkoły Muzycznej im. Chopina w Nowym Targu (I stopnia – fortepian, II stopnia – perkusja) i Wydziału Aktorskiego Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie (2021). Ma na koncie seriale „Emigracja XD” i „Edukacja XD”, a także „1670” i „Zatoka szpiegów” oraz filmy, m.in. „Imago” i „Kos”.

Czułość wolność równowaga

ON ASERTYWNY, ONA AGRESYWNA

Może być tak, że z tyłu sali jest kobieta, która ma już wszystkie potrzebne kompetencje, ale nie jest tą pierwszą, która podniesie rękę. Świadome przywództwo polega na tym, żeby rozróżniać jednych od drugih.

Z **AGNIESZKĄ KULIKOWSKĄ**, HEADHUNTERKĄ,
ROZMAWIA **PATRYCJA MACIEJEWICZ**



FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Po co kobiecie kariera?

A mężczyźnie? Po co mężczyźnie kariera? Wszystkie jej aspekty – zarówno ten finansowy, jak i ambicjonalny czy dotyczący spełnienia zawodowego – są tak samo adekwatne dla kobiet jak dla mężczyzn.

Zmienia się trochę pojmowanie tego, co to znaczy kariera. W coraz większym stopniu nie chodzi o władzę, o wspięcie się na szczyt firmy, bycie panią prezes, ale o realizację ambicji zawodowych. Coraz więcej ludzi idzie w stronę ról eksperckich, woli je od menadżerskich, jest to istotne zwłaszcza dla osób z pokolenia Z.

I nie zgadzam się z tymi, którzy uważają, że kobietom kariera jest potrzebna mniej. Ani z tymi którzy uważają, że kariera kobiet to jakaś inna kariera – że kobieta będzie wolała spełniać się w jednych rolach bardziej niż w innych. Nie. I choć zdaję sobie sprawę, że to kobiety są matkami, to jeśli zdecydują się na posiadanie dziecka, to już role rodzicielskie można podzielić niemal po równo. Bo równość zaczyna się w domu.

Wiele osób myśli, że awans mężczyzny jest ważniejszy, że jego ścieżka to coś naturalnego. Nie zgadzam się – każdy niezależnie od płci powinien móc zdecydować, czy jego pierwszym wyborem jest stawianie na pracę, czy inne organizowanie sobie życia. Dlatego też dostęp do tych karier powinien być równy.

Tyle, że nie jest. Więc może podsumujmy to w punktach: jakie klody znajdują my, kobiety, pod swoimi nogami?

Warto podkreślić: to są klody, których mężczyźni w ogóle nie znajdują. To sedno sprawy.

Po pierwsze, socjalizowanie dziewczynek do bycia grzeczną i miłą, godzącą się z rzeczywistością, w której to ona będzie dbać o dom. Czyli bycie project menadżerką jest nam niejako przypisywane, ale tylko do obszaru pracy bezpłatnej w domu.

Jest bardzo trafny komiks „The Gender Wars of Household Chores”, w którym pokazano, że nawet jeśli ma „wspierającego” partnera, to na kobiecie spoczywa ciężar

zar zaplanowania wszystkiego – mężczyzna dostanie zadanie zrobienia zakupów i zrobi je z listą przygotowaną przez kobietę. On tę zleconą rzecz wykona w zakresie, w którym został o to poproszony. Natomiast kobieta idąc do kuchni, by przygotować dziecku jedzenie, zetrze blaty, załaduje zmywarkę. Bo ktoś to musi zrobić.

Są na to konkretne dane – kobiety dużo więcej czasu spędzają na obowiązkach domowych niż mężczyźni, w Polsce ponad trzykrotnie więcej. Mają przez to mniej czasu dla siebie, mniej czasu na rozwijanie się, czytanie i mniej czasu na pełnowymiarową pracę odpłatną.

Powiem ci o czymś, co mną kiedyś mocno wstrząsnęło. Bywam na wielu spotkaniach na temat karier kobiet i na jednym panie prezeski opowiadały, jak pozytywnie wpłynęło na ich życie dołączenie do tzw. 5 a.m. club. Czyli że te panie wstają o 5:00 rano, bo dzięki temu zyskują dwie dodatkowe godziny, kiedy wreszcie mogą coś koncepcyjnie przemyśleć, zrobić coś dla siebie, bo potem to już domownicy wstają i te kobiety muszą ogarniać obowiązki domowe. Zatem – wstawanie przed świtem zamiast równiejszego rozkładu zadań... Nie tędy droga.

Chłopcy są socjalizowani zaś do bycia odważnymi, sambitnymi, rozpychającymi się łokciami. To niepopularny pogląd, ale gdyby kobiety same nie odtwarzały stereotypowego podziału ról w swoich domach, mogłybyśmy przyspieszyć zakończenie patriarchy o jedno czy dwa pokolenia.

Badacze sprawdzali, jak rodzice dopingują swoje dzieci na placu zabaw. Jeśli na drabinkę wchodził Jaś, to dostawał brawa jak dotarł na szczyt. Jak wspinała się Małgosia, to już na trzech czwartych wysokości rodzice mówili „Oj, uważaj, nie wchodź wyżej, spadniesz”. Niezależnie od płci rodzica! Sami to robimy.

Co jeszcze?

Punkt drugi: premia za ojcostwo i kara za macierzyństwo.

To widać np. przy rekrutacjach. Jeśli mamy kobietę i mężczyznę o takich samych kwalifikacjach oraz wynikach (podkreślam to słowo), to jeżeli ten mężczyzna jest ojcem dwójki dzieci, to będzie to interpretowane na jego korzyść – że jest stateczny, stabilny, lojalny, to kandydat do awansu i podwyżki, bo widać, że jest skupiony na długofalowym rozwoju, chociażby rodzinnym.

Natomiast kobieta – matka dwójki dzieci? Tu pojawia się nieuświadomione (a czasem i uświadomione) uprzedzenie – że jej dyspozycyjność będzie niepewna, że sprawy domowe będą ją odrywać od pracy. A jeśli jest związana z dobrze zarabiającym mężczyzną, to nie musi być brana pod uwagę przy podwyżkach, bo to nie ona jest „główną żywicielką rodziny”.

Punkt trzeci: stereotypizacja zadań. Niektórzy mają taką percepcję, że kobieta bardziej do księgowości, a mężczyzna do kontrolingu. A księgowość jest pozycjonowana trochę niżej, bo uznawana jest za pracę odtwórczą. Kontroling zaś jest strategiczny, wymagający innych kompetencji.

Z monumentalnych badań ośrodka GRAPE i Joanny Tyrowicz wynika, że nawet dziś w 2/3 spośród 98 mln firm w Europie nie ma ani jednej kobiety w organach zarządczych!

Wiele kobiet nie chce wchodzić do takiego męskiego świata, nie każda z nas chce się kopać z koniem. Trudno oczekiwać, żeby kobiety były zawsze pionierkami, łodolamaczami, mentalnymi czołgami, które zniosą ten trud bycia pierwszą. To wymaga pewnego heroizmu – nie jest on w codziennych sytuacjach wymagany równie często od mężczyzn.

A jak to jest z kobietami informatykami? Czy faktycznie są jak yeti?

To też jest mit. Dziś kobiety stanowią większość studentów. Jest ich coraz więcej na kierunkach STEM, stereotypowo postrzeganych jako „męskie”. W UE stanowią już 40 proc. absolwentów informatyki.

Badania mówią, że dopiero jeśli udział mniejszości wynosi co najmniej 30 proc., to potrzeby jej są wyraźnie słyszalne i może to spowodować zmianę. To dlatego powstała brytyjska organizacja 30 proc. Club walcząca o reprezentację kobiet w zarządach, w Polsce mamy jej prężnie działający oddział, którego jestem ambasadorką. Ich badanie „Niech nas usłyszą: głos kobiet w korporacjach” na 5 tysiącach respondentek w Polsce pokazało, że w ich opinii kobiety są inaczej, gorzej traktowane. Np. stawia się wyższe wymagania niż mężczyznom (55 proc. ankietowanych). Ponad połowa kobiet często lub bardzo często spotkała się ze stwierdzeniem, że ambitne kobiety są trudne we współpracy.

I znów widzimy tu stereotypy – mężczyzna asertywny, pewny siebie jest postrzegany jako naturalny lider. Jeżeli kobieta robi dokładnie to samo, bywa postrzegana jako agresywna. Przypisuje się jej, że rządzi nią emocje i/lub hormony (prawie 50 proc. respondentek słyszy to często). Tymczasem w przypadku mężczyzny, złość jest wyłączona z tego katalogu emocji, które są źle postrzegane. To majstersztyk społeczny. Kobieta jest emocjonalna lub histeryczna, mężczyzna tymczasem unosi się „słusznym gniewem”.

I kolejny punkt na liście klód: mężczyzna jest awansowany za potencjał, jaki się w nim widzi. Kobieta – dopiero gdy udowodni, że ma wyniki, że potrafi naprawdę dowieźć.

Wciąż działa dobrze udokumentowany mechanizm znany jako likability bias. Gdy mężczyzna jest kompetentny – zyskuje na sympatii. Gdy kobieta prezentuje te same cechy – bywa postrzegana jako zimna, apodyktyczna, „zbyt pewna siebie”. Oczekuje się od nas nie tylko profesjonalizmu, ale też tego, byśmy były „miłe”. Ta podwójna norma sprawia, że kobiety nieustannie balansują między skutecznością a społeczną akceptowalnością – co jest ogromnym obciążeniem.

Jak to się dzieje, że choć więcej jest studentek niż studentów, że w firmach

Agnieszka Kulikowska

• Starsza Partnerka w Page Executive, konsultantka executive search i headhunterka z powołania. Kadre menedżerską dobiera od 15 lat: pomogła międzynarodowym oraz polskim firmom w rekrutowaniu ponad 200 członków zarządu i dyrektorów. Wspiera najlepszych liderów_ki w obejmowaniu stanowisk regionalnych i globalnych. Współprzewodnicząca Kampanii Przeciw Homofobii, członkini LiderShe, ambasadorka 30% Club Poland.

pracują wybitne specjalistki, to jednak w zarządach i radach już nas nie ma? Wróć na chwilę do tego wychowywania dziewczynek na grzeczne i posłuszne, a chłopców na brawurowych. Kobiety są często prymuskami w szkole, ale jak przychodzą do pracy w korporacji, to okazuje się, że bardziej doceniana jest „głośność”, mówienie o własnych sukcesach, brawura niż skrupulatność. Że owszem, dostaniesz te raporty do napisania, bo zrobisz to starannie, ale awans dostanie ten kolega, który zadba o to, by wszyscy o jego wkładzie wiedzieli. Bo jest najgłośniejszy w pokoju, bo zgłasza się po więcej odpowiedzialności.

W biznesie wiemy o tym od dawna, więc jeśli firma nie może pochwalić się, że ma odpowiednie kandydatki do zarządu, to znaczy że coś zrobiła nie tak. Powinna pracować nad ścieżkami zawodowymi pracowników, identyfikowaniem talentów na wczesnym etapie, inwestowaniem w nie, motywowaniem, szykowaniem kobiet do przejęcia większej odpowiedzialności, włączaniem ich do formalnych planów sukcesji.

Z drugiej strony – w zarządzie złożonym wyłącznie z mężczyzn jest im w pewien sposób łatwiej, nie muszą się pod kątem zachowania i języka dostosowywać do kobiet. Takie „boys clubs” funkcjonują odkąd istnieją firmy. Decydentom-mężczyznom jest łatwiej dobierać do zarządu kolejnych mężczyzn.

To w gestii pracodawcy jest pokazanie, że w tej firmie można być kobietą i zrobić karierę od stanowiska szeregowego do członkini zarządu, że firma dba o to, by każdy miał możliwość rozwoju. Ostatecznie przecież to firmie się opłaca – badań na ten temat są całe tomy.

Firma nie powinna też karać kobiet za to, że mają dzieci. Tego nie obejdziemy – to kobiety rodzą i nie można mieć o to pretensji.

Jest jakiś rodzaj schizofrenii w tym myśleniu o dzieciności – z jednej strony zależy nam, by ludzie decydowali się na dzieci, ale z drugiej, jak kobieta zachodzi w ciążę to traktuje się to tylko jako jej indywidualną decyzję. Progresywne firmy przyznają kobietom na urloпах macierzyńskich (swoją drogą – to nie urlop, a kolejny nieodpłatny etat!) takie same benefity jak osobom pracującym w firmie, nie pomijają ich przy podwyżkach.

Firmy powinny wspierać rozwój zawodowy kobiet poprzez wznacnianie ich kompetencji, pracowanie nad ich pewnością siebie. Mentoring to wspaniałe narzędzie. Równie ważny jest aktywny sponsoring kariery – choć w języku polskim brakuje dobrego odpowiednika, chodzi o coś znacznie głębszego niż doradzanie. Sponsoring to sytuacja, w której lider (często mężczyzna) aktywnie promuje ją w kluczowych gremiach. Rekomenduje na prestiżowe projekty, stanowiska, zaprasza do widocznych inicjatyw, w których jej kompetencje mogą być zauważone przez decydentów.

Z drugiej strony firma powinna edukować liderów i liderki, by nie wybierali do swoich zespołów wyłącznie ludzi, którzy są „najgłośniejsi w pokoju”. Bo może być tak, że z tyłu sali jest kobieta, która ma już wszystkie potrzebne kompetencje, ale ona nie jest tą pierwszą, która podniesie rękę. Świadome przywództwo polega na tym, żeby rozróżniać jednego od drugich.

Jest jeszcze jedno, co się bardzo dobrze sprawdza – plany sukcesji. Na różnych

szczeblach w korporacji należy ciągle rozpoznawać zasób talentów i wobec konkretnych osób podejmować świadome decyzje, przygotowując je do coraz wyższych ról, w tym w ramach zarządów. To wymaga planowania na kilka lat do przodu.

Pięknie to brzmi. Ale kluczowy moment kariery kobiet przypada najpierw na lata, kiedy mogą mieć dzieci, około 35 roku życia. I potem koło 50 roku życia, kiedy są w okresie menopauzalnym i mówi się im, że to właściwie już koniec. Tu znowu mamy coś w rodzaju schizofrenii. Kariery kobiet często są przesunięte o 2-8 lat w stosunku do mężczyzn, ze względu na urlopy macierzyńskie. Czyli coś, co osiąga mężczyzna 40-letni, jest udziałem kobiety nawet dopiero 48-letniej.

Tymczasem do jej wieku przykładamy wzorzec sprzed 20 czy 30 lat. Że 50-latką to już seniorka, której nie będzie można zwolnić. Zakłada się, że osoby w tym wieku nie są już dynamiczne, równie zaangażowane i kreatywne, że nie mówią dobrze w językach obcych i nie znają się na technologiach. A to bzdura. Zarówno kobiety, jak i 50-letni mężczyźni są dzisiaj w pełni sił, są w świetnej kondycji, często się doksztal-

Gdy jest jedna kandydatka, automatycznie uważa się ją za paprotkę – żeby pokazać jakąkolwiek kobietę. Postrzeganie jej kompetencji jest wtedy obniżone

cają, dbają o siebie. Znam takie, które są w lepszej formie niż 35-latk.

A przecież z powodów demograficznych będziemy pracować dłużej. Pracować i robić karierę. Nasza ścieżka życiowa, zawodo- wa, wydłuża się. Firmom potrzebny jest jak najszerszy dostęp do talentów, musimy korzystać z potencjału osób 50+, a ich potrzeby muszą zostać dostrzeżone – te dotyczące zarówno rozwoju, jak i zdrowia czy do- brostanu.

Kwestia wieku obecnie ciąży na wielu rekrutacjach. Często słyszy się na rynku, że poszukiwana jest osoba do zarządu, które może mieć nawet 20 czy 40 lat doświadczenia – byle jednak była w wieku 40-45 lat... By nie odbiegała zbyttnio demograficznie i pod kątem „dynamizmu” od reszty zespołu. Tymczasem wiemy przecież wszyscy, że dynamizm to wyłącznie cecha osobnicza. Znamy zarówno „zamulonych” 25-latków jak i pełne werwy 70-latk.

Jak wygląda taka rekrutacja na najwyższe stanowisko w firmie? Domyślam się, że nikt nie czeka na CV i listy motywacyjne. W ramach Page Executive pomogliśmy naszym klientom w doborze ponad 2 tys. osób na role zarządowe i wyższe dyrektorskie na świecie w 2024, w tym 75 w Polsce – z czego 21 osób na pozycje prezesów_ek czy country managerów. To inne podejście niż w naszym brandzie Michael Page, gdzie rekrutujemy dziesiątki tysięcy specjalistów rocznie.

Zanim zabierzemy się do poszukiwania kandydatów, musimy dobrze poznać potrzeby firm. Czasami przychodzą one z jakimś problemem, czy konkretnym wyzwaniem np. wprowadzenie firmy na giełdę, przeprowadzenie emisji obligacji, ekspansję na rynki zagraniczne. Każde z takich wyzwań wymaga trochę innego profilu kandydata. Czasami po diagnozie okazuje się, że firmie potrzebny jest nie klasyczny CFO (Chief Financial Officer czyli członek zarządu ds. finansowych) z backgroundem korporacyjnym, a ktoś z dużym doświadczeniem transformacyjnym.

W Polsce mamy też bardzo dobrze przygotowaną kadrę do obejmowania ról regionalnych i globalnych – wiele z nich w ramach sektora, który powinien być naszą wielką dumą narodową, czyli centrów usług wspólnych dla biznesu. Pracuje w nich już ok. pół miliona ludzi, najwięcej w całej Europie (jesteśmy lokalizacją nr 3 na świecie). To z Polski dostarcza się usługi na cały świat – we wszystkich obszarach, dla wszystkich gałęzi gospodarki. Ceni się nas za etykę pracy, zaangażowanie, znajomość języków obcych. Jest wiele rekrutacji, gdzie firma rozważa ulokowanie szefów danego obszaru w Wielkiej Brytanii, w Niemczech lub w Polsce, tam gdzie znajdzie najlepszego kandydata.

Potem musimy zbadać jaki jest poziom ambicji firmy – jak wyglądać będzie sukces osoby, której poszukujemy po 12 czy 36 miesiącach w firmie. Czyli co konkretnie ta osoba ma dowieźć, jak będzie się zmieniać jej rola w firmie, czy ważniejsze jest posiadane już doświadczenie, czy potencjał rozwojowy.

Pytałaś, czy czekamy na CV i listy motywacyjne. Listów na rynku od lat nikt nie czyta. Ale często publikujemy ogłoszenia opowiadające o ciekawych rolach, nad którymi obecnie pracujemy. Poszerza to pulę kandydatów.

Ale podkupujecie ich też konkurencji. Oczywiście, to trzon takiej usługi. Najpierw mapujemy rynek, przyglądamy się osobom pracującym na podobnych stanowiskach w firmach z sektora i jego ekosystemu. Patrzymy też kto podolał podobnemu wyzwaniu, branża nie musi być dokładnie ta sama. Choć klienci często oczekują właśnie takiego „plug & play” (podłącz i uruchom). To czasami zmora headhunterów. Tymczasem szukanie „klonów” bywa krótkowzroczne – innowacja rodzi się tam, gdzie ktoś wychodzi poza utarte schematy, wnosi nową perspektywę.

Przygotowujemy długą listę potencjalnych kandydatów – z wybranymi osobami nasi researcherzy kontaktują się telefonicznie, a z osobami najlepiej wpisującymi się w kryteria organizujemy spotkania. Badamy zainteresowanie i realną motywację do zmiany, przyglądamy się dokładnie projektom, które dane osoby prowadziły, omawiamy ich sukcesy i porażki, aspiracje, dotychczasową dynamikę rozwoju ich kariery, patrzymy na ich potencjał. Kluczowe jest też dopasowanie kulturowe – świetna merytorycznie osoba, która odnosiła wielkie sukcesy w firmie o bardziej demokratycznym stylu zarządzania może się kompletnie nie odnaleźć w strukturze hierarchicznej, i vice versa.

Na koniec powstaje krótka lista kandydatów, którą przedstawiamy klientowi. To jest bardzo ważny moment. Uważam, że na takiej krótkiej liście powinny być osoby, które idealnie spełniają oczekiwania, ale i takie, które wnoszą coś nowego, coś o czym klient mógł nie pomyśleć. Optymalnie powinny być na niej zarówno kobiety jak i mężczyźni. I też nie np. jedna kobieta. Badania pokazują, że jeśli na krótkiej liście są przynajmniej dwie kobiety, to radykal-

nie rośnie prawdopodobieństwo, że któraś z nich będzie wybrana.

Dlaczego?

Gdy jest jedna kandydatka, automatycznie uważa się ją za paprotkę – żeby pokazać jakąkolwiek kobietę. Postrzeganie jej kompetencji jest wtedy obniżone.

Ile czasu trwa takie poszukiwanie?

Do zaprezentowania krótkiej listy około 4-8 tygodni.

A ile kosztuje taka usługa?

Cena jest uzależniona od całkowitego wynagrodzenia na stanowisku, które mamy obsadzić. Czyli wchodzi w to także bonus za zrealizowanie celu, czy pakiet powitalny dla osób, które np. przenoszą się z innego kraju, czy też rekompensata za utratę bonusu w starym miejscu, jeśli trzeba podjąć pracę zanim ten bonus jest wypłacany. Od tego obliczmy nasze wynagrodzenie – kilkadziesiąt do kilkuset tysięcy złotych.

Czy to znaczy, że gdy jesteś na jakiejś konferencji albo spotkaniu branżowym, to zapamiętujesz interesujących ludzi, by mieć ich dla przyszłych klientów?

Oczywiście! Zdarza się to cały czas. Ale jest też odwrotnie. Dziesiątki osób kontaktują się z nami co tydzień, by powiedzieć, że są otwarci na zmianę pracy i wniesienie wartości dodanej w nowej firmie. Również nasi rekruterzy, którzy poszukują kandydatów na stanowiska eksperckie i menedżerskie czasem dają nam znać, że mają fantastyczną osobę na poziomie dyrektora departamentu, która świetnie sprawdziłaby się wyżej.

A kogo się łatwiej rekrutuje, kobietę czy mężczyznę?

Kobiety, które są w zarządach, często musiały być lepsze niż ich koledzy by dojść tam, gdzie są. To konsekwencja tego, o czym rozmawialiśmy od początku – kłód pod nogami, stereotypów i odmiennego postrzegania różnych zachowań u kobiet i mężczyzn. Są to bardzo często fantastyczne, wszechstronne liderki.

Ale to nie znaczy, że kobiet nadających się do zarządu jest w naszym kraju mało. Jest ich mnóstwo, ale najczęściej są to osoby, którym nikt jeszcze nie dał szansy zabłysnąć, rozwinąć skrzydła. Nie powiedział: „Jesteś na to gotowa, zapraszamy”. ●

CZUŁOŚĆ. WOLNOŚĆ. RÓWNOWAGA

• Menstruacja, menopauza, równowaga w pracy, luka płacowa, rynek dla kobiet 50+, kompetencje przyszłości, siostrzeństwo – z wielką uwagą przyglądamy się naszym relacjom w nowej rzeczywistości. Z czułością i wrażliwością rozmawiamy o kobiecości, ale też męskości i niebinarności. Tworzymy nowy świat i pytamy o nasze miejsce w nim, zachowując balans. „Czułość. Wolność. Równowaga” to akcja społeczna „Wysokich Obcasów” i „Gazety Wyborczej”.

OGŁOSZENIE

Kraj/34368463

Czułość. Wolność. RÓWNOWAGA

ORGANIZATORZY

PARTNER

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

KULCZYK FOUNDATION



Co państwo
powiedzą
na konkurs
streszczania
Prousta na czas?

Radostaw Czyż

Jeśli Proust za trudny? To może inny quiz. Słuchajcie uważnie, bo nie będę powtarzać.

Jak nazywał się film, w którym biały królik rzuca się do gardeł grupie rycerzy, a pokonać go może tylko wyjątkowa relikwia – święty grnat ręczny z Antiochii? Nie wiecie? Oto podpowiedz...

Nieco ponad 50 lat temu grupa angielskich komików – i jeden Amerykanin – postanowiła nakręcić film. Na koncie mieli już popularny program telewizyjny (45 odcinków), w którym prezentowali swoje skecze. Część z nich w 1971 r. nagrali ponownie na potrzeby filmowego zbioru gagów, ale ambicje mieli o wiele większe. Marzył im się, przynajmniej niektórym z nich, pełnometrażowy film fabularny.

Opowiadać miał o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu, którzy szukają Świętego Grała. Budżet mieli tak skromny, że starczyło na kilka lokacji, wypożyczenie kilkunastu kostiumów, minimalne efekty specjalne i kilku statystów. Role kobiece grali sami poprzebierani w kiecki i w perukach.

Mimo że do produkcji dołożyli się nawet członkowie Pink Floyd, którzy byli fanami grupy komików i przekazali im część zysków z kultowej płyty „The Dark Side of the Moon”, to ledwie starczyło na montaż i postprodukcję. O koniach na planie nie było nawet mowy, toteż filmowi rycerze udawali jazdę konną, rytmicznie podskakując, a odgłos kopyt symulowali ciągnący za nimi chłopci uderzając o siebie połówkami kokosów.

Wyszedł z tego zresztą świetny dialog, w którym król Artur dywaguje z wartownikami, jakim cudem w Mercji znalazły się kokosy, które wszak nie migrują jak jaskółki, ale mogły być przez nie przyniesione, co może i nie jest zbyt logiczne, bo jedna jaskółka europejska nie uniosłaby kokosa w dzióbku – nie jest to wszak sprawą punk-

tu zaczepienia, ale proporcji wagowych (choć jaskółka afrykańska może by sobie poradziła, ale te nie migrują) – lecz już dwie jaskółki niosące kokos na konopnym sznurku uwiązany przy łotkach...

Proszę wybaczyć. Teraz coś z zupełnie innej beczki.

Monty Python nie kończy

Amerykański komik i prezenter Conan O'Brien mawia, że najlepsza komedia powstaje na styku geniuszu i ekstremalnej głupoty.

Grupa Monty Pythona jest tej idei idealnym odzwierciedleniem. Na uniwersytecie w Cambridge poznali się Eric Idle, Graham Chapman i John Cleese, a Michael Palin i Terry Jones na Oksfordzie. Rodzynkiem w tym towarzystwie był Amerykanin Terry Gilliam, który na Wyspy przyjechał, by rozwijać karierę twórcy filmów animowanych.

W skeczach mieszały skrajny absurd z politycznym komentarzem, społecznie zaangażowaną satyrą i odniesieniami do klasyków, by wymienić choćby mecz piłkarski między filozofami greckimi i niemieckimi czy wakacyjny konkurs streszczania „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta, który z braku laku wygrała w końcu dziewczyna z największym biustem.

Skecze te dobrze ilustrują też jedną unikatową cechę Pythonów – brak puent. W rozmowie z dziennikiem „The Independent” O'Brien wspominał, że „Latający cyrk Monty Pythona” zmienił pod tym względem sztukę pisania skeczy:

– Monty Python był dla mojego pokolenia jak bomba atomowa. Oglądałem mnóstwo brytyjskich programów, gdy byłem młodszy, zwłaszcza Pythonów. Zmieniłi oblicze komedii, bo ich skecze nie musiały mieć żadnej puenty czy zakończenia. Po prostu robili coś tak długo, jak było to zabawne. Byli jak Picasso odkrywający przed światem sztukę abstrakcyjną. To był ogromny krok naprzód – mówił.

I faktycznie, grupa Monty Pythona była przełomem dla światowej komedii i powo-

dem, dla którego w latach 70. poczucie humoru stało się jednym z największych brytyjskich towarów eksportowych.

Ale czym w ogóle jest brytyjski humor? Zanim wspomnimy o innych jego przykładach, spróbujemy nakreślić jego ramy i wrócić do korzeni.

Dziecko w potrawce

Wyspiarskie poczucie humoru charakteryzuje się kilkoma kluczowymi cechami.

To ironia i sarkazm służące do ponurego, ale jakże zabawnego komentowania jeszcze bardziej ponurej rzeczywistości.

To absurd, oparty często na głupkowatych grach słownych, luźnych skojarzeniach pozornie niepasujących do siebie rzeczy i tematów. Doprowadzanie jakiejś realistycznej sytuacji do czystego nonsensu to także sposób na wyrażanie komentarza społecznego czy politycznego.

To autoironia, zwłaszcza jeśli chodzi o nabijanie się z własnej historii, przywiązania do monarchii czy narodowych przywar. Dla wielu tamtejszych seriali kanwą jest też humor sytuacyjny.

Co jednak szczególnie charakterystyczne, to tzw. suchy dowcip (dry humour lub deadpan), czyli docinki i błyskotliwie zabawne komentarze wypowiedziane monotonicznie i z kamienną twarzą.

Ale to przecież nie grupa Monty Pythona wymyśliła ten typ komedii. Jej korzenie sięgają XVIII i XIX w., by przypomnieć choćby książki Irlandczyka Jonathana Swifta,

który w „Skromnej propozycji” z 1729 r. krytykował londyńskie elity za brak zainteresowania kłeską głodu w Irlandii.

Tytułową propozycją Swifta mającą rozwiązać ten problem było sprzedawanie Anglikom irlandzkich niemowląt. A po co? Tak to tłumaczył:

„Pewien dobrze znający się na rzeczy Amerykanin, mój znajomy z Londynu, zapewnił mnie, że młodziutkie i zdrowe, dobrze odżywione roczne dziecko wielce jest smakowitym i nader pożywnym pokarmem, zarówno duszone w jarzynach, jak i pieczone, smażone czy gotowane, z czego wnoszę, że nadaje się też do przyrządzenia gulaszu albo potrawki” [przeł. Ewa Krasińska].

Groteskowy i absurdalny ton eseju, w którym Swift – podając oczywiście stosowne wyliczenia – dowodził, ile korzyści obu krajom przyniosłaby taka praktyka, sugerował, że skoro elity już są odpowiedzialne za głodową śmierć wielu Irlandczyków, to również dobrze mogą od razu pożreć ich dzieci.

Nie mniej dowcipny jest w swojej najbardziej znanej książce pt. „Podróż Guliwera”. Czy raczej „Podróż do wielu odległych narodów świata, w 4 częściach, opisane przez Lemuela Guliwera, najpierw lekarza okrętowego, później kapitana kilku statków”.

Powieść jest parodią popularnych wówczas książek przygodowych, a w istocie dosadną drwiną z Anglików, Francuzów, parlamentu, sądownictwa, naukowców z Royal Society, filozofów, cywilizacji europejskiej i ludzi w ogóle (zwłaszcza gdy porówna się

**Dzięki Grupie Monty Pythona
poczucie humoru stało się
w latach 70. XX wieku
jednym z największych
brytyjskich towarów
eksportowych**



Zdjęcia po lewej:

• Rowan Atkinson w serialu „Czarna Żmija” to kolejno: książe, lord, lokaj i kapitan Edmund Czarna Żmija. Cztery postacie - cztery epoki w historii Imperium Brytyjskiego.

• Hiacynta Bukiet (Patricia Routledge) czyli brytyjska pani Dul-ska w „Co ludzie powiedzą”

• Skąd wzięło się internetowe określenie „spam”? Oczywiście z pythonowskiej piosenki o mie-loncie. Spam, spam, spam, spam, Lovely Spam! Wonderful Spam!...

• Zatroškany René Artois (Gorden Kaye) właściciel kawiarni z serialu „Allo 'Allo!”, gdzie krzyżują się wszystkie drogi Niemców i francuskiego ruchu oporu.

• John Cleese w skeczu Ministerstwo Głupich Kroków z telewizyjnego programu „Latający cyrk Monty Pythona” (seria 2, odc. 1.)

ich do mądrych i nieznających kłamstwa koni zwanych Houyhnhnmami).

Jeśli nie Swift jest ojcem brytyjskiej komedii, muszą być nimi koledzy Ben Jonson i William Szekspir. Tego drugiego przedstawiać nie trzeba. Pierwszy obracał się w tym samym środowisku, ale ceniono go nie tylko jako dramaturga, ale też literata.

Szekspir w XVII w. był oczywiście popularny, ale nie traktowano go jeszcze jako twórcę natchnionego – Jonson, jeden z największych krytyków dzieł Szekspira, był też jego największym konkurentem. Ich sztuki aż do nastania romantyzmu cieszyły się taką samą popularnością.

Obaj też pisali świetne komedie. Szekspir po mistrzowsku używał ironii i gier słownych, Jonson był bardziej dosadny, ale często sięgał po absurd i sarkazm. To w połączeniu z wielką popularnością obu może tłumaczyć, skąd w brytyjskiej kulturze od wieków występuje takie zamięszanie do grepsów i ciętego języka.

Bomba w walizce!

Ale wróćmy do lat 70. i 80., gdy dzięki telewizji i kinu brytyjska komedia zaczęła podbijać świat. Produkowane przez BBC seriale emitowane były w wielu zagranicznych telewizjach. Również w polskiej.

Poza „Latającym cyrkiem Monty Pythona”, który był u nas genialnie tłumaczony najpierw przez Tomasza Beksinińskiego, a w późniejszych latach przez Elżbietę Gałązkę-Salamon.

Od „Latającego cyrku” płynnie można przejść do „Hotelu Zacisze”. Z grupą Monty Pythona łączy go oczywiście John Cle-

ese – twórca serialu i odtwórca głównej roli – oraz historia pewnego hotelu, w którym komicy zatrzymali się podczas kręcenia zdjęć do „Latającego cyrku...”.

Chodzi o Gleneagles Hotel w angielskim Torquay. Jego właścicielem był były oficer Royal Navy Donald Sinclair, o którym Cleese mówił, że był to najbardziej nieuprzejmy i obcesowy człowiek, jakiego w życiu spotkał. Czym Sinclair zasłużył sobie na takie miano?

Gdy Pythoni mieszkali w hotelu, właściciel otwarcie komentował „zbyt amerykańskie manery” przy stole Terry’ego Gilliana, a pewnego dnia wyrzucił przez okno walizkę Erica Idle’a, sugerując, że w środku jest tykająca bomba, która okazała się budzikiem.

Po trzech tygodniach trupa opuściła hotel. Zostali tylko Cleese i jego ówczesna żona Connie Booth. Obserwowali Sinclaira, a potem napisali wspólnie scenariusz o obcesowym i nierozgarniętym właścicielu hotelu, jego wygadanej żonie oraz barwnych członkach personelu. Cleese wcielił się we właściciela hotelu Basila Fawltę’ego, a Booth w pokojówkę Polly.

„Hotel Zacisze” doczekał się tylko 12 odcinków. Sześć powstało w 1975, a pozostałe w 1979 roku. Mimo to na antenie BBC emitowany był na okrągło, a zdaniem wielu jest jednym z najlepszych brytyjskich seriali komediowych.

Mały czołg

Prawdziwy boom zaczął się jednak w latach 80., gdy rok po roku stacja pokazała dwie, dziś kultowe produkcje. Pierwszą było „Allo 'Allo!” z 1982 r., drugą „Czarna żmija” z 1983 r.

„Allo 'Allo!” to parodia niezwykle popularnego brytyjskiego dramatu wojennego „Secret Army” opowiadającego o fikcyjnym oddziale belgijskiego ruchu oporu, który w czasie II wojny pomaga dwóm zestrzelonym brytyjskim lotnikom wrócić do domu.

Stworzona przez Davida Crofta i Jeremy’ego Lloyda parodia przeniosła akcję do

• W serialu „Duchy” w wielkim domu mieszkają razem: gromadka duchów i żywe małżeństwo szukające sposobu na utrzymanie posiadłości

• David Mitchell w serialu „Ludwig” (2024), który można właśnie oglądać na kanale BBC First

okupowanej Francji i miasteczka Nouvion, a zwłaszcza do tamtejszej kawiarni. Ten lokal to jednocześnie ulubione miejsce rozrywki niemieckich oficerów i punkt operacyjny francuskiego ruchu oporu. Zaplanować nad chaosem wywołanym przez działania obu grup, stara się pragnący jedynie świętego spokoju René Artois (Gorden Kaye).

Serial „Allo 'Allo!” to przede wszystkim fenomenalnie wymyślone postaci. Obok René i jego wiecznie zazdrosnej żony Edith (Carmen Silvera) to m.in.: liderka ruchu oporu Michelle (Kirsten Cooke), samozwańczy mistrz przebieranek i fałszerz LeClerc (Jack Haig) oraz Crabtree (Arthur Bostrom) – brytyjski policjant udający francuskiego żandarma.

Obiektami żartów są też oczywiście żołnierze niemieccy: bezlitosny generał von Klinkerhoffen (Hilary Minster), nosząca bieleżnię w swastyki szeregowka Helga Geerhart (Kim Hartman), która jako sekretarka generała w istocie zbiera informacje dla swojego kochanka, kuśtykającego oficera gestapo Herr Flicka (Richard Gibson).

Są też nieudacznym asystent Herr Flicka, von Smallhausen (John Louis Mansi) i porucznik Hubert Gruber (Guy Siner) – pierwsza tak otwarcie homoseksualna postać pokazywana w brytyjskiej telewizji. Gruber wiele razy starał się – bezskutecznie – uwieść René, np. pokazując mu swój „mały czołg” (w istocie wóz opancerzony Sd.Kfz 222).

Serial chętnie używał seksualnych aluzji i mało wyrafinowanych gagów, które w kontekście wojennym wypadały znacznie zabawniej, niż mogłoby się wydawać. Np. jednym z kluczowych wątków fabularnych było odzyskanie zaginionego obrazu „Upadła Madonna z wielkim cycem” Van Kłompa.

Przebiegły plan

Inne spojrzenie na kwestie wojenne mieli Richard Curtis i Rowan Atkinson – twórcy „Czarnej żmii” (1983-89). Początkowo była to dość kosztowna produkcja – pierw-

szy sezon rozgrywający się w średniowiecznej Anglii miał rozmach quasi-epickiego filmu i był kręcony w plenerach. Kolejne sezony miały już bardziej oszczędną, studyjną formułę, ale lepsze tempo i dialogi. Przede wszystkim jednak zmieniała się w nich osobowość głównego bohatera.

Serial ma cztery sezony, a każdy rozgrywał się w innej epoce historycznej. Bohaterem każdego jest inny, choć tak samo nazywający się potomek rodu Blackadderów.

W pierwszym to książę Edmund, niezbyt rozgarnięty nadzorca królewskich szaletów. Ale już kolejni Edmundowie Czarne Żmije byli przebiegłymi, podobnie jak ich plany, cynicznymi oportunistami. We wszystkich znakomicie wcielał się Rowan Atkinson.

W każdym sezonie Czarna Żmija ma inny status społeczny i otoczenie – od nieudolnego księcia w średniowieczu, przez dworzanina Elżbiety I, oficera epoki regencji, aż po kapitana armii w okopach I wojny światowej. Stały motyw to jego relacja z przyglupim służącym Baldrickiem, którego pomysły zwykłe są idiotyczne, ale przynajmniej tanie.

Serial doskonale łączył historyczny pastisz, czarną komedię z typowymi przymiotami tamtejszego humoru. Wyśmiewał zarówno brytyjską historię, narodowe stereotypy, klasowość, jak i biurokrację. Nie bez powodu uważany jest za jeden z najlepszych seriali komediowych w historii.

Bukiet czy Żakiet?

Przenosimy o dekadę, żeby przypomnieć o serialu „Co ludzie powiedzą”. Stworzony przez Roya Clarke’a i emitowany w BBC w latach 1990-95 do dziś pozostaje niezwykle popularny.

Jego bohaterką jest brytyjska pani Dul-ska, Hiacynta Bukiet (Patricia Routledge) – snobistyczna i obsesyjnie dbająca o pozory pani domu z klasy średniej, która stara się uchodzić za prawdziwą damę. Oczywiście z komicznym skutkiem.

Serial opiera się na kontraście między jej ambicjami a prowincjonalną rzeczywistością, w której mocno osadzony jest jej zrezygnowany mąż Richard (Clive Swift). Kobieta stara się zaimponować sąsiadom, wikaremu czy komukolwiek, kogo uzna za wystarczająco bywałego i dobrze sytuowanego.

Często przeszkodą w tym jest jej własna rodzina: dwie siostry Stokrotka (Judy Cornwell) i Róża (Shirley Stelfox, potem Mary Millar) oraz jej liczni kochankowie, a także Powolniak (Geoffrey Hughes) – wiecznie pijany mąż Stokrotki. Rodzina Hiacynty wciąż nie potrafi pojąć, dlaczego ta cały czas przekręca nazwisko Żakiet na Bukiet, co jest dość sprytnym tłumaczeniem na polski gry słów między Bucket a Buké.

Jest też trzecia siostra – Wioletta (Anna Dawson), zaradna, pełna klasy i dobrze sytuowana. Hiacynta jej zazdrości i jednocześnie się nią chwali. Zwłaszcza tym, że „ma mercedesa, saunę i pokój dla kucyka”.

„Co ludzie powiedzą” to satyra na brytyjską klasowość i konwenanse oraz obsesję na punkcie społecznego statusu. Humor serialu, w odróżnieniu od wcześniej wymienionych, jest ciepły, wręcz familijny. Ale ironia się skrzy.

Kulty mniej znane

Z rzeczy bardziej współczesnych wymienić trzeba słynny „The Office” (2001), „Małą Brytanię” (2003) Matta Lucasa i Davida Williamsa oraz „Peep Show” (2003) Davida Mitchella i Robert Webb, u których w programie satyrycznym „The Mitchell and Webb Situation” pierwsze kroki stawiała Olivia Colman. A potem zagrała choćby w genialnym „Fleabag” (2016) Phoebe Waller-Bridge.

Na wspomnienie zasługuje też wyprzedzający swoje czasy sitcom „Spaced” (1999) Edgara Wrighta, Simona Pegga i Nicka Frosta, którzy dali światu później komediową słynną „trylogię Cornetto” („Wysyp żywych trupów”, „Hot Fuzz: Ostre psy” i „To już jest koniec”).

„Czarna żmija” to dla wielu najlepszy serial komediowy jaki powstał. Doskonale łączy historyczny pastisz z czarną komedią i ma wszystkie cechy definiujące brytyjski humor

Znakomici byli też „Technicy-magicy” (2006) ze świetnymi rolami Chrisa O’Dowda, Richarda Ayoade’go i Katherine Parkinson, a w późniejszych odcinkach też komediowego geniusza Matt’a Berry’ego. On z kolei kieruje nas do mało znanego, acz doskonałego serialu „Toast of London” (2012) o pozbawionym wyczucia i samokrytycznemu aktorze Stevenie Toaście.

Berry i Ayoade grali też w kultowym na Wyspach „Garth Marenghi’s Darkplace” (2004), który opowiadał o twórczości i życiu Gartha Merenghima (Matthew Holness) – fikcyjnego autora literackich horrorów. To już serial bardzo absurdalny, w mocno pythonowskim duchu.

Kilka lat później zdecydowanie najpopularniejsze okazały się „Duchy”.

Wakacje z duchami

To serial z 2019 r. stworzony przez grupę aktorów i scenarzystów znanych wcześniej z historycznej serii „Horrible Histories”, w której gagi miały łączyć walor edukacyjny z komedią.

„Duchy” mają doskonały punkt wyjścia: młode małżeństwo – Alison (Charlotte Ritchie) i Mike (Kiell Smith-Bynoe) – dostaje w spadku wiejską posiadłość Button House i chce urządzić pensjonat. Wkrótce okazuje się, że dom nie tylko wymaga generalne-

go remontu, ale jest też nawiedzony przez duchy z różnych epok.

To m.in. rażony piorunem prehistoryczny jaskiniowiec, czarownica spalona na stosie w XVII w., harcerz omyłkowo zastrzelony z łuku w 1984 r., dama, którą w 1912 r. mąż wyrzucił przez okno, zabity w pojedynku nadwrażliwy poeta z czasów regencji czy torysowski parlamentarzysta, który 1993 r. zmarł na zawał serca w czasie schadzki.

Reprezentują przekrój brytyjskiej historii i społeczeństwa, ze wszystkimi ich przyzwyczajeniami i charakterystycznymi manierami, co sprawia, że „Duchy” to komedia wyjątkowo świeża, a jednocześnie w prostej linii to krewniak takich seriali jak „Czarna żmija” czy „Allo! ‘Allo!”.

W serialu to absurdalny humor i mnóstwo ironii, ale też dużo ciepła, z którego znane są współczesne komedie amerykańskie, jak tamtejsze „The Office”, „Parks and Recreation” czy „Community”.

Humor „Duchów” nie przykrywa ich dojrzałego przesłania: wszyscy – fizyczni i nadprzyrodzeni – mieszkańcy posiadłości uczą się akceptować swoje liczne wady oraz pracować burzliwą przeszłość.

Brytyjczycy, jak widać, lubią mieszać komedię z innymi gatunkami. Czasem jest to kino historyczne albo coś z pogranicza horroru. Doskonale sprawdza się też kryminał. Tu dobrym przykładem jest serial „Ludwig”.

Tytuł nawiązuje do pseudonimu pewnego popularnego twórcy krzyżówek, Johna Taylora (David Mitchell), który pewnego dnia musi użyć swojej bogatej wiedzy do rozwiązywania nie łamigłówek, ale tajemniczych zbrodni. Wszystko dlatego, że jego brat bliźniak, James – detektyw z Cambridge – znika bez śladu, a John przejmując jego tożsamość, by odkryć prawdę. A że jest skrajnym introvertykiem – nie idzie mu to zbyt łatwo.

„Ludwig” spodobał się brytyjskim widzom, i był jednym z najchętniej oglądanych seriali BBC ubiegłego roku. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34369795

„WYBORCZA” NA MAJÓWKĘ

W ŚRODĘ 30 KWIETNIA**GRAŻYNA WOLSZCZAK:**

Opowiedziałam wszystkim o tym maratonie, żeby wstyd było się wycofać

PROF. MAREK ABRAMOWICZ:

Zastanawiam się, czy bez doświadczenia miłości i zazdrości umiałbym rozwiązać te równania z astrofizyki, które rozwiązałem

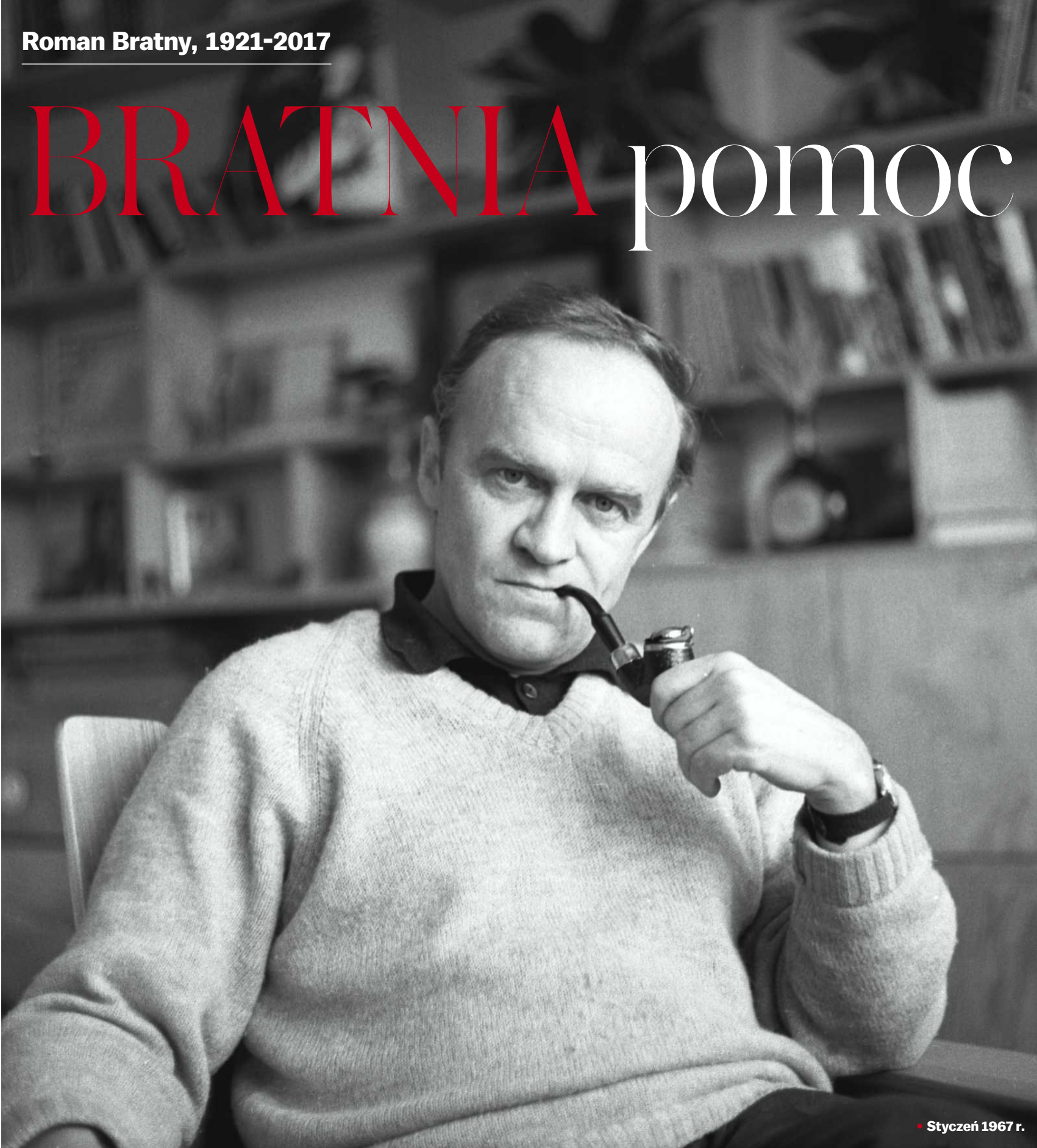
„JAN PIETRZAK, SZYMBORSKA, STUHR, PERSHING...”

Odwiedzamy restauratorów weteranów ze starej zakopianki

W PIĄTEK 2 MAJA**JULIA SZEREMETA:**

Szczerze, to miałam raczej wywalone. Imprezowałam sobie, a na treningach „tryb leniuszek”

Roman Bratny, 1921-2017



• Styczeń 1967 r.

Czytelnicy kochali go za „Kolumbów”. Ale on w stanie wojennym utłukł tę miłość, wydając plugawą powieść „Rok w trumnie”.

Janusz Anderman

Tak, Roman Bratny przez całe dorosłe życie garnął się do udzielania jak najdalej idącej pomocy. Ważne było, żeby ci, którym pomocy udzielał, byli silni, i by fakt niesienia pomocy zauważyli i docenili. Tak było z faszyzującą organizacją Miecz i Pług, do której w czasie okupacji należał, bo młodemu wówczas człowiekowi mogła się wydawać potężna; tak było z komunistyczną Polską Partią Robotniczą, do której czujnie wstąpił po powrocie z obozu jeńckiego; tak też było z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą, w którą się PPR w 1948 r. przepoczwarzyła, a której Bratny służył z oddaniem. Wielu czytelnikom teza, że mocno przysłużył się partii, pisząc „Kolumbów. Rocznik 20”, może się wydać co najmniej krzywdząca, ale to ko-

munistom ta książka była potrzebna. Janusz Głowacki pisał: „Podobno Gomułka po przeczytaniu »Kolumbów« Bratnego powiedział: »Mamy naszego Sienkiewicza«. Więc chyba zrozumiałe, że Bratny I sekretarza pokochał i uznał za wyrafinowanego znawcę literatury. Bratny uważał, że jeśli na jakiś temat nie pozwalają pisać całej prawdy, to lepiej pisać 60 proc. niż nic. (...) Dopiero po wybuchu »Solidarności« Bratny naprawdę popłynął, pisząc ten koszmarny »Rok w trumnie«”. Swoją najsłynniejszą książkę napisał Bratny błyskawicznie; nad tą olbrzymią objętościowo powieścią siedział od sierpnia 1955 do czerwca 1956 r. Dla czytelników stała się objawieniem. Weszła do kanonu lektur szkolnych i do 1989 r. miała 23 wydania, których nakład przekroczył 1 mln egzemplarzy. W sumie wypuszczono ich na rynek półtora miliona. Dlaczego władza aż tak eksponowała „Kolumbów”? Dlaczego karmiła ich treścią młodzież? Dlaczego jej się to opłacało? O tym później.

Bratny, rocznik 1921, zaangażował się w działalność konspiracyjną, kiedy po ukończeniu podchorążówki AK przystąpił do organizacji Miecz i Pług. Ruch Miecz i Pług utworzyli działacze chrześcijańsko-narodowi już w listopadzie 1939 r. Działacze ci z biegiem czasu uroili sobie, że po wojnie Pol-

■
Teza, że mocno przysłużył się partii, pisząc „Kolumbów. Rocznik 20”, może się wydać krzywdząca. Ale to komunistom ta książka była potrzebna

ska stanie na czele imperium słowiańskiego rozciągającego się od Bałtyku po Morze Czarne i dodatkowo wzbogaconego ziemiami na zachodzie i północy – od Odry i Nysy Łużyckiej po Śląsk, Gdańsk i Prusy Wschodnie. W dodatku Polska będzie mocarstwem z zamorskimi koloniami. Od początku Związek Walki Zbrojnej, przekształcony w lutym 1942 r. w Armię Krajową, zabiegał o włączenie Ruchu w swoje struktury, ale bezskutecznie, gdyż Ruch stawiał wiele warunków nie do spełnienia – m.in. w ramach struktur AK chciał dla siebie autonomii. Potem się okazało, że cztery osoby

ze ścisłego kierownictwa współpracowały z gestapo. Zostały zlikwidowane, a Delegatura Rządu na Kraj uznała kierownictwo Ruchu za niemiecką agenturę.

Gdy w styczniu 1944 r. Ruch wyraził chęć podporządkowania się AK, ta była bardzo ostrożna i w efekcie Ruch wszedł w skład Narodowych Sił Zbrojnych, które z kolei w lipcu 1944 scaliły się z AK.

Oddziały Miecza i Pluga i niektórzy żołnierze, którzy się z tej organizacji wywodzili, brali udział w powstaniu warszawskim.

Bratny obracał się także w kręgu poetów tworzących redakcję jedynej pisma literackiego, które ukazywało się regularnie – w latach od 1942 do 1944 i śmierci w powstaniu ostatniego redaktora naczelnego, poety Tadeusza Gajcego. Mowa o „Sztuce i Narodzie”.

Publicystyka tego pisma, podobnie jak Miecza i Pluga, snuła marzenia o imperium słowiańskim pod polskim przewodem. Mimo istotnego poziomu literackiego pismo wzbudzało mnóstwo kontrowersji. Niechęć wywoływała nacjonalistyczna i imperialna retoryka, którą posługiwali się publicyści. Poza tym odstręczali protektorzy wywodzący się z faszystującego i antysemickiego Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga” i Konfederacji Narodu.

W 1942 r. Bratny wydał tom poezji „Pogarda”. To wtedy użył tego pseudonimu, który po wojnie stał się jego nazwiskiem. Wcześniej nazywał się Mularczyk. Współpracował z pismem „Kuźnia”, a w 1944 r. był współzałożycielem „Dźwigar”.

Swoją kolizję z Bratnym opisałem przed laty pod tytułem „Poemat pedagogiczny” i by nie tracić czasu na streszczanie, ten poemat dołączam:

– Czy mogę pani zrobić zdjęcie? Na pamiątkę? – zapytałem dyrektorkę szkoły, zedjęcie moooszna zasze, odpowiedziała; ręce miała rozpostarte, jakby chciała mnie wziąć w ramiona, ale ona zwykle poruszała się po wąskich korytarzach niczym wychudłe ptaszysko z rozłożonymi skrzydłami; podpierała się w ten sposób o ściany, gdyż bała się utraty równowagi. Od rana była pijana i snuła się w mrokach szkoły; uczniowie przykucali tylko, gdy ich mijala, bo obawiali się, że tymi rękami zburzy ich misterne fryzury; był rok 1973.

Przypadłość dyrektorki nie robiła na nikim wrażenia; dyrektorka i tak, jako członek Komitetu Centralnego PZPR, była nie do ruszenia; przywykli.

Tego zdjęcia, na które się zgodziła, nie ma, bo ja nie miałem wówczas aparatu, ale udawałem, że je robię, i pamiętam ten kadr, i jej niewidzące oczy, i czarne tło korytarza, i przykucających uczniów.

Przez miesiąc miałem w szkole praktykę. W panice rozmyślałem o lekcjach, które muszę poprowadzić. Miało być tych lekcji osiem; wiedziałem, że moje talenty pedagogiczne nie pozwolą mi na przebrnięcie nawet jednej.

Zdjęcie dyrektorki zrobiłem, by dodać sobie odwagi przed decydującą próbą; na początek przez dwie godziny miałem w najstarszej klasie wykład na temat popularnej powieści Romana Bratnego. I gdy skończyła się przerwa, stałem oparty plecami o tablicę, 40 par oczu badało mnie jak rzadki okaz owada, uczennica w pierwszej ławce ze szklistym szelestem pończoch leniwie zalażyła nogę na nogę.

– Na początek, by mieć wspólny punkt wyjścia, chciałbym wam powiedzieć, dlaczego uważam tę powieść za wredną i szkodliwą...

Zapadła cisza, choć już wcześniej było cicho; ta cisza lepila się do mnie i krępowala myśli, i wtedy najodważniejszy uczeń w klasie wstał i hardo zapytał: czy pan jest sekretarzem zetemesu na Ujocie?

Zabulgotały tłumione śmiechy, uczeń usiadł, a ja jeszcze mocniej przywarłem plecami do tablicy i czułem, jak na żeglarskim płótnie mojej kurtki odbija się na wspaniałe słowo Bratny, wypisane w temacie lekcji.

FOT. PAP/ZBIGNIEW MATUSZEWSKI



■

*Janusz Głowacki:
„Podobno Gomulka
po przeczytaniu
»Kolumbów« Bratnego
powiedział:
»Mamy naszego
Sienkiewicza«,
Więc chyba rozumiacie,
że Bratny
I sekretarza pokochał”*

I gdy wydawało się, że na tym moja lekcja się skończy, zrozumiałem nagle, że obraziłem ich ukochanego autora, że oni Bratnego wielbią, bo fakt, że napisał o Armii Krajowej i powstaniu warszawskim, jest dla nich dowodem brawurowej odwagi i niepodważalnej uczciwości; oni zakładają, pomyślałem, że ta stale wznawiana lektura obowiązkowa cudem prześliznęła się przez ucho i oko cenzury, że Bratny, jak podstępny basior, prowadzi samotną walkę z polityką oświatową partii, a ktoś, kto nieudolnie próbuje go atakować, musi być przedstawicielem tych sił, które ich Bratnego chcą zdusić.

– W takim razie zaczynamy jeszcze raz – powiedziałem i oderwałem plecy od tablicy. – W takim razie najpierw opowiem o 17 września, o Związku Walki Zbrojnej, o AK, o powstaniu, o roli Związku Radzieckiego i partyzantki komunistycznej, która rozrosła się do monstrualnych rozmiarów, ale dopiero po wojnie, o WiN-ie, UB, losach akowców po wojnie, o Syberii i więzieniach, i morderstwach nowej władzy, a potem wrócę do wyjaśnienia, dlaczego powieść Bratnego uważam za wredną i szkodliwą.

– Bardzo przepraszam, ale tego nie ma w programie – odezwiała się nauczycielka, przycupnięta w ostatniej ławce.

– Bardzo przepraszam, że tego nie ma w programie – odpowiedziałem; uczeń, który zapytał mnie o zetemes, przygarbił się teraz i łowił słowa rozchylonymi ustami, a ja mówiłem im o tym, czym się interesowałem, czego dowiedziałem się z domu i z pierwszych wydawnictw emigracyjnych, do których miałem już dostęp.

– Bardzo przepraszam – odezwiała się nauczycielka, zanim zdążyłem dojść do tego, dlaczego powieść Bratnego uważam za wredną i szkodliwą – bardzo przepraszam, ale pan ignoruje plan lekcji i nie starczy czasu na jego realizację. O tych sprawach może pan mówić tylko prywatnie, jeśli pan chce, a teraz lekcję poprowadzę ja.

Ten prywatny czas przyszedł na przezwie; zanim nauczycielka wyszła, zbliżyła się do mnie na moment; wie pan, powiedział, ja pana rozumiem, ale niech pan

mnie zrozumie, ja chcę tu dalej pracować, rozumiemy się?

I wyszła, a uczniowie zostali i słuchali prywatnie o tych nieznanym i tajemniczych sprawach, i zdążyłem dojść do tego, dlaczego powieść Bratnego uważam za wredną i szkodliwą, i wtedy, gdy zabrzmiał dzwonek kończący przerwę, ktoś rzucił w stronę ucznia, który pytał mnie o Związek Młodzieży Socjalistycznej; i widzisz, bucu?

A gdy z ulgą zasiadłem w ostatniej ławce na miejscu nauczycielki i podniosłem głowę, ujrzałem przed sobą piękną Bożenę Śledzionę. Po jej policzkach pełgały łzy rumieńców; panie prosorze, wyszeptala, ja nie mam się do kogo zwrócić z moimi kłopotami, więc chciałam pana prosić zapytać, co ja mam zrobić w tej sytuacji; ja mam, panie prosorze, straszne problemy z orgazmem...

Powieść „Kolumbowie. Rocznik 20” składa się z trzech tomów. To „Śmierć po raz pierwszy”, „Śmierć po raz drugi” i „Życie”. Skąd tytuł „Kolumbowie”, który interpretatorzy rozciągnęli na całe pokolenie młodych powstańców? Jakie nowe światy oni odkrywali poza śmiercią powstańczej Warszawy i latami późniejszych represji? Tytuł powstał chyba w pośpiechu. Pseudonim „Kolumb” nosił jeden z powstańców. Wybrał go, ponieważ lubił pływać na składanym kajaku po Wiśle. Odkryć mógł jedynie nadbrzeżne łozy.

Pierwszy tom opisuje dzieje przedpowstaniowej konspiracji. Mamy tu pewien wygodny dla władzy podział: ideowi i odważni młodzi podchorążowie i ich już mniej jednoznaczni dowódcy. Przykład? Olo zdobywa niemal stukilową część rakiety V-L. Tuż przed godziną policyjną wiezie ją do rożka do swojego majora. Ten jest przestraszony i wściekły. „Panie podchorąży – szept Junoszy tężeje, jest niemal metalowy – to uraganie regulaminowi konspiracji. – Drzwi zamykają się przed nosem osłupiałego bohatera”.

Wcześniej Olo ponosi niemałe koszty, szpiegując w lasach fabrykę produkującą V-L. Ma tak duże wydatki, że nie stać go na mieszkanie. Wreszcie przełamuje się i prosi o pomoc: „Pan pułk... przyjął nawet łaskawie moje prośbę o zwrot owych kosztów, cóż, kiedy na tym spotkaniu się urwało”.

To typowa taktyka autora. Jednak co innego wzbudziło prawdziwą sensację wśród czytelników i niekłamany podziw dla odwagi Bratnego. Oto odbywa się konspiracyjne zebranie literackie. Jeden z gości mówi o zbrodni katyńskiej. Wizytował miejsce tragedii na zaproszenie Niemców. Teraz opowiada o zwałach trupów „poległych z sowieckiej ręki”.

Chyba nie było nikogo, kto by nie lał sobie głowy zagadką, jak takie zdanie w ogóle mogło przejść przez cenzurę. Istniał przecież jeden niepodważalny aż do upadku ZSRR pewnik: Katyń to dzieło niemieckie i to nie podlega żadnej dyskusji.

Bratny sam po latach opowiadał w wywiadzie, co cenzurę przekonało. Otóż tę relację składa pisarz Ferdynand Goetel, z rzadka funkcjonujący w propagandzie peerelowskiej wyłącznie jako kolaborant niemiecki, bo przecież jego nazwisko skazane było na zapomnienie. Goetel istotnie w 1943 r. pojechał do Katynia na zaproszenie Niemców, którzy odkryli masowe groby polskich oficerów.

Rzecz jasna, podobnie jak pisarz Józef Mackiewicz z Wilna, za aprobatą Delegatury Rządu na Kraj. Zaproszono go, gdyż był pisarzem znaczącym, a prócz tego członkiem Polskiej Akademii Literatury, prezesem polskiego PEN Clubu i Związku Zawodowego Literatów Polskich. W 1939 r. współpracował z prezydentem Warszawy Stefanem Starzyńskim. Dla ZSRR był bardzo niewygodnym świadkiem zbrodni katyńskiej.

W Polsce Lubelskiej rozesłano za nim listy gończe i przez rok ukrywał się w krakowskim klasztorze. Na jesieni 1945 r. udało mu się zbiec na Zachód, dzięki czemu

uratował życie. W czerwcu 1989 r. zarząd polskiego PEN Clubu stwierdził całkowitą bezzasadność zarzutów przeciwko niemu.

A więc mówiący w powieści o winie ZSRR za Katyń jest kolaborantem, który wybiela Niemców. To oczywiste, że ten skompromitowany osobnik, w dodatku działający przed wojną w skrajnie prawicowym Obozie Zjednoczenia Narodowego, któremu wymyślił nazwę, uprawia wrogą propagandę i w żadnym wypadku nie można mu wierzyć. Cenzura z tą argumentacją się zgodziła, a niewysoki Bratny urosł w oczach czytelników pod chmury.

Drugi tom „Kolumbów”, „Śmierć po raz drugi”, poświęcony jest powstaniu warszawskiemu. Bratny nie wdaje się tu w niuanse historyczne, ale skupia się na stworzeniu obrazu bohaterskiego pokolenia młodych patriotów, którzy bez wahania oddawali życie za ojczyznę. Tego nie można podważyć, ale poruszony bogatą akcją licealista nie miał chwili wytchnienia, by się zastanawiać nad genezą i sensem takiej ofiary.

Powstanie wybuchło 1 sierpnia 1944 r. Aż do tej daty trwały na najwyższym szczeblu spory o to, czy je rozpoczynać. Decyzję gen. Anders nazwie później zbrodnią. Było częścią akcji „Burza”, która rozpoczęła się w marcu ’44 na Wołyniu. Założenie polityczne było takie, że AK wyprze Niemców i powita nadciągającą Armię Czerwoną jako prawowity gospodarz tych terenów, podkreślając ich polskość. Zakładano naiwnie, że wzruszony Stalin przyjmie te raczej bez zastrzeżeń. Efekt końcowy? 20-30 tys. żołnierzy AK wywieziono do ZSRR. 50 tys. uwięziono.

W maju ’44 Komenda Główna AK w ramach akcji „Burza” postanowiła wyswobodzić Wilno, by Armia Czerwona wkroczyła do miasta z polską administracją. Efekt? 17 lipca NKWD aresztowało kadrę dowódczą AK. Oddziały wileńskie i nowogródzkie zostały otoczone i rozbrojone przez Rosjan. Cztery tysiące partyzantów osadzono w obozie, a potem wywieziono. Na koniec Rosjanie rozbili pozostałe oddziały partyzanckie.

Wreszcie przyszedł czas na Warszawę.

Owszem, Bratny pisze o niedostatkach. I o słabym uzbrojeniu, i o niedoli cywilów, i nawet o tym, że wśród walczących zdarzały się dzieci, choć nie wspomina, że dla regularnej armii dopuszczenie do udziału w walkach dzieci jest hańbą. Pisze, ale nie wdaje się w niewygodne szczegóły, które by mogły przyćmić heroizm powstańców.

Niedostatki uzbrojenia? W chwili wybuchu powstania walczący dysponowali niemal wyłącznie bronią ręczną i butelkami z benzyną. Jak wyliczyli historycy, posiadali 3846 pistoletów, 2629 karabinów, 657 pistoletów maszynowych, 145 ręcznych karabinów maszynowych, 47 ciężkich karabinów maszynowych itd. Amunicji mieli na dwa-trzy dni.

Co to oznaczało? Na ok. 36,5 tys. zmobilizowanych było 1,5-3,5 tys. uzbrojonych. A więc w dniu wybuchu powstania na 25 powstańców tylko jeden był uzbrojony. Jak to skwitował Delegat Rządu na Kraj Jan Stanisław Jankowski? – Nie mają broń, to sobie zdobędą.

Ważny był finał: powstanie musi się zakończyć zwycięstwem, by Armia Czerwona wkroczyła do stolicy zarządzanej już przez polską administrację, a wzruszony Stalin...

Efekt? 16 tys. zabitych, 20 tys. rannych, 15 tys. wziętych do niewoli. Nawet 200 tys. ofiar wśród ludności cywilnej i wyburzenie większości zabudowy lewobrzeżnej Warszawy. A potem, po wojnie, wywózki w głąb ZSRR z obozu NKWD w Rembertowie pod Warszawą, wyroki śmierci, wieloletnie prześladowania, więzienia.

W 1983 r. przy ul. Podwale w Warszawie stanął przerażający Pomnik Małego Powstańca. To postać kilkuletniego chłopca w za dużych butach i w olbrzymim hełmie na głowie. W rękach trzyma pistolet maszynowy. Dziś handluje się tym wizerunkiem nawet jako wesołą kolorowanąką dla przedszkolaków.

W powstaniu brało udział 5840 dzieci. Miały od 10 do 17 lat. Nie wiadomo, ile z nich zginęło, ile zostało kalekami. Bez wątplenia kalekami psychicznymi na całe życie zostały wszystkie. Po upadku powstania 49 powstańców w wieku 12-15 lat osadzono w obozie jenieckim.

O podobnych kwestiach Bratny nie wspomina. Pisząc książkę, musiał je znać.

Powstańcy warszawscy wykazują się bezprzykładowym heroizmem. A oficerowie u Bratnego? To często pajace. Ulicą idzie taki oficer, „obciśnięty w elegancki mundur”. Kciukiem podtrzymuje kaburę. Ale powstaniec wie, że kabura jest pusta: „Włożył tam mydelko i pastę do zębów. Tubka świetnie mieści się w miejscu na łufę...”.

Major. Jaki on tam major, wyjaśnia ktoś. „To był plutonowy nadterminowy – w NSZ-cie dostał porucznika. A teraz, jak była odprawa przed powstaniem, klęknął przed ichnim generałem i tylko zawołał: »Wodzu, prowadź!« – a tamten na to: »Majorze, wstań«. I gotów major...”.

Inny kapitan, na którego skarży się powstaniec po wyjściu z kanału: „Osiem godzin w kanałach, w gównie, a potem taki kwatermistrzowski kapitan nie wyda ci nowego kombinezonu!... – wykrzyknął oficer. – Po pierwsze: rotmistrz, a nie kapitan, po drugie: postawię do raportu, po trzecie: wody nie dam. – Szlachetna siwizna mignęła w zatraskujących się z hukiem drzwiach”.

Inny major. „Rzucił cicho przez ramię: – Cholernie piękni żołnierze te szesnastolatki...”.

O wywiadzie Komendy Głównej: „Czy wiesz, ile milionów dolarów wyasygnowali na rozszyfrowanie takiej V-1? Wydoili z nich, wydoili. A koszty całej imprezy nie musiały być takie znowu straszne”. Słucha tego wspomniany Olo, który musiał pracować V-1 za własne pieniądze.

Sam Bratny nosi w powstaniu pseudonim „Jerzy”. W walce, jak opisuje go, czy-

żołnierzy akowskiej konspiracji w budowę nowej Polski, wydobyć z więzień tych, którzy w nich wciąż przebywali, traktował jako swoją misję”. Realizacji tego projektu nie sposób sobie jednak wyobrazić, zwłaszcza tego wydobywania akowców z ubekich więzień.

Zabiega o uruchomienie dwutygodnika „Pokolenie”, co planował już w Paryżu, i pierwszy numer ukazuje się w sierpniu 1946 r. Ale choć pismo bez zastrzeżeń popiera władzę, a w skład redakcji wchodzi też zdeklarowani marksiści, nie spełnia jej oczekiwań i zostaje Bratnemu po wydaniu sześciu numerów odebrane. Potem, pod innym kierownictwem, ukaże się jeszcze numerów pięć.

Kilka lat później Roman Bratny włączy się w budowę sztuki socrealistycznej, a w jednym ze wzruszających wierszy, „Podanie do towarzysza Dzierżyńskiego”, będzie nieboszczyka upraszał o radę fundamentalnej wagi: „Towarzyszu Dzierżyński, powiedzcie/ – umieliście umrzeć i pozostać z nami –/ powiedzcie mi, jak żyć częściej/ niż raz jeden, i to z błędami”.

A jeszcze kilka lat później nastąpiła tzw. odwilż i Bratny runął do pisania „Kolumbów”.

Trzeci tom „Kolumbów” nosi tytuł „Życie”. Przedstawia losy Jerzego, czyli Bratnego, który robi wszystko, co potrafi, by nieść bratnią pomoc nowej władzy i ofiarne wznosić zręby nowego ustroju. Kraj to już nie imperium słowiańskie z zamorskimi koloniami, ale odwrotnie – kolonia radziecka. Jerzy wznosi więc zręby, ale obawia się tych ludzi podziemia, którzy chcieliby wytrącić mu młotek murarski z ręki. Tego samego bał się też Bratny. Dlatego, nie mogąc się doczekać wydania broni przez UB, na wszelki wypadek pożyczyl od byłego członka komunistycznej partyzantki Bohdana Czeszki radzieckiej konstrukcji pistolet.

Prezentuje też Bratny w „Życiu” losy towarzyszy broni, przyjaciół, którzy z niezrozumiałych dla niego przyczyn pozostali na Zachodzie. Czym się oni zajmowali? Z czego żyli? Ci jeszcze niedawno żarliwi ideowcy i patrioci kończą marnie. Dziś powiedzielibyśmy, że utworzyli zorganizowaną grupę przestępczą. Działają jak doświadczeni gangsterzy i oszuści.

Kiedy Bratny pisze „Życie”, więzienia opuszczają żołnierze AK. Ci, którzy przeżyli. Rozpoczynają się powroty akowców wywiezionych do ZSRR. Ci, którzy przetrwali lagry, skazywani byli na tzw. wieczyste osiedlenie. Po rewelacjach Chruszczowa na temat zbrodni Stalina reżim złagodniał i zaczęto ich wypuszczać z pułapek.

Bratny tego nawet nie próbuje zauważyć. To cynizm, bo wtedy, na fali odwilży, niejedno można było już przemycić. Może się wydawać nieprawdopodobne, ale żaden z dawnych towarzyszy broni Bratnego opisywanych w „Życiu” nie został aresztowany, nie był torturowany w śledztwie ani skazany. Wyjątkiem jest Malutki przebywający w kieleckim więzieniu. Ale więzienie w nocy z 4 na 5 sierpnia 1945 r. zostaje rozbite przez podziemie i Malutki wydo staje się poza mury.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że tamtym atakiem dowodził kpt. Antoni Heda, ps. „Szary”. Po aresztowaniu w 1948 r. dostał cztery wyroki śmierci zamienione na dożywocie. Wyszedł na mocy amnestii w 1956 r. W 1981 po wprowadzeniu stanu wojennego, jako działacz „Solidarności”, internowany w Białolece; miał wówczas 65 lat.

Szary to postać z definicji negatywna, bo antykomunista. Za to na kartach tomu pojawia się dla okraszy pozytywna postać radzieckiego pułkownika Kosolapkina. Zawsze to przyjemnie przeczytać takie mistrzowskie zdanie: „Pułkownik Kosolapkin, zakłopotany, podrapał się po włochatej piersi”.

Polacy zachłysłni się „Kolumbami”. Gorące uczucia spotęgował jeszcze oparty na środkowej części powieści serial Janusza Morgensterna z roku 1970.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Mieczysław Jastrun*

Zmartwychwstanie

(według starej pieśni)

*Zmartwychwstał dla nich ufnych ubogich
To stało się to jest
w równoczesności czasu na planecie
na której wczoraj-dzisiaj-jutro
leżą na równinie porośniętej trawą
na rozkopanej przez groby
pofalowanej z drugiej strony świata
górami*

*Stara pieśń zawodzi o tym
że zmartwychwstał jest
i płacze i zawodzi
i śmieje się i płacze*

*Podnosi ramię jak dźwignię
nowego świata
pochowanego w dawnym*

*Tak wierzą
więc nie umierają.*



***Mieczysław Jastrun** – 1903-83, poeta, eseista, prozaik, tłumacz. Autor licznych zbiorów wierszy, esejów filozoficzno-kulturowych i literackich oraz przekładów poezji francuskiej, niemieckiej i rosyjskiej. Wiersz za: Jastrun, tom „Punkty świecące”, PIW, Warszawa 1980.

Ale Bratny, niosąc później pomoc władzom stanu wojennego, utłukł tę miłość czytelników własnoręcznie, wydając w roku 1983 plugawą powieść „Rok w trumnie”. Rzecz tę można streścić w kilku zdaniach. W sierpniu 1981 r. morderca dostaje przepustkę z więzienia, dzięki czemu będzie mógł podreperować zdrowie. Na wolności przebywa do maja 1982. Z ulgą wraca za kraty, bo ten czas „S” był dla niego jak uwieszenie w trumnie. Tamta rzeczywistość napawała go obrzydzeniem: „Znaczy się babka klozetowa się cieszy, że jak jest Solidarność, to już nikt nie nasra na deskę”.

Władza doceniła pomoc. „Rok w trumnie” w sytuacji niemal zupełnego braku papieru osiągnął niebotyczny nakład 300 tys. egzemplarzy. Ale większość czytelników odrzuciła książkę z obrzydzeniem.

W roku 1978 Bratny wydał pierwszy tom „Pamiętnika moich książek”, w 1983 – już po „Roku w trumnie” – drugi. To rzecz, dzięki której mógł się lansować już nie poprzez swoich bohaterów literackich, za którymi się krył, ale wprost prezentować własne zalety.

Jaki autoportret namalował? Bratny składa się na nim z kilku postaci. Poza podstawową działalnością pisarską i publicystyczną to polski Hemingway, wytrawny myśliwy, który z łatwością dopadnie i zlikwiduje każde zwierzę, nawet na Syberii, gdzie bez przeszkód polował. To pies na baby; żadna nie potrafi mu się oprzeć. To człowiek wrażliwy na ludzką krzywdę.

Bratny w latach 1963-71 był zastępcą Janusza Wilhelmiego, złowrogiego redaktora naczelnego tygodnika „Kultura”; tytuł skradziono Jerzemu Giedroycowi. Pismo przez pierwsze lata jest przez środowisko literackie bojkotowane.

Początkujący reporter z Białegostoku Edward Redliński przysłał reportaż o miejscowym dygnitarzu partyjnym, który na podległym sobie terenie stworzył kumoterski gang. Dygnitarz dowiaduje się o reportażu i interweniuje w Warszawie. Wilhelmi tekst wycofuje z druku, dygnitarza przeprasza i zapewnia go, że pismo raz na zawsze rezygnuje ze współpracy z Redlińskim.

Bratny szaleje, ze wszystkich sił usiłuje pomóc nieznanemu reporterowi, ale po-

nieważ sprawa oparła się o Komitet Centralny, nic nie może zdziałać. Zatem na znak protestu rezygnuje z funkcji w redakcji. Łzy wzruszenia same cisną się do oczu. Ale może po ośmiu latach znudziło mu się dojeżdżanie z willi w Konstancinie do miasta i żmudna dłubanina w redakcji? Był człowiekiem zamożnym, taśmowe pisanie, liczne polowania i podróże po świecie zabierały mu cały czas, ale ta wzruszająca legenda tylko dodawała brązu jego pomnickowi.

Wreszcie namalował siebie Bratny jako człowieka szalenie odważnego, który w obronie prawdy nie cofnie się przed niczym i którego obawiają się towarzysze na najwyższych szczeblach.

Oto z niewiadomych przyczyn cenzura wstrzymuje Bratnemu wydanie książki „Życie raz jeszcze”, chociaż wcześniej powstał na jej podstawie film, a tu cenzura była bez porównania bardziej restrykcyjna. Co robi Bratny?

Udaje się do Zenona Kliszki, drugiej osoby w państwie po Gomułce, i grozi, że w razie dalszego wstrzymywania druku wycofa się z redakcji „Kultury”. Nakazuje towarzyszowi Zenonowi, by w jego obecności zadzwonił do szefa cenzury.

„Towarzysz Kliszko sapał ciężko, przerywanie. (...) Otworzył buteleczkę wody sodowej, wyjął z pudełeczka pigułkę, włożył do ust, jał nalewać wodę sodową do szklaneckki. Ręka mu się trzęsła ze zdenerwowania (...) wstał i udał się do telefonu. Porozmawiał, wydał dyspozycję”. Tego Bratnemu było mało: „No to jeszcze tylko telefon do prezesa »Książki i Wiedzy«”. Kliszko ostatkiem sił znów lyka pigułki i posłusznie telefonuje.

Ale kto dzisiaj pamięta jeszcze Zenona Kliszkę? Owszem, Bratnego przywołał wspomniany Emil Marat w imponującej, liczącej niemal 700 stron biografii. Ale ta książka, choć zatytułowana nazwiskiem Bratnego, to także bogato udokumentowany obraz kilku, od międzywojnia poczynając, epok historii Polski.

Pierwszoplanowa postać Bratnego jest tu przewodnikiem. Ale takim przewodnikiem, którego wycieczkowicze zwiedzający te różne Polski nie zawsze chcą słuchać z zainteresowaniem, bo nie do końca i bez zastrzeżeń mu wierzą. ●



• Émil Zola ze swoją kochanką Jeanne Rozerot oraz ich dziećmi, Denise i Jacques

FOT. MONDADORI COLLECTION/
UIG/BE&W

Bazanty

ÉMILA ZOLI

Gdy kochanka rodziła pisarzowi syna, on pojechał z żoną do wód.

Obie kochał, o obie dbał. A kiedy umarł, one wspólnie wychowywały jego dzieci.

Dorota Ronge-Juszczak

„Nigdy nikogo nie kochałem, jak tylko w snach i nigdy nikt mnie nie kochał. Nawet w snach. Choć czuję się zdolny do wielkiej miłości” – pisał w 1860 roku zgnębiony Émil Zola. Bez pieniędzy i bez pracy, w wieku 20 lat wciąż na garnuszku matki, wdowy po szalonym inżynierze Francescu Zoli, który zmarł nagle i pozostawił żonę oraz siedmioletniego wówczas syna bez środków do życia.

Urodził się w Paryżu, ale dzieciństwo spędził w Aix-en-Provence. Miał tam oddanych przyjaciół, wśród nich Paula Cézanne’a, i swobodne życie na łonie natury. Niechętnie wracał do stolicy, choć dzięki stypendium mógł się uczyć w liceum Saint-Louis. Nie czuł się dobrze wśród młodzieńców z paryskich domów, obytych i eleganckich, gdy on z matką, zapracowaną szwaczką, wciąż przenosili się do coraz gorszych mieszkań. Dużo czytał, marzył o dobrym wykształceniu, ale dwa razy oblał maturę, stracił stypendium i musiał szukać pracy. Chciał zostać pisarzem i napisać powieść o wielkiej miłości. Na razie głodny i samotny snuł się po Paryżu, cierpiał na bóle głowy i żołądka.

Swe pierwsze dzieło, „Bajki dla Ninon”, zaniósł do wydawnictwa Hetzel. „Monsieur, trzech wydawców odrzuciło ten manuskrypt, jednak zapewniam pana,

że mam talent”. Powieść została życzliwie przyjęta, zaczął pisać kolejną, a także artykuły do prasy, dzięki czemu przestał być anonimowy. Bronił artystów „odrzuconych”, bywał w środowisku dziennikarzy, pisarzy i paryskiej cyganerii. W 1864 roku zakochał się w Alexandrinie Meley.

I nie był to sen.

ALEXANDRINA

Urzekły go jej prawość, poczucie sprawiedliwości i siła przetrwania. Tak jak i on wiedziała, co to bieda, głód i upokorzenie. Miała osiem lat, gdy zmarła jej matka, ojciec ponownie się ożenił, a ona błąkała się po rodzinie. Dość wcześnie musiała radzić sobie sama. Urodziła córeczkę, którą oddała do sierocińca, bo nie miała pieniędzy. Ból z tego powodu dręczył ją do końca życia.

Była szwaczką, pozowała też malarzom – Paulowi Cézanne’owi i Eduardowi Manetowi. Kobieta brodząca w wodzie na obrazie Maneta „Śniadanie na trawie” to właśnie Alexandrina.

Matka Émila nie była zachwycona; pragnęła synowej, dzięki której jej Émil awansowałby w hierarchii

społecznej – na co przecież zasługiwał – a tymczasem przy tej biednej gryzeczce obsunął się jeszcze niżej. Dwie panie Zola nigdy się nie polubiły, jednak z miłości do Émila tolerowały się i dbały, by miał spokój do pracy i mógł zostać wielkim pisarzem.

Alexandrina dużo czytała, chodziła do teatru i muzeów, przysłuchiwała się rozmowom męża z gośćmi – w każdy czwartek – a były to największe nazwiska tamtej epoki: Flaubert, Goncourt, Cézanne, Manet, Maupassant. Poza tym wyśmienicie gotowała i potrafiła sama urządzać kolejne, z latami coraz droższe mieszkania. Edmond de Goncourt pokpiwał. „Za dużo mebli i bibelotów. To magazyn, a nie salon. Triumfujący Zola jest kimś w rodzaju nowicjusza, który zdobył niespodziewaną fortunę” – napisał w „Dzienniku”.

„Goncourtowie odziedziczyli pieniądze, ja doszedłem do nich sam, używając pióra, a bibeloty uwielbiam” – odparował pisarz.

Zolowie stworzyli dom, jakiego wcześniej żadne z nich nie miało, i nawet matka Émila po latach przyznała, że Alexandrina bardzo dba o jej syna. Brakowało tylko dziecka. Wspólne poszukiwania jej córeczki skończyły się niczym. Dziewczynka dawno temu zmarła.

W Mèdan znaleźli wiejski dom, który tak polubili, że mieszkali w nim przez większą część roku. „Kupiłem dom, a raczej klatkę dla królika, w uroczej dziurze nad Sekwaną, za dziewięć tysięcy franków. Mówię o cenie, żeby pan nie wpadł w nadmierny zachwyt nad tą chatką” – pisał Zola do Gustava Flauberta. Alexandrina zajęła się rozbudową, by móc przyjmować wszystkich gości. Zwłaszcza początkujący literaci, nierzadko głodni, łaknęli rozmów z guru naturalizmu. Dom otwarty wymagał pieniędzy, których Zola nie szczędził, i pracy. Jego żona wszystkiemu sprostала, także dzięki pomocy kucharki, pokojówki i ogrodnika.

Najbardziej lubiła śliczną Jeanne Rozerot, zawsze uśmiechniętą, posłuszną i umiejącą utrzymać porządek. Dziewczyna była szczęśliwa, że trafiła do dobrego domu, i oszołomiona, kiedy pan domu, ten wielki pisarz, zagadywał do niej, a nawet zapraszał na spacer, gdy pani była cierpiąca. Pani nie widziała w tym niczego niestosownego, zresztą jak mogłaby podejrzewać o cokolwiek mężczyznę „w jego wieku, z niezbyt ładną cerą, którego już od dawna nie interesowało nic poza pisaniem”?

W 1888 roku Goncourt zanotował: „Zola wyznał mi, że zbliżając się do pięćdziesiątki, ma marzenie, by mieć jeszcze w życiu jakieś przyjemności, a nie być tylko mężczynnikiem literatury... po chwili dodał »mojej żony tam nie ma... Nie mogę patrzeć na przechodzącą młodą dziewczynę i nie zapytać: czyż to nie jest lepsze niż książka?«”.

Książki dały mu sławę i pieniądze. Od 17 lat pisał dzieło życia, 20-tomową „Historię naturalną i społeczną rodziny za II Cesarstwa – Rougon Macquartów”. Stawiał czoła licznym skandalom, gdy krzyczało, że jego powieści „obrażały moralność, Kościół i poruszały tematy niegodne literatury”. „Po co pisać o biedzie, alkoholikach, robotnikach i kurtyzanach?” – oburzano się na salonach. Książki Zoli umieszczano na indeksie ksiąg zakazanych, a ludzie masowo je czytali. Powieść „Nana”, którą autor określił jako „poemat samczych pożądań”, w 1880 roku miała dziesięć wydań. Był wówczas, obok Lwa Tolstoja, najbardziej czytany pisarzem Europy.

„I to już wszystko, co życie może mi dać?” – pytał pisarz.

Przyjaciele nie mogli się nadziwić, gdy schudł 28 kilo, odświeżył garderobę i zapuścił włosy.

Jesienią 1888 roku Jeanne Rozerot podziękowała za pracę. Alexandrina była zdumiona. Gdzie ta dziewczyna znajdzie lepsze miejsce?

JEANNE

Znalazł je dla niej Émil Zola w Paryżu przy Saint-Lazare 66. W tajemnicy przed żoną wynajął tam dla Jeanne mieszkanie. Nie byli jeszcze kochankami. To stało się 11 grudnia i musiało olśnić pisarza, skoro po dziesięciu latach wciąż dziękował za „ten dar”.

Ileż to razy układał na kartach swych powieści miłosne i erotyczne sceny – niektórzy krytycy nazywali je pornograficznymi – ale zawsze wspierał się własną wyobraźnią. Dopiero teraz...

Zapewnił Jeanne pokojówkę, kucharkę, wytworne stroje, lekcje gry na pianinie i obdarował mnóstwem biżuterii. Nie śleczął już godzinami z piórem w rękę i zawsze był w dobrym humorze, co cieszyło Alexandrinę, która tak często niedomagała, że nie mogła towarzyszyć mężowi w wypadach do Paryża.

We wrześniu 1889 roku Jeanne urodziła córeczkę – Denise. Pisarz po raz pierwszy został ojcem, a szczęście tak go rozpięrało, że z trudem utrzymywał to w tajemnicy.

Dziecko – „nieznanego ojca” – zgłosił w urzędzie przyjaciel Henri Céard. Niebawem wiedział o tym cały Paryż.

Ale nie Mèdan.

Goncourt sztydził, że Zola „ma na boku małe gospodarstwo. Podobno ten stary mędrzec opowiada, że czuje przypływ młodości”. Goncourt zazdrościł Zoli sukcesów już nie tylko literackich, ale również miłosnych i miał nadzieję na wielki skandal. Musiał trochę poczekać. Zołowie razem mieszkali i podróżowali, co Alexandrina uwielbiała. A kiedy sama jechała do wód, Émil pisał do niej dwa razy dziennie listy pełne troski i czułości. Gdy urządziła kolejne mieszkanie, które miało przyćmić poprzednie, nie żałował pieniędzy i spełniał jej zachcianki.

Czuł się wobec niej tak bardzo winny, że nie odmówił wyjazdu do Lourdes, choć lada dzień Jeanne miała urodzić drugie dziecko. Niepokoił się i opiekę nad kochanką powierzył niezawodnemu Céardowi. Przekazał dokładne instrukcje. „W przypadku nieszczęścia, musi mnie pan zastąpić i natychmiast powiadomić” – pisał do udręczonego tą misją Céarda, który nie śmiał spojrzeć w oczy Alexandrinie.

„Kiedy będzie po wszystkim, niech pan zamieści



◀ Obraz Édouarda Maneta „Śniadanie na trawie” z 1863 roku. W postaci brodzącej w wodzie na drugim planie artysta uwiecznił Alexandrine Maley, żonę Émila Zoli

FOT. MUSÉE D'ORSAY

anons w »Le Figaro« podpisany Duval. Jeśli będzie chłopiec, niech pan napisze »bażant«, jeśli dziewczynka »bażancica«”.

28 września 1891 roku Émil Zola znalazł w „Le Figaro” wiadomość: „Bażant szczęśliwie dotarł 25 września. Duval”.

A więc ma syna. Ze wzruszenia uściskał żonę. „Mówiłam ci, że podróż dobrze nam zrobi, Loulou jest w tak dobrym humorze” – pisała zadowolona Alexandrina do kuzynki.

Był bliski wyznania prawdy. Ale co potem? Odejść od żony? Nigdy! Nie może jej zrobić takiej przykrości, była mu tak oddana, tyle razem przeżyli, i wojnę 1870 roku, i najgorszą biedę. Porzucić Jeanne? Kobietę, która go odmłodziła o 30 lat i dała mu dzieci? Nie, takiej przykrości nie zrobiłby sobie.

„Émil Zola jest poetą ciemnych głębin człowieka” – napisano w „Le Figaro” po wydaniu „Bestii ludzkiej”.

ŻONA WIELKIEGO PISARZA

Jego syn Jacques miał kilka tygodni, gdy pani Zola otrzymała anonimowy list. I nie mogła uwierzyć. Jej mąż i ta pokojówka! Trzy lata! Cały Paryż wiedział! Wszyscy, którzy bywali w jej domu, których karmiła i zabawiwała rozmową. Zola mamrotał niemrawe przeprosiny, ale kiedy żona zażądała zerwania z kochanką – odmówił. Upokorzona pojechała do Jeanne, zrobiła awanturę, wykradła listy i je spaliła.

Teraz najważniejsze było zachowanie pozorów. Oto jej warunki: w oczach świata nadal będzie panią Zola, jedyną żoną wielkiego pisarza, i to ona będzie mu wszędzie towarzyszyć. Dlatego niedługo razem wyjadą w zaplanowaną od dawna podróż do Belgii, a potem w kolejne.

Im dalej od Paryża, tym dalej od Jeanne.

On chciał tylko móc widywać dzieci.

Jeanne zrozumiała, że nadal będzie żyć w cieniu.

„Najdroższa, proszę, zaufaj mi – pisał do niej codziennie. – Wszystko się uspokoi, kryzys powoli mija. Nie ma chwili, żebym o Was nie myślał. Całuję z całego serca moje dwie małe dziewczynki i mojego małego chłopczyka. Kocham Was, kocham”.

Zraniona Alexandrina miewała ataki zazdrości i obsesyjnie kontrolowała męża. Ukojenie dawały jej podróże, zwłaszcza do Włoch, gdzie Zola był tak popularny, że kiedyś przyjął ich sam król Umberto, więc jego żona bywała w arystokratycznych domach, a Émil w listach przypominał, by wzięła ciepły

szal i „sprawiała sobie jak najwięcej przyjemności, nie licząc się z pieniędzmi”. Czasami wspomniał coś o dzieciach, ona przywoziła im drobne upominki. Zdawało się, że najgorsze minęło, gdy w 1893 roku ukazał się ostatni tom „Rougon Macquartów” – „Doktor Pascal”. Całkiem banalna historia: tytułowy bohater uwikłał się w namiętny romans z młodszą o 30 lat Klotyldą. Krótko mówiąc, Émil Zola ze szczegółami opisał swoją miłość do Jeanne i zadedykował to dzieło „Drogiej Żonie”.

Droga żona poczytała, jak wielkie uczucie łączy jej męża z Jeanne, i zrozumiała, że ona, stara i schorowana, może albo odejść, albo się z tym pogodzić; więc odejdzie. Potrafi jeszcze szyc. „Właściwie widzimy się tylko przy śniadaniu, zamienimy raptem kilka słów” – zwierzyła się Julii Daudet, a Goncourt odhaczył to w „Dzienniku”.

Pojechali jeszcze razem do Londynu, gdzie przyjmowano ich po królewsku. Na przyjęciu w Covent Garden przemawiał Oscar Wilde, a na herbatkach u ladies ona snuła opowieści, jak to jest być żoną pisarza.

Wspaniale jest!

Więc nadal nią będzie!

„Najdroższa Jeanne, opisuję Ci to, gdyż cały czas myślałem o Was, że w jakimś zakątku Francji są trzy tak drogie mi istoty i nie dzielą tu ze mną mojej sławy – pisał w tym czasie Zola z Londynu. – A przecież chciałbym, abyś Ty i nasze dwa skarby były jej częścią. (...) Chciałbym sprawić Ci trochę radości, a nie skazywać na pustelnicze życie”.

Alexandrina zapragnęła poznać Denise i Jacques’a. „Kochanie, byłabyś tak dobra i podesłała mi dzieci jutro we wtorek” – zwracał się do Jeanne.

„Nigdy nie wracaliśmy z tych spotkań z pustymi rękami. Ta dama zawsze dawała nam prezenty, zwłaszcza gdy wracała z Włoch” – wspomni dorosła już Denise, która wówczas nie miała pojęcia, kim jest kobieta, która tak czule się nimi zajmowała i nazywała Coco i Poulet.

„Rozmawialiśmy wczoraj u Daudeta o nieszczęsnej pani Zoli spacerującej z dziećmi, które jej mąż ma z pokojówką” – plotkował Goncourt.

Co czuła wówczas Jeanne? Nikt jej o to nie pytał. „Nie jestem szczęśliwy – pisał do niej Émil. – Podwójne życie, jakie muszę wieść, powoduje, że wpadam w depresję. (...) Marzyłem, by wszyscy wokół mnie byli szczęśliwi, ale widzę, że nie jest to możliwe”.

Godząc się na obecność w swym życiu Jeanne i dzieci, Alexandrina poczuła się silniejsza. Gdy wybuchła afera Dreyfusa, była gotowa.

Nie jestem szczęśliwy. Podwójne życie, jakie muszę wieść, powoduje że wpadam w depresję. Marzyłem, by wszyscy wokół mnie byli szczęśliwi, ale widzę, że nie jest to możliwe – pisał Zola do kochanki

J'ACCUSE!

Alfred Dreyfus, francuski oficer pochodzenia żydowskiego, w 1894 roku został skazany na dożywocie za szpiegostwo. Kiedy wyszło na jaw, że dowody przeciw niemu sfalszowano, władze francuskie z obawy przed kompromitacją usiłowały sprawę zatuszować. Émil Zola napisał wówczas (w 1898 roku) list otwarty do prezydenta Francji opublikowany w „L'Aurore” pod tytułem „J'accuse!” (oskarżam).

Z imienia i nazwiska oskarżył w nim polityków i wojskowych dowódców o skazanie niewinnego człowieka, za co sam został oskarżony o zniesławienie i skazany na rok więzienia i grzywnę. Antyżydowska prasa i tłumy przed sądem krzyczały: „Śmierć Zoli, zdracom i Żydom!”.

Za namową adwokatów, by uniknąć więzienia i móc dalej pisać o sprawie, prosto z sądu wyjechał do Anglii, gdzie spędził prawie rok. Zapłakana Alexandrina zdążyła mu donieść trochę bielizny i pieniędzy. Zmieniał miejsca pobytu i meldował się pod fikcyjnymi nazwiskami. Nie mówił po angielsku, czuł się zagubiony i tęsknił. Alexandrina zgodziła się, aby najpierw odwiedziła go Jeanne z dziećmi. „Wciąż nam powtarzano, że mamy być grzeczni, z nikim nie rozmawiać, i że pojedziemy do naszego papy do Rosji – zapamiętała Denise. – Wyjechaliśmy w nocy, nawet nasza niania nie wiedziała dokąd. (...) Nigdy nie zapomnę tego widoku, gdy otwały się drzwi białego domku, a w progu stał nasz najdroższy papa z otwartymi ramionami”.

„Zapewniam Cię, że nigdy nie zapomnę Twego wielkiego serca w tych smutnych okolicznościach” – dziękował żonie.

Z emigracji napisał do niej ponad 80 listów – przewozili je przyjaciele – w których nie tylko tęsknił i niepokoił się o jej zdrowie. Pani Zola miała na głowie dziesiątki spraw z wydawcami, tłumaczami, honorariami, domami, pod którymi urządzano wrogie Zoli demonstracje, i śledzeniem sprawy Dreyfusa.

Tyleż samo listów otrzymała Jeanne. Tam najważniejsze były dzieci, ogromna tęsknota i ciągle ostrzeżenia, by nie zdradzić miejsca pobytu pisarza.

W 1899 roku Francja była zmuszona wznowić sprawę Dreyfusa (uniewinniono go i zrehabilitowano dopiero w 1906 roku) i Émil Zola mógł wrócić. Dzielił czas między dwie rodziny. Lubił zajmować się dziećmi; na lato wynajmował dla nich dom niedaleko Médan, a kiedy nie mógł tam pójść, obserwował ich przez lornetkę. Jeśli w pobliżu nie było żony.

OBUDZIŁ FRANCJĘ

Wrzesień 1902 był chłodny, więc napalili w kominku. W nocy Alexandrinę obudził ból głowy, Zola wstał, by otworzyć okno, ale upadł i stracił przytomność. Chwilę po nim to samo spotkało Alexandrinę. Służący odkryli ich następnego dnia. Émil Zola już nie żył, zatrut się czadem, jego żona odzyskała przytomność w szpitalu. Gdy usłyszała, że mąż nie żyje, poprosiła, by powiadomiono madame Jeanne Rozerot.

Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadziły pisarza tysiące Francuzów, wśród nich górnicy skandujący: „Germinal, Germinal!”, i Alfred Dreyfus, a także młoda kobieta w czerni tuląca dwoje zapłakanych dzieci. Alexandrina nie była w stanie pójść na pogrzeb.

„Émil Zola był dobrym i głęboko moralnym człowiekiem, który walczył z chorobą naszych czasów – z władzą pieniądza. A jego odważne słowa obudziły Francję” – mówił nad grobem Anatol France.

DOBRA PRZYJACIÓŁKA

Alexandrina została sama. „Nie mogę spać, kochanie, kiedy jesteś smutna” – pisał do niej jeszcze z Anglii mąż. To nie będzie już się smucić, żeby on mógł spokojnie spać. Zresztą wcale nie jest sama, bo są dzieci, które Émil tak kochał i z miłości do niego musi o nie zadbać.



• Alexandrine, żona Émila Zoli w 1900 roku

FOT. ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

Na początek ustaliła kwartalną rentę w wysokości 6 tys. franków, dziś to 27 tys. euro.

„Sześć tysięcy, to nam zupełnie wystarczy, jestem Pani ogromnie wdzięczna” – pisała wzruszona Jeanne.

„Niech się Pani nie obawia, zostało mi jeszcze parę lat życia i będę Pani pomagała, (...) abyśmy we dwie mogły spełnić marzenie ich ojca” – odpisała madame Zola i ruszyła do urzędów, by załatwić sprawę najważniejszą: prawo do nazwiska ojca.

W 1907 roku Denise i Jacques mogli przyjąć nazwisko Émil-Zola. „Będą je nosić z godnością, a Panią otaczać czułością i szacunkiem” – zapewniała Jeanne.

Jacques został lekarzem, Denise – pisarką dla dzieci. Ich studia, jak również trzyletnie leczenie Jacquesa z powodu gruźlicy kości, opłacała Alexandrina. „Wydaje mi się, że wszystko, co robię, robię dla niego, i to przynosi ulgę mojemu bólowi” – pisała do Jeanne.

Pokochała dzieci męża i do końca życia miała z nimi, a potem z ich dziećmi, serdeczne relacje. „Kochane dzieci, jesteście jedynym promykiem słońca, jaki mi pozostał” – mówiła. Oni od dawna nazywali ją Dobrą Przyjaciółką.

Z czasem zaprzyjaźniła się również z ich matką. Wspólnie ustalały wszystko, co dotyczyło „naszych dzieci”. Nigdy nie zrobiła aluzji dotyczącej przeszłości. O Émilu Zoli obie mówiły: „ojciec naszych dzieci”.

Zlikwidowała dom w Médan i sprzedała większość jego wyposażenia: książki, obrazy, antyczne rzeźby, meble, dywany... razem 700 przedmiotów. Dom podarowała gminie, która zorganizowała tam żłobek. W 1965 roku powstanie tam Muzeum Émila Zoli z salą poświęconą pamięci Dreyfusa. Pieniędźmi – było to obecne 694 tys. euro – podzieliła się z dziećmi. „Robię to z miłości do mojego męża” – powtarzała zdziwionym.

W 1908 roku „cała rodzina” razem z Alfredem Dreyfusem szła za trumną Émila Zoli, gdy jego prochy przenoszono do Panteonu. Towarzyszyły im tłumy Paryżan i wrogie okrzyki: „Precz z Żydami!”, „Precz z Zolą!”. Próbowano zakłócić tę uroczystość, a dziennikarz prawicowej gazety strzelał do Dreyfusa; zranił go w ramię.

Jeanne Rozerot zmarła w 1914 roku. Czy była szczęśliwa? Kochała i była kochana, ale wciąż żyła w cieniu, najpierw pisarza, potem jego żony.

Alexandrina odeszła we wrześniu 1925 roku w wieku 85 lat. Wszystko, w tym prawa autorskie, zapisała Denise i Jacques'owi oraz Fundacji Émila Zoli. Spoczęła na cmentarzu Montmartre, obok grobu, w którym kiedyś leżał jej najdroższy Loulou. „Miejsce, które zajmował, ma pozostać wolne; gdyby się zdarzyło, że będzie musiał wrócić” – zaznaczyła w testamentcie. ●

Bibliografia: E. Zola, „Lettres à Alexandrine”, 2014, E. Zola, „Lettres à Jeanne Rozerot”, 2004, Évelyne Bloch-Dano, „Madame Zola”, 1997, Denise Le Blond-Zola, „Emile Zola raconté par sa fille”, 1931, Henri Troyat, „Zola”, 1992.

Antypolityka historyczna

Spowiedź i wolność

Obraz policjantów ścigających dzieci nielegalnie idące się wypowiadać jest tak groteskowy, że już widzę wysyp memów.

Janowski



Jeśli mi ktokolwiek powiedział dwa lata temu, że będzie w Polsce poważnie omawiany projekt ustawowego zakazu przystępowania dzieci i młodzieży do spowiedzi, to pomyślałbym, że ten ktoś nasłuchał się jakichś najbardziej nawiedzonych ultraprawicowych blogerów roztaczających ponure wizje prześladowania polskości i katolicyzmu po zwycięstwie Tuska.

Pomyśl, wart jedynie wyśmiania, był poważnie dyskutowany, chociaż sprzeciwia się podstawowym zasadom wolnego państwa.

Ludzie, zasadniczo rzecz biorąc, mają prawo zarządzania sobie życia, jak chcą. Biologiczna konieczność wymaga, aby przez pewien czas ktoś z zewnątrz decydował o wychowaniu dzieci; z wyjątkiem sytuacji patologicznych zawsze lepiej jest, aby tym kimś byli rodzice niż państwo.

Oczywiście istnieje zagrożenie, że ksiądz w konfesjonale powie lub zrobi coś okropnego. Jest zadaniem rodziców i wychowawców wychulenie dzieci na wszelkie formy nagabywania czy molestowania seksualnego, nauczanie ich odpowiednich reakcji – przede wszystkim natychmiastowego poinformowania bliskich.

Ale założenie, że uchroni się dziecko przed zagrożeniem, pozbawiając je kontaktów, jest utopijne – trzeba je nauczyć ostrożności, a nie odcinać je od innych. Niedawno czytałem w „Wyborczej” o nauczycielkach w żłobku męczących dzieci, dawniej – o nadużyciach nauczycieli w szkołach i wychowawców harcerskich; z tego nie wynika, że należy ustawowo zakazać posyłania dzieci do żłobka czy przedszkola, do szkoły czy harcerstwa.

Świadomie nie wchodzę w dyskusję, czy spowiedź uszna dzieci jest sensowna; czy podniesienie przez Kościół wieku pierwszej spowiedzi nie byłoby rozsądne (myślę, że byłoby). Kwestia, czy spowiedź jest sensowna czy nie, czy religia katolicka jest prawdziwa czy fałszywa, jest tu całkowicie bez znaczenia. To nie są sprawy do rozstrzygnięcia przez państwo. Wystarczy, że dla katolików spowiedź jest jednym z sakramentów, a więc (obok chrztu, komunii św. i jeszcze kilku ważnych obrzędów) jednym z centralnych

punktów ich religii. Miliony katolików w Polsce słusznie odczuwają ten zakaz jako prześladowanie religijne. W dyskusjach zupełnie po orwellowsku określano zakaz jako wyzwolenie dzieci od spowiedzi, jakby pomijając fakt, że istnieją dzieci czy młodzi ludzie autentycznie religijni, którzy mają wewnętrzną potrzebę od czasu do czasu się wypowiadać.

Kościół, zarówno jako instytucja, jak i jako jednostki, zrobił u nas ostatnio wiele złych rzeczy i robi je nadal, więc jego obrona jest trudna i moralnie dwuznaczna. U mnie dochodzi jeszcze ta niezręczna okoliczność, że jestem (coming out!) praktykującym katolikiem, a więc w oczywisty sposób brak mi potrzebnego dystansu.

Tego tekstu nie piszę jednak ze względów religijnych. Kościołowi ani katolicyzmowi taki zakaz nie zaszkodzi. Obraz policjantów ścigających dzieci nielegalnie idące się wypowiadać jest tak groteskowy, że oczami duszy już widzę wysyp bardzo ślicznych memów i karykatur. Właściwie wszyscy prawicowcy powinni modlić się gorąco, aby ten zakaz wprowadzono – trudno byłoby o większą autokompromitację jego zwolenników. Nawet w czasach stalinowskich nie było zakazu przystępowania do sakramentów.

Zakaz utwierdziłby zwolenników prawicy w przekonaniu, że wszelkie liberalne hasła obrony wolności, wszelkie śpiewy na marszach KOD-u „wolność kocham i rozumiem” są cyniczną grą w celu zdobycia władzy i uciśku przeciwników. Przede wszystkim jednak oznaczałby moralny upadek liberałów wyrzekających się swej podstawowej zasady – że wolność jest dla wszystkich, nie tylko dla swoich. To jest experimentum crucis, kluczowy test decydujący: albo jest się liberałem, albo nie.

Aleksander Świętochowski, czołowy polski antyklerykał przełomu XIX i XX wieku, kilkakrotnie rozwodnik, którym straszono pobożnych wiernych z ambon, napisał kiedyś świetny tekst na temat poparcia, jakiego niemieccy liberałowie udzielili Kulturkampfowi – walce rządu z Kościołem katolickim. „Najliberalniejszy żywioł, jeśli będzie bezwzględny, stanie się tyrańskim. [...] Wszelki liberalizm traci grunt pod nogami z chwilą, w której go wyrwa przeciwnikom. [...]”. Niemieccy liberałowie chcą „odbierać katolikom swobodę w imię... swobody. [...] Zaiste, lepiej usłużyli sprawie postępu ci, którzy nie uczęszczając na msze i nie przystępując do sakramentów, głosowali za mszami i sakramentami”. ●

Maciej Janowski
– historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

Dzisiaj zastanawiam się, ilu Brytyjczyków naprawdę wie o paleniu i czyszczeniu świadectw przeszłości ich państwa. Ilu z nich zdaje sobie sprawę, jaką rolę ich bohaterowie i fachowcy w służbie cywilnej odgrywali w próbach oddziaływania na sposób pisania historii?” – to słowa historyczki Caroline Elkins, autorki monumentalnego dzieła „Dziedzictwo przemocy. Historia imperium brytyjskiego”. Elkins jest Amerykanką, wykładowczynią Harvardu, Afrykanistką, ale bierze udział w brytyjskich dyskusjach, w których jej głos się liczy, czego najlepszym dowodem laury przyznawane przez tygodnik „The Economist”.

Gdy nie tak dawno widzieliśmy migawki z Wielkiej Brytanii, jak niszczone były pomniki m.in. Winstona Churchilla, trudno było ukryć zaskoczenie. Wydawało się, że akurat Churchill – ze względu na jego dokonania w czasie II wojny światowej – cieszy się sporym szacunkiem. Jednak młode pokolenia Brytyjczyków widzą w nim głównie rasistę.

Temperatura sporów historycznych na Wyspach jest gorąca, zwłaszcza że wiele spraw kończy się w sądach, które biorą na świadków historyków. Także Elkins zeznawała w Royal Courts of Justice w sprawie pięciorga Kenijczyków, którzy oskarżyli rząd (wówczas) Jej Królewskiej Mości o usystematyzowaną przemoc, gdy w Kenii brutalnie tłumiony był ruch Mau Mau. Działo się to w latach 50. XX wieku, czyli po wojnie, ale Brytyjczycy osadzali wówczas ludzi w obozach koncentracyjnych. Elkins pisze, że podczas procesu władze i archiwiści wykazali się zbiorową amnezją.

W Wielkiej Brytanii rozgorzała wówczas batalia o ujawnienie dokumentów przechowywanych w teczkach, które z jakiś powodów, znanych tylko rządowi, nie były dostępne dla badaczy. Materiały, które znaleziono wówczas w Hanslope Park, m.in. na temat działalności MI5 werbującej brytyjskich intelektualistów, przyciągały uwagę dziennikarzy podobnie jak w Polsce ujawniane przez IPN dokumenty i materiały dotyczące Jedwabnego czy tajnych współpracowników komunistycznej bezpieki.

Ostatecznie szef brytyjskiej dyplomacji William Hague przyznał w 2013 roku w Izbie Gmin, że „Kenijczycy byli poddawani torturom i innym formom złego traktowania ze strony kolonialnej administracji”. Hague wyraził też ubolewanie i żal z powodu opóźniania przemocą uzyskania przez Kenię niepodległości.

Historyczne spory toczone w Wielkiej Brytanii dotyczą tak jak w Polsce „dobrego imienia”. Gdy nad Wisłą pytano: Jedwabne czy Westerplatte, nad Tamizą pytano: brzemię białego człowieka czy imperium przemocy? Nawet były laburzystowski premier Gordon Brown bronił wówczas swych krajan przed pedagogiką wstydu, mówiąc: „Myślę, że powinniśmy raczej sławić znaczną część naszej przeszłości, niż za nią przeproszać, i powinniśmy mówić, zupełnie słusznie, o brytyjskich wartościach”.

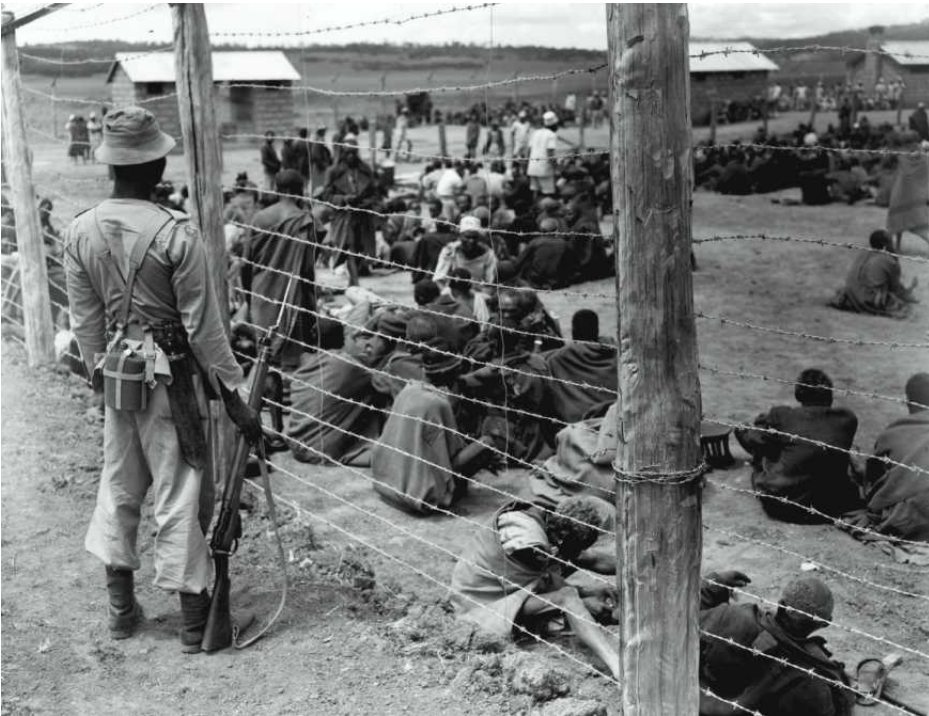
W dyskusji brali udział – po stronie imperium m.in. znany w Polsce autor Niall Ferguson, a sama debata była pożywką dla populistów pokroju Nigela Farage’a. Wszyscy oni twierdzili, że imperium brytyjskie zaproponowało światu najwspanialszy wzór ustroju i cywilizacji, który cały Zachód mógł skopiować. Ale i po drugiej stronie nie brak było świetnych nazwisk – jak William Darlymple obnażający w swych wydawanych także w Polsce książkach brytyjskie rządy w Indiach i nieudolną politykę wobec Afganistanu czy Calder Walton pokazujący, jak brytyjskie służby specjalne sterowały procesem dekolonizacji.

Elkins nie opisuje całości dziejów imperium Brytyjczyków. Jej książka skupia się

DOKOPAĆ *imperium*

Historyczne spory toczone w Wielkiej Brytanii dotyczą tak jak w Polsce „dobrego imienia”.

Andrzej Brzeziecki



• Kenia, 3 grudnia 1952 roku. Oboz koncentracyjny, w którym władze brytyjskie przetrzymywały członkowie plemienia Kikuyu podejrzanych o udział w rebelii Mau Mau

FOT. STROUD/EXPRESS/GETTY IMAGES

na wiekach XIX i XX, gdy Wielka Brytania zdawała się prekursorem współczesnej liberalnej demokracji z jej poszanowaniem praw jednostki jako ważnym elementem, oraz właśnie na dzisiejszych sporach o pamięć. Wszystkie nasze wyobrażenia na temat łagodnego imperium były – wyjaśnia Elkins – jedynie złudzeniami. Sugeruje także, że Orwell, opisując dystopijny świat „Roku 1984”, niekoniecznie musiał czerpać wzorce z hitleryzmu albo stalinizmu. Miał ich całkiem sporo pod ręką, zwłaszcza jeśli idzie o dwulicowość, czyli dwójmyślenie.

„Po drugiej wojnie światowej wielu Brytyjczyków było wyczerpanych i desperacko próbowało odbudowywać kraj. Obojętność na brutalne metody stosowane w imperium była jego zmorą, podobnie jak wojowniczy imperialny nacjonalizm, który przetrwał w wielu brytyjskich kręgach – pisze autorka. I dodaje: „Warunki kulturowe dojrzały do powstania orwellowskiego świata, ale zakorzenionego w liberalizmie, nie w faszyzmie”.

Wielka Brytania, przygotowując się do uznania niepodległości swych kolonii, starała się, aby ich nowe rządy były wobec niej lojalne. To znaczyło, że wszelkie ideologie i ruchy polityczne mogące podważyć tę lojalność – jak komunizm – były bezwzględnie tępione zarówno przez odchodzących Brytyjczyków, jak i przez wyszkoloną przez nich nową administrację, zależną od wsparcia z Londynu. Był to gotowy przepis na wojny domowe i rządy autorytarne. Nie raz sprawy przybierały dramatyczny obrót – ofiary walk na Malajach szły w tysiące, w Indiach zaś funkcjonujące dość zgodnie przez stulecia światy Islamu i hinduski zostały poróżnione przez brytyjski liberalizm.

Skończyło się na podziale kraju na dwa państwa: Indie oraz Pakistan.

„Szacuje się, że liczba ofiar śmiertelnych podziału Indii wyniosła od jednego do dwóch milionów. Tym, którzy przeżyli, groziły epidemie cholery i tyfusu w ośrodkach dla uchodźców, które zdaniem jednego z lekarzy były »śmietniskami ludzi«”.

Elkins przekonuje w „Dziedzictwie przemocy”, że za wspaniałą, jakby można sądzić, ideą liberalnego imperializmu stały zwykły rasizm, który przeżył nawet hitlerowskie Niemcy, przemoc, okrucieństwo i wyzysk. Autorka na ponad 700 stronach pokazuje, że Wielka Brytania wcale nie umiała elegancko pożegnać się ze swoim imperium, jak do niedawna sądzono. Po prostu Londyn zadbał, by cały świat tak sądził. W rzeczywistości proces dekolonizacji był bolesny, jego ofiary liczone w tysiącach, a rola brytyjskich służb specjalnych w krajach wybijających się na niepodległość, miast maleć, rosła.

Brytyjczycy po 1945 roku pozostali rasistami. Byli także ciągle przekonani, że choć ich imperium się chwieje, to nadal znajduje się na szczycie „cywilizacyjnej hierarchii”. Dlatego uważali, że krwawe tłumienie buntów w Kenii i innych punktach świata to „niezbędny element Pax Britannica”, a brutalność jest nieodłącznym składnikiem misji cywilizacyjnej.

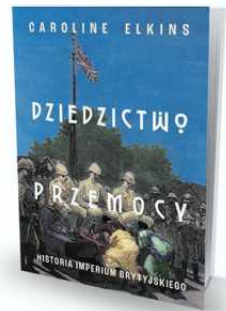
I choć w warunkach wolności słowa przeciętny Brytyjczyk mógł łatwo się zorientować, że nie ma tu mowy o incydentach, lecz o poważnym zjawisku w wielu krajach, to po pierwsze – niewiele go to

obchodziło, a po drugie – brytyjska administracja starannie pilnowała, by jej wizerunek zanadto nie ucierpiał. Falszowaniem historii – zdaniem Elkins – zajmowała się cała maszyna państwowa, zarówno w (byłych) koloniach, jak i w metropolii. Marka liberalnego imperializmu była chroniona niczym największy skarb. Nawet gdy ludzie tacy jak Reginald Dyer byli odpowiedzialni za masakry, w których ginęło po kilkaset osób, jak w Indiach w Jallianwala Bagh w 1919 roku, narzucano wersję korzystną dla Wielkiej Brytanii i de facto uniewinniano odpowiedzialne za nie jednostki. Winnych owego „zalegalizowanego bezprawia” nie spotykały żadne dotkliwe kary, co powyżej przesuwano ich na inne stanowiska i obniżano uposażenie.

Liczne ekspedycje karne i stany wyjątkowe służyły utrzymaniu brytyjskiej dominacji na ziemiach rozsianych na kilku kontynentach. Elkins poświęciła dekadę, by zebrać materiał do swojej pracy, która ukazuje przemoc jako główną cechę brytyjskiego imperializmu. W pewnym sensie autorka proponuje nam mecz do jednej bramki. Jej wysiłek wydaje się godny szacunku, choć cele – nie do końca. Widać, że chce „dokopać” brytyjskiemu imperializmowi, wszakko interpretując na niekorzyść Albionu. Pokazuje krok po kroku, jak okrutny był ów liberalny imperializm, pomija jednak dobre efekty panowania Brytyjczyków w wielu krajach i ich oddziaływania w jeszcze większej grupie państw. W epoce totalitaryzmów Pax Britannica wyróżniał się jednak na korzyść.

Lektura książki Elkins daje podobny efekt jak wiele pojawiających się w Polsce książek na temat historii ludowej. Cechuje ją zresztą podobnie dość emocjonalny i oceniający język, co skutkować może zachwianiem wiary w obiektywizm autorki. Jej książka to „pedagogika wstydu” najwyższej próby. Dobrze jest poznać jej zdanie. Nie twierdzę, że ma rację, ba!, wydaje mi się, że Amerykanka zbyt surowo ocenia Brytyjczyków, ale warto skonfrontować jej opinię z wizerunkiem Wielkiej Brytanii i brytyjskiego imperium, jakim byliśmy karmieni przez dziesięciolecia przez książki i filmy.

I tu dochodzimy do sedna sprawy: czytając o licznych okrucieństwach Brytyjczyków, których dopuszczali się w koloniach, można by wzruszyć ramionami: nie nasz cyrk, nie nasze małpy. Lecz gdy uświadomimy sobie, że imperium brytyjskie zbudowało faktycznie podwaliny współczesnego zachodniego świata, znanego nam stylu życia, sprawa staje się poważniejsza niż nasze spory o dolę pańszczyźnianych chłopów. Bo imperium brytyjskie dało światu znacznie więcej niż pas kontuszowy, portret trumienny czy specyficzną ideę wolności jednostki wyrażającą się w liberum veto oraz w prawie do zawiązywania konfederacji. ●



Dziedzictwo przemocy. Historia imperium brytyjskiego

Caroline Elkins
przekład Marek Fedyszak
Znak Horyzont, Kraków 2025

Życie Niemca należy do Niemiec! W Trzeciej Rzeszy to państwo decydowało, kto ma prawo się zabić. Ale naziści w ostatnich miesiącach wojny sami uciekali w śmierć.

Joanna Banaś

Od 1918 do 1945 roku samobójstwa były w Niemczech nie tylko problemem społecznym, ale i orężem w walce o władzę.

Przedstawiciele różnych partii próbowali szukać ich przyczyn w polityce społecznej i gospodarczej rządzących.

Tymczasem już na przełomie wieków zaczęto mówić o wzroście liczby samobójstw jako skutku urbanizacji. Pisma katolickie ich przyczyn upatrywały w modernizacji i sekularyzacji życia społecznego.

W 1918 roku, po klęsce Niemiec w Wielkiej Wojnie, upadku monarchii i powstaniu republiki, życie odbierali sobie narodowcy, jak Karl, starszy brat Baldura von Schiracha, późniejszego szefa Hitlerjugend. Wysoką liczbą samobójstw posługiwali się w walce propagandowej ze zwolennikami republiki. Natomiast lewica oskarżała kapitalizm jako przyczynę samobójstw.

O PSIE, CO URATOWAŁ CZŁOWIEKA

Liczba aktów samobójczych w Niemczech rosła od połowy lat 20. Podczas hiperinflacji częściej zabijały się kobiety w wieku 30-50 lat, których codziennym obowiązkiem były zakupy. Ale też emeryci, których oszczędności z dnia na dzień wyparowały. Władze postanowiły zapobiegać temu zjawisku – policjanci patrolowali nabrzeża w poszukiwaniu desperatów. Pastor Gerhard Füllkrug już w 1925 roku stworzył komisję do badania i zapobiegania samobójstwom. Uważał samobójstwa za chorobę narodową. Winą za nie obciążał głównie bezrobocie, ale także filmy propagujące swobodny styl życia. 1 maja 1926 roku jego komisja ogłosiła konkurs literacki na temat samobójstwa. Prace okazały się tak kiepskie, że literaci zasiadający w jury odmówili przyznania nagród. Konkurs miał jednak nieoczekiwane skutki – wielu mężczyzn pisało do pastora z prośbą o pieniądze, grożąc, że inaczej się zabiją.

Rok później, w kolejnej edycji, główną nagrodę wygrała autorka opowiadania o mężczyźnie, który chce skoczyć z mostu, ale ratuje go pies.

W 1937 roku komisja została rozwiązana – naziści uznali, że ich polityka zlikwidowała wszystkie społeczne problemy, więc Niemcy nie będą się już zabijać.

Nazistowskie pisma, jak wydawany przez Josepha Goebbelsa „Der Angriff”, winnymi nędzy czasów republiki czyniły amerykańskiego przedsiębiorcę i polityka Owena

Younga i jego plan splat reparacji nałożonych na Niemcy po I wojnie. Adolf Hitler przyczynę samobójstw widział w braku przestrzeni życiowej rodaków: „62 miliony Niemców żyją na 460 tys. metrów kwadratowych!”, ubolewał 13 lipca 1928 roku. Już jako kanclerz w maju 1933 roku krzychał w Reichstagu: „Od podpisania traktatu [wersalskiego] jedynie z biedy i nędzy życie odebrało sobie 224,9 tys. mężczyzn i kobiet, starców i dzieci!”.

SAMOBÓJSTWA NIEGODNE NIEMCA

U schyłku Republiki Weimarskiej, gdy wielu Niemcom żyło się szczególnie ciężko (6 mln bezrobotnych w 1932 roku), gazety poświęcały coraz więcej uwagi rosnącej liczbie samobójstw. Barwnie opisywane przypadki odbierania sobie życia z powodu nieszczęśliwej miłości naziści tłumaczyli rozwiązłością seksualną, zapowiadając, że narodowosocjalistyczne państwo wychowa nowych, zdrowych obywateli. Gdy już objęli władzę, informacje o samobójstwach popełnianych z powodów kryzysów emocjonalnych posłużyły tezie, że w Trzeciej Rzeszy zabijają się tylko chorzy i zdegenerowani. Znany leksykon pod hasłem „samobójstwo” umieścił obietnicę ich likwidacji dzięki zagwarantowaniu zdrowia rasowego i dziedzicznego, troski o zdrowy styl życia, wycho-

waniu do dzielności i pocucia własnej wartości.

W 1929 roku nazistowski publicysta Ludwig Binz pisał w gadzinówce „Völkischer Beobachter”, że byłoby wygodniej, gdyby przestępcom dać możliwość odebrania sobie życia, zamiast organizować egzekucje. W 1934 roku podczas obrad komisji ds. reformy prawa zaproponowano, by skazanym na śmierć dawać do wypicia truciznę, jeśli nie chcą zawisnąć. Pomysł upadł.

Naziści przypisywali sobie prawo do decydowania, kto może odebrać sobie życie, a komu należy je odebrać w imię naprawy społeczeństwa. Jego dobru miała służyć akcja T4 – „eliminacja życia niewartego życia”, czyli mordowanie osób chorych psychicznie i nieuleczalnie oraz niepełnosprawnych. Natomiast samobójstwa „pełnowartościowych” obywateli uznano za szkodzenie społeczeństwu.

Szef SS Heinrich Himmler uważał samobójstwa za zagrożenie dla rasy germańskiej. W 1939 roku uznał, że w 90 proc. ich powody są „niedorzeczne”.

Zabronił członkom SS uczestniczyć w pogrzebach kolegów, którzy zabili się z powodu nieszczęśliwej miłości czy obawy przed karą.

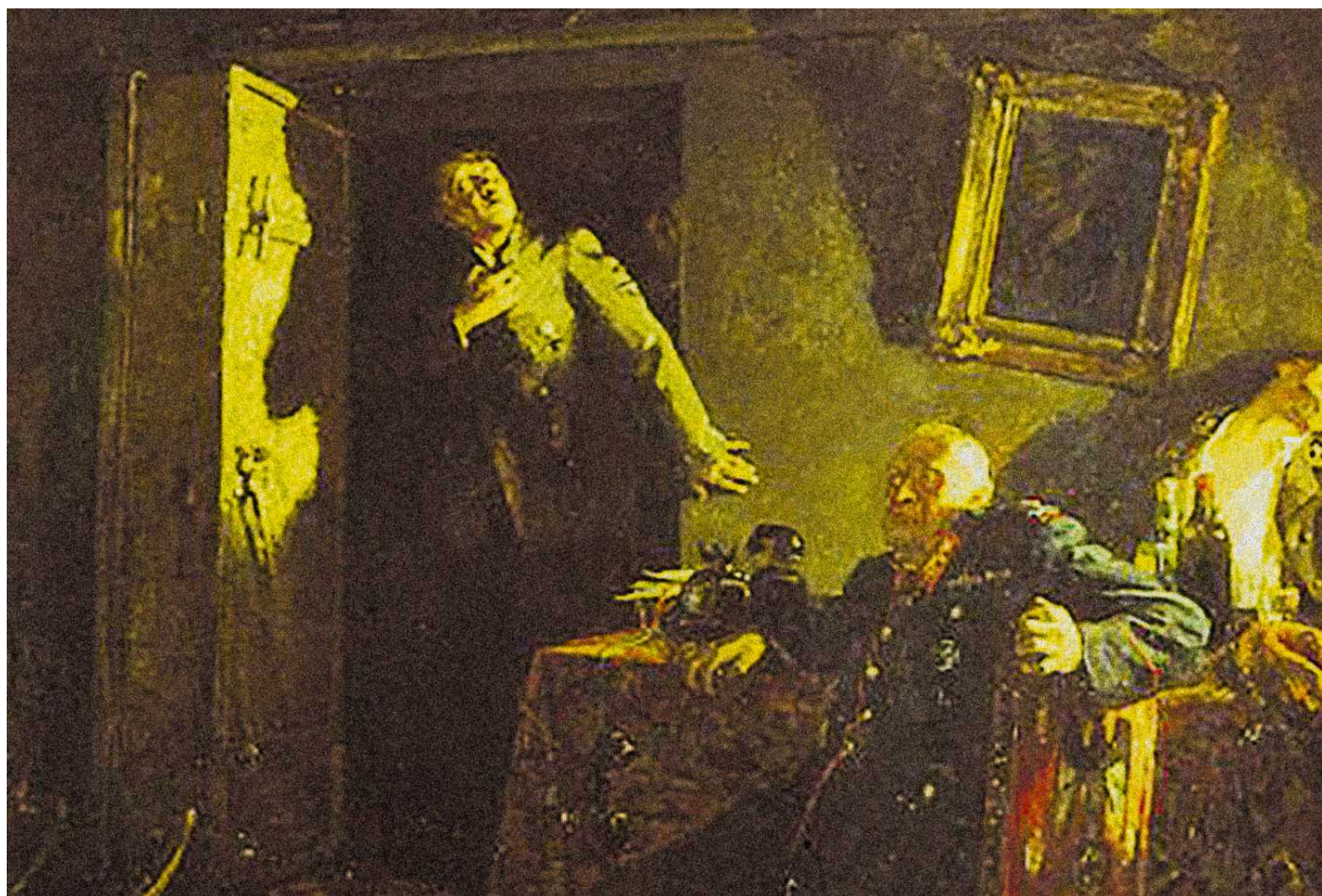
Od 1941 roku żołnierzy samobójców nie można było chować obok ich dzielnych kolegów, należało to zrobić w innych rejonach cmentarzy. Ich rodzinom nie wypłacano odszkodowań, chyba że lekarze wojskowi stwierdzili

jakieś uzasadnione przyczyny odebrania sobie życia. Jednak kiedy w 1944 pewien oficer zastrzelił się załamany tym, że pobił na śmierć Rosjankę, wściekły Himmler oznajmił, że odtąd on osobiście będzie decydował, czy rodzinie zmarłego należy się renta. A gdy SS-Brigadeführer Karl Fritsch, były minister spraw wewnętrznych Saksonii, zabił się w kwietniu 1944 roku po ujawnieniu jego romansu, Himmler rozkazał usunąć emblematy SS z jego grobu.

W Niemczech aż do 1939 roku podawano informacje o liczbie samobójstw. Okazało się, że w czasie rządów Hitlera było ich mniej więcej tyle, ile pod koniec istnienia republiki, chociaż bezrobocie znacznie spadło. Statystyki preparowano, by wynikało z nich, że wśród powodów dominowały depresja i nieuleczalna choroba, a mało było samobójstw z powodu biedy. Zabijali się więc tylko słabi i zdegenerowani. Starannie ukrywano samobójstwa członkowie NSDAP, szczególnie prominentnych. Gdy więc brat ministra zdrowia Leonarda Contiego się postrzelił, a następnie dla pewności strzeliła do niego żona, sprawę wyciszone i obyło się bez procesu.

PRZESTĘPCZA MISTYFIKACJA

Policja nie badała starannie przypadków śmierci socjaldemokratów czy komunistów dręczonych i zaszczuwanych



Trzecia Rze CZAS APOKAL



• „Koniec”, obraz sowieckiej grupy artystycznej Kukryniksy (Michail Kuprijanow, Porfirij Kryłow, Nikołaj Sokołow) z 1947 roku, przedstawiający wyobrażenie śmierci przywódców hitlerowskich Niemiec w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy

FOT. BE&W

SZA IPSY

przez nazistów. Niektórych po prostu mordowano, fingując samobójstwa. Wygodnie było potem stwierdzić, że mieli problemy psychiczne. Niektórzy woleli odebrać sobie życie, byle nie wpaść w łapy gestapo. Natomiast schwytanych często zachęcano do samobójstwa – do cel wkładano im nawet powrozy. W obozach koncentracyjnych i więzieniach sięgano po takie metody, ponieważ do wybuchu wojny nie wolno było zabijać osadzonych. Nie zmienia to faktu, że więźniowie naprawdę odbierali sobie życie pod wpływem tortur lub gdy nie chcieli nikogo wydać.

W obawie przed represjami zabijali się homoseksualiści. Osobną kwestią były samobójstwa Żydów, którym odbierano kolejne prawa, a od 1941 roku zabroniono emigracji i deportowano ich na wschód.

Po wybuchu wojny liczba samobójstw spadła. Normalne zjawisko: społeczeństwo mobilizuje się przeciw wspólnemu wrogowi. Poza tym na wojnie łatwo o śmierć uznaną za bohaterską, a w rzeczywistości samobójczą, jak wystawienie się na kule. Tendencja utrzymywała się do 1942 roku, póki w marcu alianci nie zaczęli bombardować niemieckich miast i w narodzie wzrosło poczucie zagrożenia

ŻYCIE OBOWIĄZKIEM WOBEC NARODU

Miedzy 1 kwietnia 1939 a 30 września 1941 roku odnotowano 1196 samo-

bójstw w armii, dwa lata później już 6898. W maju 1944, po licznych porażkach Wehrmachtu, Martin Bormann, szef NSDAP, w liście do adiutanta Himmlera ubolewał z powodu dużej liczby samobójstw wśród żołnierzy. „Życie pojedynczego człowieka należy do narodu. Nie może samowolnie zakończyć swojego życia. Jeśli to robi, zapomina o obowiązku wobec narodu, szczególnie podczas wojny” – pisał. W lipcu stworzył projekt dekretu przeciw samobójstwom.

Dla narodowych socjalistów samobójstwo było czynem tchórzowskim. Zdaniem Bormanna nieudane próby powinny być zatem karane śmiercią (sic!). Nie wprowadzono takiego przepisu, ale przekaz był jednoznaczny: cywile i żołnierze muszą walczyć do ostatniego strzału. Decyzję o własnym życiu można podejmować tylko w krytycznych okolicznościach – np. gdy grozi wzięcie do niewoli, szczególnie sowieckiej. Takie samobójstwo Bormann uważał za honorowe, nie-mał obowiązkowe.

Pisząc dekret, musiał pamiętać o feldmarszałku Friedrichu Paulusie, dowódcy 6. Armii, który nie chciał zabić się „honorowo” pod Stalingradem. 31 stycznia 1943 roku dał się wziąć do niewoli razem ze 100 tys. żołnierzy. Podczas odprawy z generałami Hitler był wściekły, że Paulus się nie zastrześlił, by stać się wzorem dla żołnierzy.

W CIENIU WALKIRII

Po nieudanym zamachu na Hitlera w Wilczym Szańcu 20 lipca 1944 roku samobójstwo popełniło wielu spiskowców. Niektórzy zgodnie z oficerską tradycją prosili swoich dowódców o możliwość odebrania sobie życia i ją uzyskali, jak generał Ludwig Beck. Strzelił do siebie dwukrotnie, a ponieważ nadal żył, dowódca kazał go dobić. Także oficer łącznikowy spiskowców Hans-Ulrich von Oertzen zabijał się na raty: po spuszczeniu w toalecie kompromitujących materiałów odpalił granat, który tylko urwał mu rękę. Nie poddał się: trzymając zębami zawleczkę, odpalił drugi ładunek.

Jeden z najważniejszych spiskowców, generał Carl-Heinrich von Stülpnagel, postrzelil się w głowę, ale jedynie stracił wzrok. Zawieziono go do więzienia, 30 sierpnia został skazany na śmierć i powieszony.

Feldmarszałek Erwin Rommel, bohater kampanii afrykańskiej, dostał wybór: samobójstwo albo proces. Urządzono mu pogrzeb z honorami, bo wybrał opcję wygodną dla władz – truciznę. Proces popularnego dowódcy byłby szkodliwy propagandowo.

Im gorzej szło Niemcom na froncie, tym bardziej nasilał się terror. Defetyzm karano śmiercią. Pewna 25-letnia sekretarka zwolniona z pracy za defetystyczną uwagę wołała odkręcić gaz niż czekać, aż przyjdzie gestapo. Ta atmosfera wpłynęła na wzrost liczby samobójstw pod koniec wojny.

BESTIE ZE WSCHODU

Wiele samobójstw miało związek ze zbliżaniem się Armii Czerwonej. Obawy potęgowała nazistowska propaganda, wykorzystując przykład Nemmersdorfu, wsi w Prusach Wschodnich, w którym 21 października 1944 roku Sowietci zamordowali 26 osób. Dobę później wieś odbił Wehrmacht, a zbrodnię wykorzystał Joseph Goebbels – zwiózł na miejsce dziennikarzy, którzy fotografowali i filmowali ciała rzekomo zgwałconych kobiet, które w rzeczywistości minister propagandy

kazał wcześniej obnażyć. Znacznie zawyżono liczbę ofiar.

Masowe gwałty rzeczywiście przyszły – w lutym 1945 roku. Kobiety zabijały się w obawie przed nimi i już gdy padły ich ofiarami. Szacuje się, że Sowietci skrzywdzili od 20 do 100 tys. kobiet w samym Berlinie, z których ok. 10 tys. zmarło wskutek przemocy i samobójstw.

Na nic zdały się starania duchownych, którzy przekonywali wiernych, że samobójstwo jest aktem niemoralnym. Pastor ze wsi Schivelbein na Pomorzu zanotował w marcu: „Cale religijne rodziny odbierały sobie życie, razem się wieszały, podcinały sobie żyły lub podpalały się w domach”.

CYJANEK NA WAGĘ ZŁOTA

Raport Służby Bezpieczeństwa z marca 1945 roku mówił o wzmożonym popycie na trucizny, broń palną i inne środki służące odbieraniu sobie życia. Szef jednej z firm farmaceutycznych opowiadał pod koniec stycznia, że jeden ze „złotych bażantów” (partyjnych bonzów) zażądał w jego laboratorium trucizny na potrzeby Kancelarii Rzeszy.

28 lutego 1945 roku w przemówieniu radiowym Goebbels oznajmił, że w razie klęski zakończy życie swoje i swojej rodziny, bo jeśli wróg zwycięży, to życie „nie będzie już warte dalszej egzystencji, ani dla mnie, ani dla moich dzieci”.

W Berlinie kulminacja samobójstw przypadła na kwiecień, zabiło się wówczas co najmniej 3881 osób, czyli 242,7 osoby na 100 tys., pięciokrotnie więcej niż w poprzednich latach. W całym 1945 roku w Berlinie zgłoszono 7057 przypadków, prawdopodobnie to liczba zaniżona.

12 kwietnia odbył się jeden z ostatnich przed kapitulacją koncertów Filharmoników Berlińskich, po którym, jak opowiadano, członkowie Hitlerjugend wręczali chętnym widzom kapsułki z cyjankiem potasu. Rozdawano je też w miejskim wydziale zdrowia. Cyjanek był pożądanym prezentem – Hitler dał kapsułki swoim sekretarkom tuż przed własnym samobójstwem. W czasie 80-dniowego obłężenia Festung Breslau popełniono w mieście 2-3 tys. samobójstw. Dziennie zabijało się od 25 do 40 osób. „Dokąd mamy teraz iść? Nie ma dla nas miejsca ani po tej, ani po tamtej stronie Odry. Najlepiej od razu skoczyć do rzeki” – mówili niektórzy.

6 maja w bunkrze Volkssturmu na osiedlu Nadodrze po słowach: „Niemcy są stracone. Europa zmierza w przepaść i nie ma już więcej miejsca na tej ziemi dla starego kapitana spadochroniarzy”, dowódca batalionu strzelców strzelił sobie w głowę w obecności ludzi, którymi dowodził.

NAJWIĘKSZE ZBIOROWE SAMOBÓJSTWO

15-tysięczny Demmin na Pomorzu Przednim było zwykłym niemieckim miasteczkiem – w czasach nazistowskich organizowano tam marsze z pochodniami, prześladowano Żydów i komunistów. W wyborach do Reichstagu w marcu 1933 NSDAP uzyskała w tu lepszy wynik niż średnio w landzie: 53,7 proc. (4429 głosów).

Na przełomie kwietnia i maja 1945 w mieście doszło do największego w dziejach Niemiec masowego samobójstwa. Prywatny rejestr córki ogrodnika cmentarnego dokumentuje 612 zgonów, badania urzędnika rejestrowego wykazały ich 927. Wielu

zmarłych prawdopodobnie nigdy nie zgłoszono – w Demminie przebywało wówczas wielu uciekinierów ze wschodu Rzeszy.

Gdy 30 kwietnia do miasta weszli żołnierze radzieccy, uciekający Wehrmacht wysadził mosty, zamykając w pułapce mieszkańców wspólnie z Sowietami. I chociaż nie zamierzali oni stawać w Demminie, tylko pędzić do Rostocku, z konieczności zostali w mieście. A wtedy zaczęli rabować, podpalać i gwałcić.

Wybuchła zbiorowa histeria: ludzie topili się, wieszali, strzelali do siebie, łykali truciznę, cięli żyłkami. Często najpierw zabijali swoje dzieci. Matki wchodziły do wody z niemowlętami w ramionach, prowadząc starsze dzieci z plecakami obciążonymi kamieniami. Ciała pływały w okalających miasteczko trzech rzekach, zanim zostały pogrzebane w masowych grobach. Zabrakło trumien, więc chowano je w kartonowych pudłach lub poszewkach na koldry.

Zdaniem Floriana Hubera, autora książki „Kind, versprich mir, dass du dich erschießt” (Dziecko, obiecaj mi, że się zastrzelisz), do podobnych tragedii doszło też w wielu innych miastach północno-wschodnich Niemiec. Huber szacował, że w Neustrelitz zabiło się nawet 300 osób, w Neubrandenburgu – około 100, we Friedlandzie 500, w Teterow ponad 100. W ciągu kilku dni umierały całe rodziny.

W Stavenhagen tamtejszy urząd stanu cywilnego odnotował w kwietniu 1945 roku 23 zgony, w maju 20. Ale między 27 kwietnia a 21 maja była luka uzupełniona dopiero po wojnie: dopiero w listopadzie zgłoszono 84 zgony z tego okresu, a w grudniu kolejne 33. Najwięcej, 56 osób, miało umrzeć 1 maja, 28 zmarło 2 maja, dzień później – 21. Umierali wszyscy mieszkańcy poszczególnych mieszkań, wyjaśnieniem mogą być jedynie zbiorowe samobójstwa. Pewna kobieta zgłosiła śmierć siedmiu osób z jednego lokalu, inna poinformowała o śmierci brata, jego żony, rodziców, trzech siostr i jedenaściorga dzieci w wieku od 11 lat do roku. Wszyscy zmarli 1 maja.

TAK UMIERAJĄ „ZŁOTE BAŻANTY”

Adolf Hitler zastrzelił się 30 kwietnia po obiedzie, tuż po tym, jak cyjanek zażyła jego właśnie poślubiona żona Eva Braun. Jednak oficjalna informacja o jego śmierci, opublikowana w radiu dzień później, głosiła, że zginął, „do ostatniego tchnienia walcząc za Niemcy”.

Na widok ciała zmarłego Führera Joseph Goebbels, który właśnie został kanclerzem Rzeszy, wpadł w panikę i zapowiedział, że wyjdzie z bunkra na Wilhelmsplatz i będzie po nim biegał, aż zostanie trafiony. Dopiero gdy się opanował, poszedł z innymi oddać ostatnie honory wodzowi, którego ciało oblane wieloma kanistrami benzyny nie chciało się zapalić z powodu silnego wiatru. Pomogło dopiero rzucenie na zwłoki płonącej szmaty.

1 maja Goebbels około 16 dokonał ostatniego wpisu w dzienniku. Zaproponował żonie, by może jednak sześciorga ich dzieci nie zabijać, ale wysłać je z Berlina. Jednak Magda postawiła na swoim: wieczorem Helmut von Kunz, adiutant naczelnego lekarza w Kancelarii Rzeszy, zaaplikował im morfinę, a gdy usnęły, oboje zgniotła im w ustach ampułki z cyjankiem.

Po godz. 22 Goebbels i jego żona wyszli do ogrodu, gdzie oboje zażyli truciznę. Być może Goebbels strzelił sobie też w głowę, ale tego nie da się potwierdzić.

Szef NSDAP Martin Bormann w październiku 1946 roku został skazany zaocznie na karę śmierci w procesie norymberskim. Sądzone, że się ukrywa, ale w 1972 roku odnaleziono jego szczątki. Badania wykazały, że 2 maja 1945 zażył cyjanek razem z Ludwigiem Stumpfeggerem, lekarzem Hitlera.

Bernhard Rust, minister edukacji, próbował się otruć już pod koniec kwietnia 1945. Umieszczony na oddziale psychiatrycznym uciekł w nocy z 7 na 8 maja i się zastrzelił.

8 maja Josef Terboven, gauleiter Essen i komisarz okupowanej Norwegii, wysadził się w bunkrze 50 kilogramami dynamitu.

Heinrich Himmler zażył cyjanek 23 maja podczas przesłuchania. Miał fałszywe papiery na fikcyjne nazwisko, ale zachowywał się tak nerwowo, że Brytyjczycy wzięli go na przesłuchanie do Lüneburga. Jedną fiolkę z trucizną znaleziono przy nim podczas rewizji, lecz nie przeszukano mu ust. Himmler przegryzł fiolkę z cyjankiem, ale zdążył wykrzyknąć swoje nazwisko.

Dowódca SS i policji w Lublinie Odilo Globocnik, odpowiedzialny za eksterminację Żydów w okupowanej Europie, przegryzł kapsułkę 31 maja w Austrii, krótko po aresztowaniu przez Brytyjczyków.

Marszałek Rzeszy Hermann Göring zabił się w noc przed planowaną egzekucją w Norymberdze, 15 października 1945 roku. Do przekazania mu kapsułki z cyjankiem umieszczonej w wiecznym piórze przyznał się w 2010 roku Herbert Lee Stivers, st. szeregowy armii amerykańskiej, ponoć w dobrej wierze, bo sądził, że podaje więźniowi lekarstwo.

Robert Ley, szef Niemieckiego Frontu Pracy, zabił się w więzieniu w Norymberdze 25 października 1945 roku, gdy został uznany za winnego przez amerykański trybunał wojskowy.

Minister sprawiedliwości Otto Georg Thierack zabił się 26 października 1946 roku w brytyjskim obozie Eselheide, tuż przed norymberskim procesem prawników (15 lat później wdowa po nim będzie musiała zapłacić 175 tys. marek niemieckich odszkodowania).

Pod koniec i po zakończeniu wojny zabiło się 53 z 554 generałów Wehrmachtu, 14 z 98 generałów Luftwaffe i 11 z 53 admirałów Kriegsmarine. A także ośmiu z 42 gauleiterów i siedmiu z 47 wyższych rangą dowódców SS i policji.

ENERDOWSKIE KŁAMSTWO

W czasach NRD zbrodnie Armii Czerwonej były tematem tabu, bo przecież żołnierze radzieccy byli nie okrutnymi troglodytami, ale bohaterскими wyzwoliciełami, którzy dali Niemcom szansę na wspaniałe życie w socjalizmie. W centrum Demmina wzniesiono obelisk ku czci Armii Czerwonej. 8 maja obchodzony był w NRD jako Dzień Wyzwolenia, w którym partia i państwo, robotnicy i uczniowie oddawali hołd radzieckim żołnierzom. Masowy grób mieszkańców zmarłych w 1945 roku zarósł zieleśm, wokół uprawiano rzepę. Po raz pierwszy temat zbiorowego samobójstwa został

poruszony jakby mimochodem w połowie lat 80. w rozprawie doktorskiej poświęconej lokalnemu ruchowi antyfaszystowskiemu.

Dopiero po zjednoczeniu Niemiec można było otwarcie mówić o tych wydarzeniach. Sowiecki pomnik został usunięty, a masowe samobójstwo z 1945 roku upamiętnia tablica na kamieniu pamiątkowym na cmentarzu.

Od 2002 roku Meklemburgia-Pomorze Przednie jest jedynym landem, w którym 8 maja jest oficjalnym Dniem Wyzwolenia z Narodowego Socjalizmu. Neonaziści z NPD (Narodowodemokratycznej Partii Niemiec), w czerwcu 2023 przemianowanej na Heimat, nie świętują, bo ich zdaniem nie było żadnego wyzwolenia, ale co roku 8 maja maszerują w milczeniu ulicami Demmina i puszczają wieńce na rzece Pianie, jednej z tych, w których topili się mieszkańcy. Zapraszają na swój marsz, głosząc hasło: „Nie ma przebaczenia, nie ma zapomnienia”.

Uczestnikami ubiegłorocznych obchodów było: 260 neonazistów (na czarno, z transparentem „Nie świętujemy, nie zapomnimy”), 610 kontrmanifestantów (na kolorowo, pod hasłem „Demmin po stronie kolorowy”) i 430 policjantów, którzy oddzielali obie grupy.

Brigitte Rossow jako dzieciolatka była świadkiem i jednocześnie ofiarą masowego samobójstwa w Demminie – jej zrozpaczona i przerażona matka próbowała podciąć żyły obu córkom i ich bratu. Uratowali ich żołnierze radzieccy. Po wydarzeniach z 1945 roku Brigitte zostały niesprawna dłoń i ogromna trauma. Opowiedziała o tym w filmie dokumentalnym telewizji ARD z cyklu „Dzieci wojny” z 2020 roku. Mówiła też, że o manifestacjach neonazistów organizowanych każdego 8 maja wie tylko z mediów – ani razu nie wyszła na ulicę, by je zobaczyć na własne oczy. ●

Korzystałam m.in. z książek:

Christian Goeschel, „Selbstmord im Dritten Reich”; Antony Beevor, „Berlin. Upadek 1945”; Richard Hardgreaves, „Ostatnia twierdza Hitlera. Breslau 1945”, oraz artykułów Matthiasa Mankego „Kriegsende 1945: Massensuizid in Stavenhagen” (kulturwerte-mv.de), Nielsa Beintkera „Selbstmord am Kriegsende” (deutschlandfunk.de), „Massensuizid in Demmin: „Wir wollten noch leben!”, Jana N. Lorenzena i Siv Stippekoohl (ndr.de)

Jeśli jesteś osobą w kryzysie samobójczym albo bliskim takiej osoby, tu znajdziesz pomoc:

- Numer alarmowy w sytuacji zagrożenia życia lub zdrowia **112**
- Centrum Wsparcia dla Osób Dorosłych w Kryzysie Psychicznym **800 702 222**
- Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży **116 111**
- Ogólnopolski telefon dla ofiar przemocy w rodzinie Niebieska Linia **800 120 002**
- Więcej informacji znajdziesz w Strefie Pomocy na platformie Życie Warto Jest Rozmowy (www.zwjr.pl) – dostępne są tam również bezpłatne konsultacje dla osób w żałobie po śmierci samobójczej

• **Dmitrij Swiatopółk-Mirski (1890-1939), książę, żołnierz, pisarz, komunista**
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Książę BOLSZEWIK

Był członkiem jednego z najstarszych rodów rosyjskich, mieszkał w Londynie. Jesienią 1929 roku zawiesił w swoim pokoju mapę świata i portret Stalina.

Marian Sworzeń

Dmitrij Swiatopółk-Mirski – syn carskiego ministra i oficer Białej Armii – wiosną 1920 roku przebywał w Polsce za drutami obozu dla internowanych. Jak wyglądało wcześniejsze życie potomka jednego z najstarszych rodów rosyjskich? Jak potoczyło się później? Nasze drogi skrzyżowały się w Karelii, nad brzegiem Kanału Białomorskiego. Byłem tam latem 2013 roku, zbierając materiały do książki. Wiedziałem, że 80 lat wcześniej Mirski był w tym samym miejscu.

SYN KSIĘCIA. 1890-1905

Urodził się w 1890 roku w guberni charkowskiej. Jego ojciec książę Piotr był wysokim wojskowym i carskim urzędnikiem. Matka pochodziła z hrabiowskiej rodziny Bobryńskich. Naukę pobierał w domu. Jako sześciolatek zwiedził Anglię, a w kolejnych latach całe Imperium Rosyjskie, bowiem ojciec był gubernatorem w wielu miastach.

UCZEŃ, POETA, STUDENT I GWARDZISTA. 1905-1913

Po zdaniu egzaminów przyjęto go do liceum Katkowa w Moskwie. Jego ojciec był wtedy, po dymisji w 1905 roku, eksministrem spraw wewnętrznych. Kolejnym miejscem nauki Dmitrija było gimnazjum w Petersburgu. Dał się tam poznać jako

zapałony miłośnik literatury, a także jako autor wierszy, które później wydał w niewielkim tomiku.

Kierunek studiów na uniwersytecie w Petersburgu wybrał zdecydowanie: języki wschodnie – chiński i japoński. Orientalystyki nie ukończył – zgłosił się dobrowolnie do służby wojskowej w regimencie carskiej lejbgwardii. W 1912 roku dostał pierwszy stopień oficerski. Po odslużeniu dwóch lat przeszedł do rezerwy. Wróciwszy na uczelnię, studiował historię i literaturę klasyczną. Zdał egzaminy końcowe, otrzymał nawet propozycję asystentury.

OFICER ARMII ROSYJSKIEJ. 1914-1918

Po wybuchu wojny został zmobilizowany i skierowany na front. W 1915 roku odniósł rany i trafił do lazaretu. Wedle relacji przyjaciół ożenił się z pielęgniarką. Znamy tylko jej imię (Anna), wiemy o krótkości związku (sześć tygodni) i zatajeniu go przed rodziną. W sierpniu 1916 roku, podczas oficerskiego spotkania Mirski odmówił udziału w toaście na cześć cara. Następstwem tego było wysłanie na front kaukaski. W styczniu 1917 roku, po odbyciu kursu, ukończył Akademię Sztabu Generalnego. W ostatnich miesiącach wojny przebywał w tureckim mieście Erzurum, zdobytym wcześniej przez Rosjan. W czerwcu 1918 roku wrócił do rodzinnej Gijowki, a od jesieni uczył się na charkowskim uniwersytecie. Rodzina zdecydowała się na emigrację, gdyż bolszewicy już rozpoczęli rządy w Charkowie.

BIAŁOGWARDZISTA. 1919-1920

Dokładne dane o jego służbie w białych oddziałach pochodzą z protokołu przesłuchań NKWD z 1937 roku. Służył w Kubańskim Korpusie Kawalerii. Walczył z czerwonymi wiosną 1919 roku koło Rowienko-

wa, na dońskich stepach i pod Carycynem. Później, jako sztabowiec korpusu gen. Maj-Majewskiego, uczestniczył w bojach pod Orlem. Kolejnymi miejscami były Nieżyn i Czerkasy, gdzie przeszedł tyfus.

Ostatnią jego jednostką był korpus gen. Bredowa w składzie sił gen. Denikina. Oddziały te, niewpuszczone do Rumunii, uratowało internowanie w naszym kraju. Zgodnie z porozumieniem z 1 marca 1920 roku, piętnaście tysięcy rosyjskich wojskowych trafiło do polskich obozów. Latem 1920 roku większość z nich opuściła Polskę, wyjeżdżając zorganizowanymi transportami przez Rumunię na Krym.

ZA DRUTAMI W POLSCE. 1920

Mirski mówił na przesłuchaniu, że trzymał go w Poznaniu. Nie w wielkopolskim Strzałkowie, ale w Poznaniu. Nie wykluczam, że jako oficer mógł być, w drodze wyjątku, umieszczony w miejskich koszarach. Zbiegł stamtąd w kwietniu 1920 roku do Warszawy. Po parodniowym pobycie u krewniaka dotarł do Austrii, a stamtąd do Grecji, gdzie spotkał matkę i siostry. Nawiazał kontakty z pismami „London Mercury i Nouvelle Revue Française”, dzięki czemu zyskał środki na utrzymanie.

PROFESOR W ANGLII. 1921-1932

Jego dalsza droga wiodła przez Rzym i Paryż do Londynu, dokąd przybył w czerwcu 1921 roku. Od jesieni był już zatrudniony w „School of Slavonic Studies”, stanowiącej część „King’s College” w Uniwersytecie Londyńskim. Jako etatowy pracownik akademicki zajmował się literaturą rosyjską.

Od 1924 roku, dzięki poznaniu Virginii i Leonarda Woolfów, miał kontakt z czołową ówczesnej literatury brytyjskiej. Związek z grupą „Bloomsbury” zaowocował licznymi artykułami i przekładami. Czasami wyjeżdżał na kontynent, głównie do Francji. Był kilkukrotnie na spotkaniach w Pontigny, skupiających zachodnich intelektualistów; tam też poznał André Gide’a.

W 1925 roku Mirski wydał swoje pierwsze książki: „Modern Russian Literature, Contemporary Russian Literature 1881-1925” i „Pushkin”. Dwa kolejne lata przyniosły powstanie jego dzieła, które po dzień dzisiejszy zachowało swoją wagę – jest to monumentalne opracowanie historii literatury rosyjskiej zatytułowane „A History of Russian Literature from its Beginnings to 1900”.

EURAZJANIN

Niezależnie od obowiązków naukowca, Mirski przez długie lata utrzymywał kontakt z eurazjanami. Ten emigracyjny ruch wpisał swoją ideologię – w sposób paradoksalny – we własną nazwę. Nie szło o Europę i Azję, lecz o Rosję i jej przyszłość. Eurazjanie zarzucali Zachodowi kompromitację przez danie myślowego budulca bolszewikom, głoszącym marksizm w wydaniu praktycznym. Woleli Wschód, uważając, że nie popadł w przepaście materializmu.

Ruch miał swój historyczny początek: spotkanie założycielskie – Sofia, 1921 rok, książkowy manifest – „Exodus to the East”, swoich przywódców – Piotr Suwczyński, Nikołaj Trubieckoj, Georgij Florowski, własne pisma – „Wiersty” i „Eurazja”.

Eurazjanie dzielili się na odłamy, różniące się w ocenie bolszewickich rządów. Niektórzy doszli do wniosku, że rewolucja była usprawiedliwiona, a skoro tak, konieczna jest rewizja dotychczasowych postaw. Do ich grona dołączył również Mirski – po spotkaniu w 1927 roku z Gorkim w Sorren-

to, dokąd wybrał się razem z Suwczyńskim. W czerwcu 1928 roku pojechał na wykłady do Stanów, po powrocie pomagał jeszcze w redagowaniu Eurazji, wziął udział w paryskim zebraniu rady ruchu. Przełom nastąpił jesienią 1929 roku podczas zbierania materiałów do biografii Lenina. Zawiesił wtedy w swoim pokoju mapę świata i... portret Stalina.

ILUMINACJA

Coraz częściej korespondował z Gorkim. Wyjawił, że jest gotów towarzyszyć mu w drodze do sowieckiej Rosji – pojawiła się kwestia paszportu i obywatelstwa. Nawiazał kontakty z angielskimi komunistami, formalnie wstępując do ich partii – uczestniczył w szkoleniach, kolportował prasę i ulotki. Spotykał się z podobnie myślącymi, których nie brakowało w środowisku uczelnianym – z esejów Orwella wiemy, że wielu snobowało się na bycie „Bolshie”. Podjął się przekładu na angielski „Materializmu i empiriokrytycyzmu” Lenina.

Układał zarys swojej przyszłej książki The „Intelligentsia of Great Britain” (ukaże się w Moskwie i Londynie, już po jego wyjeździe). Brał udział w konferencjach poświęconych pokojowi, za którymi stał Komintern. Jesienią 1931 roku w „Nouvelle Revue Française” opublikował artykuł „O moim wyzwoleniu”. Pisał w nim o dorastaniu do nowej wiary, o stopniach jej poznania. Także o lekturze wspomnień Nadieżdy Krupskiej i wykładu Stalina o leninowskich pryncypiach, o śledzeniu przebiegu wielkiego strajku robotników w Anglii w 1926 roku. Wyznał: „Miesiące, które spędziłem nad Leninem, były najważniejsze i najbardziej owocne w całym moim życiu”. Podsumowanie brzmiało: „Lenin stał się dla mnie intelektualnym wyzwoleniem”. Ten sam tekst ukazał się w „Litieraturnoj Gazietie” w lutym 1932 roku. W marcu tegoż roku odszedł z uczelni, latem odbył jeszcze podróż po Francji i Hiszpanii, zaś we wrześniu przyplynał do Leningradu.

OBYWATEL MIRSKI. 1932

Z rodowego nazwiska zachował tylko drugą część. Zamieszkał w Moskwie. Pisał prace o bieżącej literaturze i filmach, brał udział w dyskusjach, drukował w periodykach literackich i gazetach codziennych. Po utworzeniu Związku Pisarzy został zwykłym członkiem, we władzach nie zasiadał.

W odróżnieniu od wielu współczesnych nie rozbijał się za przywilejami „inżynierów dusz”. Nie miał domowej służby, nie posiadał auta, nie zabiegał o przydział rządowej willi.

NA KANAŁE BIAŁOMORSKIM. 1933

Sierpień 1933 roku. Pisarze wyruszyli z Leningradu ekspresem „Czerwona Strzała” na północ, do Karelii. W poprzedni wieczór podejmowano ich wystawnie w hotelu „Astoria” – ponad 120 gości, wśród nich Mirski. Przyjęciu przewodził inny były arystokrata – hrabia Tolstoj. W pociągu jego towarzyszem podróży był krytyk Sieliwanowski. Rozmawiali, śmiali się, deklamowali na głos Dantego, Homera, Puszkina.

Z kuszetkowej górnej półki przysłuchiwał im się młodziutki pisarz-robotnik, Awdiejenko. Jego wiekopomną zasługą było, że później, już jako starzec, w czasach głośności opisał to spotkanie. Podczas oglądania Kanału był często blisko Mirskiego. Odnótował jego dociekliwość przy indogowaniu szefa czekistów, Firina, płynącego

z pisarzami na parowcu „Anochin”. Pytał o koszt inwestycji, o przyczynę braku prasowych relacji w trakcie jej trwania. Chciał wiedzieć, czemu nie uprzedzono więźniów przed niedawną wizytą Stalina.

Usłyszał, że koszt budowy Białomoru był niższy od Suezu i Panamy, że finał prac ujawniono wedle zasady „koniec wieńczy dzieło”, zaś Stalin nie spotkał się z lagiernikami, by nie odciągać ich od roboty. Awdiejenko, młody komunista, poczuł się nieswojo – nie chciał patrzeć na świat oczami Mirskiego. Kiedy mu o tym na boku powiedział, Mirski odparł, że też kocha Lenina i nową Rosję, ale boją go błędy i niedociągnięcia.

Z pisarskiego grona wyłoniono potem autorów księgi zatytułowanej „Kanał Białomorsko-Bałtycki imienia Stalina. Historia budowy”. W elitarnym gronie trzydziestu kilku osób znalazł się Mirski. Zasadą było pisanie zespołowe – prawdziwy kolchoz literacki. Księga miała 14 rozdziałów, Mirski uczestniczył w pisaniu jednego z nich „GPU, inżynierowie, projekt”. Był to jeden z najdłuższych fragmentów, pisało go ośmiu autorów. Złożyło się znamienne, że synowi najwyższego rangą oberpolicjanta carskiej Rosji przyszło pisać o dziele, którym chlubiła się bezpieka Rosji sowieckiej. To ona nadzorowała budowę Kanału, a jej szef, Jagoda, razem ze Stalinem, temu patronowali.

Gigantyczna księga została z zadęciem wydana w 1934 roku, a trzy lata potem, kiedy Jagoda upadł, zniszczono ją w tempie równie wielkim.

TEORETYK I KRYTYK.

1933-1936

Pisał o Joysie i Gorkim, o Eliocie i Oleszy, o Dos Passosie i Szołochowie. Także o Śwfcie i Radiszczewie, o Prouście i Tolstoju, o Whitmanie i Wiaziemskim. Również o Defoe i Dostojewskim, o Huxley’u i Błoku, o Hardym i Puszkinie – mógłbym jeszcze ciągnąć listę postaci. Sumując, był bez wątplenia nieprzeciętnie pracowitym i wybitnym krytykiem. To, że został również chwalcą innego dzieła Stalina – konstytucji z 1936 roku, że podpisywał serwilistyczne apele przy okazji trwających procesów – nie dziwi, skoro robili to niemal wszyscy niewięzieni.

■
*Po pobraniu odcisków
palców, został nazajutrz
pogrzebany. Łagrowe
dokumenty zawierają
szczegóły pochówku:
800 metrów od
komendy obozu, półtora
metra pod ziemią,
z głową na zachód*

W 1935 roku wyszła jego, wcześniej już przygotowywana, „Intelligentia of Great Britain”. Przed laty, świadomie ironizując, tak ją przedstawiłem: „A nuż znajdzie się polski wydawca dla tej książki Mirskiego, w której Kipling i Conrad to skończeni imperialiści, Eliotowi tylko niewiele brakuje do zostania faszystą, zaś D. H. Lawrence to czysty pornograf, skrywający kompleks niskiego pochodzenia?”.

Był na szczęście autor, który na tę książkę zareagował – George Orwell, pisarz, którego nie można utożsamiać z konserwatywną Anglią. Otóż w swojej „Drodze na

molo w Wigan” uznał on rzecz Mirskiego za przejaw czystej, pełnej jadu złośliwości wobec „burżuazyjnych” kolegów.

Ostatnią literacką pracą Mirskiego było przygotowanie antologii nowej poezji angielskiej, obejmującej kilkudziesięciu twórców, w tym – ze współczesnych – Eliota, Yeatsa i Audena. Ten obszerne, prawie 500-stronicowy zbiór wydano po jego aresztowaniu. Bez nazwiska Mirskiego.

WIĘZIENÍ.

1937-1938

Ostatnim adresem Mirskiego było mieszkanie na Bolszym Karietnym Pierieulku, gdzie został aresztowany w nocy 2 czerwca 1937 roku. Spotkałem się też z relacją, wedle której Mirskiego zatrzymano w mieszkaniu Jasiieńskich i wzięto razem z nimi. Miał przy sobie paszport, kartę medyczną szpitala na Kremlu, legitymację związku pisarzy. Przewieziony na Butyrki został zarejestrowany jako aresztant nr 69979. Pytany o przynależność do partii, podał, że jest bezpartyjny, ale wcześniej należał do kompartii w Anglii.

Pierwsze przesłuchanie trwało od pierwszej do trzeciej w nocy – było ich jeszcze pięć, wszystkie po północy, w tym jedno pięciogodzinne. Zarzut: utrzymywanie kontaktów kontrrewolucyjnych z zagranicą.

Wyrok NKWD-owskię trójki zapadł 28 lipca 1937 roku. Dwa tygodnie później więzienny transport ruszył do Władystoku. Stamtąd droga wiodła wodą – Sachalin, Morze Ochockie – do Magadanu. W obozowe rejestry został wpisany 24 września 1937 roku, z nadanym numerem 136848. Umieszczono go w podobozie Atka z przeznaczeniem do pracy przy wyrębie lasu. Jurij Oksman, współtowarzysz niewoli, usłyszał jego wyznanie: „Był nieskończenie zatroskany swym przeżyciem na nową wiarę i przyjazdem do Rosji, przeklinał komunizm, drwił ze swoich iluzji”. W grudniu 1938 roku przeniesiono go do obozu dla inwalidów.

OSTATNIE DNI.

1939

Od lutego 1939 roku był już niezdolnym do pracy dochodiągą. Kryminaliści zabrali mu okulary i notatki. Zmarł 6 czerwca 1939 roku. Jako przyczynę zgonu wpisano chorobę nerek i serca. Po pobraniu odcisków palców został nazajutrz pogrzebany. Łagrowe dokumenty zawierają szczegóły pochówku: 800 metrów od komendy obozu, półtora metra pod ziemią, z głową na zachód.

W grudniu 1961 roku mieszkająca w Moskwie siostra, Olga, skierowała do Prokuratora Generalnego ZSRR wniosek o ponowne zbadanie sprawy brata. W czerwcu 1962 roku moskiewski trybunał wojskowy orzekł o jego rehabilitacji. W sądowych papierach podano inną niż rzeczywistość datę śmierci: 6 września 1939 roku. Jego życie zostało omyłkowo wydłużone o kilka miesięcy.

Chciałbym tym artykułem – rozmyślnie i na nowo – przywrócić go do życia. ●

Marian Sworzeń, ur. 1954, pisarz, eseista, autor słuchowisk, członek PEN Clubu, publicysta „Monitora Konstytucyjnego” i „Przeglądu Politycznego”, www.marian-sworzen.pl

Bibliografia: Gerald Stanton Smith, „D. S. Mirsky, A Russian-English Life 1890-1939”, New York, Oxford University Press 2000, Zbigniew Karpus, „Armia gen. por. M. E. Bredowa w Polsce”, Toruń 1986; George Orwell, „Droga na molo w Wigan”, tłum. Bartłomiej Zborski, Warszawa 2005; Marian Sworzeń, „Czarna ikona – Biełomor. Kanał Białomorski. Dzieje. Ludzie. Słowa”, Warszawa 2017.



Wiciecie, że jest z nami już, bagatela, 30 tysięcy lat? Badacze znaleźli dowody, że już wówczas prehistoryczny człowiek raczył się chlebem – na płaskich kamieniach, wykorzystywanych jako żarna, odkryto ziarna, które uzyskano najprawdopodobniej z pałek wodnych i paproci, które są bogate w skrobię.

Odkryć dokonano w Czechach, Włoszech i Rosji, ale żeby nie było, nie tylko tam odkryto ślady najdawniejszych piekarzy w historii. Podobne kamienie żarnowe, liczące sobie właśnie 30 tys. lat znaleziono także na terenie Nowej Południowej Walii, australijskiej prowincji. Takie prymitywne placki umieszczano zapewne nad ogniem i w ten sposób uzyskiwano coś na kształt podpłomyków.

Bo pierwsze dowody na faktyczne pieczenie chleba są nieco młodsze, bo liczą 14,4 tys. lat. Znalaziono je w Azji, na stanowisku kultury natufijskiej (kultura z czasów ery mezolitu), położonym na terenie dzisiejszego Izraela.

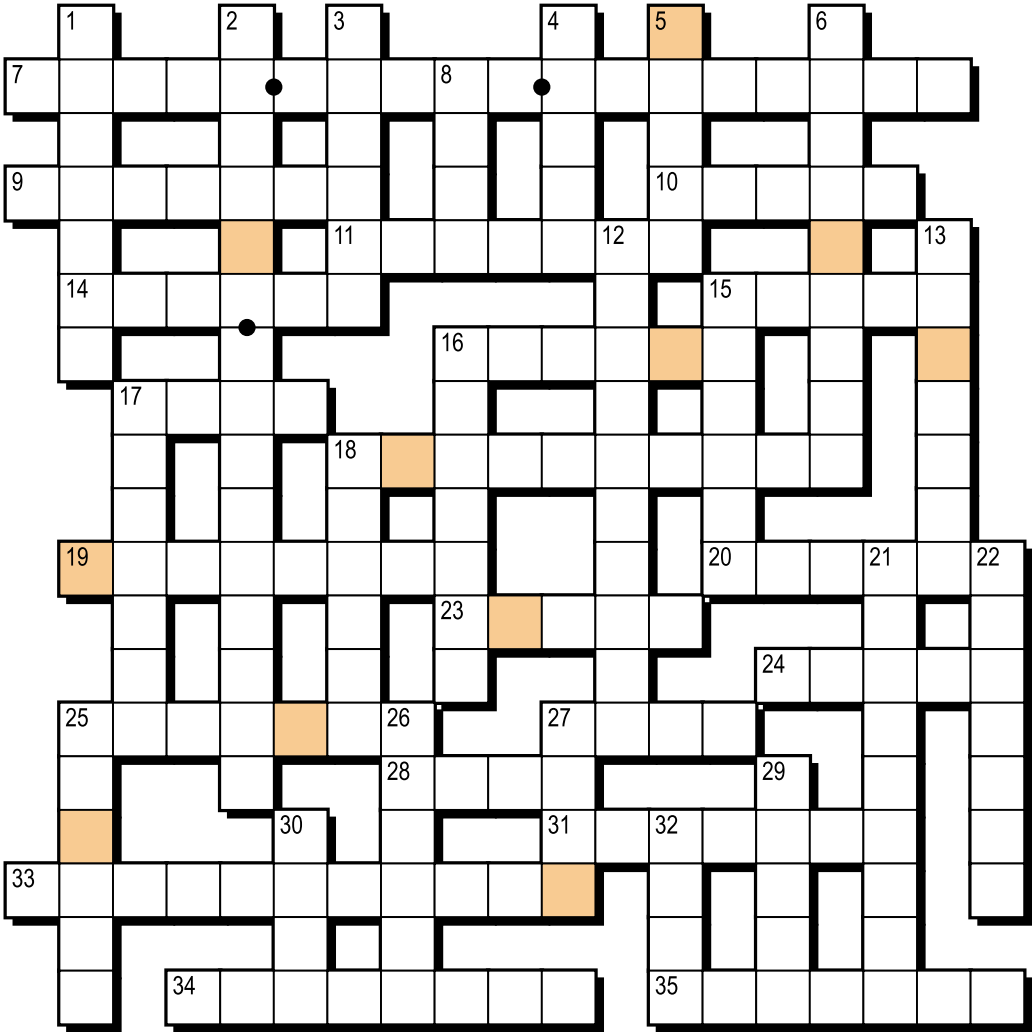
Chleb na zakwasie zaczęto wypiekać w starożytniej Mezopotamii, gdzie narodziła się cywilizacja Sumerów. Oni to polepszali swoje wypieki – wartości odżywcze i smak – przez dodawanie do mąki popiołu. Od Sumerów wiedzę o chlebie pozyskali zapewne Egipcjanie, i to oni jako pierwsi mieli użyć przy piekarniczej robocie drożdży, które spulchniały ciasto.

W popularnym sitcomie „Jak poznałem waszą matkę” bohaterowie spierają się, jakie jest najpopularniejsze jedzenie w Ameryce (ok, ok Robin, pamiętam o twojej kanadyjskiej proveniencji i pankejkach z syropem klonowym!), by ostatecznie sprawdzić to w internecie.

To oczywiście był chleb. W Polsce chleba je się wprawdzie znacznie mniej, niż kiedyś, ale wciąż trudno sobie bez niego wyobrazić naszą dietę. W latach 80. Polak wciął średnio 100 kg pieczywa rocznie. Obecnie to już znacznie mniej, bo ok. 36 kg (dane GUS z 2020 r.). Najwięcej ponoć jedzą Turcy (wg Księgi Rekordów Guinnessa w 2000 r. było to nawet 199 kg), potem Serbowie i Bułgarzy. No, faktycznie sporo...

Jak łatwo odgadnąć, dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy więc chlebom, bułkom, kajzerkom, plackom i chałkom. A to z racji tego, że właśnie mija 25 lat od powstania Muzeum Chleba w Radzionkowie – pierwszej tego typu placówki w Polsce. Niby nie samym chlebem człowiek żyje, ale dziś uznajemy, że przede wszystkim. Smacznego!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



KRZYŻÓWKA CHLEBOWA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 7) zespół, który nagrał „Balladę o Czesku Piekarzu”, z refrenem: „Chleb się, chlebie, bo nad chleb być może co?”
9) produkty z cukierni lub piekarni, a także silne rumieńce na twarzy
10) bagietka albo kajzerka
11) wysuszone pieczywo niczym czerstwe dowcipy
14) obrzędowe pieczywo weselne lub świąteczne, wypiekane dawniej na wsi
15) związek wyrazowy, np. „chodzić po proszonym chlebie” albo „pracować ciężko na kawałek chleba”
16) kromeczka pszennego, grahama

- 17) Kazimierz, reżyser filmu „Śmierć jak kromka chleba”
18) zna modlitwę „Ojcze nasz” („Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...”)
19) pomoc finansowa dla kogoś, komu nie starcza na chleb
20) pisał: „Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba, tęskno mi, Panie”
23) z mąką, wyjeżdżają z młyna
24) chłopskie ..., np. pajda ze smalcem
25) trwałe pieczywo cukiernicze, takie jak herbatnik
27) ... chlebowy, musujący napój chłodzący
28) chleb otwiera każde ..., myśl S.J. Leca
31) spieczona ... chleba, czyli skórka
33) podniosło: ktoś zapewniający komuś pracę, utrzymanie

- 34) ... własnej matce ostatniego bochenka chleba, niecny czyn popełniony przez Jacka i Placka
35) dokonał cudownego rozmnożenia chleba; Jezus Chrystus
- Pionowo:
- 1) święto plonów, z tradycyjnym łamaniem chleba
2) w serialu „Wojna domowa” pytał o suchy chleb dla konia
3) gatunek jęczmienia lub pszenicy
4) uprawiane, by uzyskiwać mąki, kasze
5) duże kromki chleba
6) spokojnie, bez pośpiechu, to nie ...!
8) chlebowy – w 6 pionowo
12) miasto z Muzeum Chleba założonym w 2000 r.
13) łuski nasion pozostające po zmieleniu ziarna (zdrobniale)
15) zakwas chlebowy

Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 151 z 19.04:

Poziomo:

- 5) Weir, 7) skała, 8) stolica,
10) Lodge, 11) diabeł tasmański,
12) aktor, 14) emu, 15) kangur,
18) samoloty, 19) rzucanie,
22) Mel Gibson, 23) dolar,
24) agent, 28) flaga, 30) miasta,
31) opera, 32) Anglica,
35) aborygenka, 36) mile,
37) Eyre, 38) budynek, 39) rok

Pionowo:

- 1) kakadu, 2) Jacek, Kaczmarek,
3) kontynent, 4) pies, 5) Walia,
6) regiony, 7) Sydney, 9) Timor,
13) Krokodyl, Dundee,
16) Margot, 17) Robbie, 20) zatoki,
21) emigrowanie, 25) nietoperz,
26) pasy, 27) zabytek,
29) gwiazdy, 30) Minogue,
33) lasy, 34) Cave

HASŁO:
KOLCZATKI I KOALE

- 16) np. czosnkowa zupa krem z grzankami
17) sandwiche i tartinki
18) skrajne ... z chleba – to przylepki, zwane też platkami
21) potocznie o rzadkiej zupie z rozdrobnionego chleba
22) piekarniane – mają zdolność spulchniania ciasta
25) ręce jak ... chleba, czyli potężne, szerokie
26) poszedł w świat za chlebem; włóczęga
27) „Czarny chleb i czarna ...”, piosenka w repertuarze zespołu Strachy Na Lachy
29) zbiór map (można wypatrzeć np. wieś Chlebowo)
30) „... córka piekarza”, powieść Marka Hłaski
32) stolica dawnego imperium kojarzącego się z hasłem „chleba i igrzysk”

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

